

NOWA KSIĄŻKA AUTORKI BESTSELLEROWEJ „PLAGI SAMOBÓJCÓW”

S U Z A N N E
Y O U N G

DZIKIE

SERCA

Tkwią w mojej
najgorszej wersji piękła

Feeria
young

S U Z A N N E
Y O U N G

DZIKIE

SERCA

Przekład:
JAROSŁAW IRZYKOWSKI

Feeria
young

Spis treści

ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4 ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9 ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11 ROZDZIAŁ 12 ROZDZIAŁ 13 ROZDZIAŁ 14 ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16 ROZDZIAŁ 17 ROZDZIAŁ 18 ROZDZIAŁ 19 ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21 ROZDZIAŁ 22 ROZDZIAŁ 23 ROZDZIAŁ 24

Tytuł oryginalny: All in Pieces

Przekład: Jarosław Irzykowski
Opieka redakcyjna: Maria Zalasa
Redakcja: Marta Stęplewska
Korekta: Bronisław Grzywacz
Skład i adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Norbert Młyńczak

Tekst copyright © 2016 by Suzanne Young
Jacket photographs copyright © 2016 by Jill Wachter
Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-667-2

Wydawnictwo JK
Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,
92-101 Łódź tel. 42 676 49 69 www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Dziewczynie biegnącej przez
pole fasoli nocą
bez latarki

I pamięci mojej drogiej babci
Josephine Parzych

ROZDZIAŁ 1

Moje życie to nie ich sprawa.

Nie chcę ani tu sterczeć, ani przedstawiać swoich racji, ale nie mogę sobie pozwolić na zawalenie kolejnego zadania.

Rozprostowuję na blacie mównicy swoją pomiętą kartkę. Ciszę panującą w klasie przerywa dobiegający z tyłu kaszel i nawet mój nauczyciel wygląda na znudzonego, gdy tak siedzi na pokrytym skajem krześle, które przywiózł ze swojej poprzedniej szkoły – jak widać takiej, którą stać było na krzesła kryte skajem. Pan Jimenez zdecydowanie zniża się do naszego poziomu.

– Mój brat jest niepełnosprawny intelektualnie – czytam, robiąc tuż po tych słowach pauzę. Czuję się jak przed sądem, obnażona, podnoszę więc wzrok na klasę w oczekiwaniu na reakcję. – On nie jest głupi – dodaję w jego obronie. – Po prostu inaczej się uczy.

Jeden koleś się szczerzy, jakby nie miał pojęcia, czemu o tym mówię. Dziewczyna z tyłu sali strzela balonem z gumy do zucia. Nie łapią powagi mojego wyznania i to mnie wpienia. Ze złości mrowią mnie dłonie; nie jestem tylko pewna, na kogo się złoścę. Chyba na nich wszystkich.

Dobija mnie to i gubię na kartce miejsce, do którego doczytałam, a niewyraźny wydruk rozmywa mi się w oczach. Patrzę na nich oskarżycielsko.

– A jeśli komukolwiek z was chodzi po głowie, żeby sobie z niego żartować, przysięgam, że...

– Że co zrobisz, Savvy? – woła Gris z pierwszego rzędu. Rozparł się na krześle, wyciągając pod stolikiem swoje długie nogi, a jego nieskazitelne timberlandy aż się proszą o podeptanie. – Dziabniesz mnie tak, jak swojego chłopaka?

Opieram łokcie o mównicę i pochylam się w przód, mrużąc oczy.

– Daj mi ołówek, to się przekonasz – odpowiadam.

Gris wykrzywia usta w uśmiešku, a blizna na jego policzku lśni w świetle jarzeniówek. Uśmiecham się szyderczo i opadam na pięty. Aaron Griswold to alkoholik bez przyszłości i powiem mu to, jak tylko skończę. Samo to, że oboje trafiliśmy do Brooks Academy, nie czyni nas jeszcze kumplami. On mnie gównie obchodzi. Ale i tak chce mi się śmiać, kiedy chwilę później przesyła mi buziaka.

– Wystarczy – woła pan Jimenez zza swojego biurka. – Skończcie z tym albo oboje zostanieie u mnie po lekcji. Savannah – zwraca się do mnie, poprawiając na nosie swoje okulary w drucianych oprawkach – możesz kontynuować?

Nie jestem pewna, czy chcę. To niewyobrażalna strata czasu, ale bez tych zajęć nie dostanę zaliczenia. Dlatego zakładam za ucho rudy kosmyk i podejmuję temat.

– Ze względu na stan mojego brata – zniżam głos – jako ścieżkę kariery wybrałam pedagogikę specjalną. Płacą beznadziejnie, ale godziny pracy nie są takie złe. Myślę, że będę w tym dobra. I nie będę z tych, co to patrzą z góry. Ja będę fajna. I pomogę dzieciakom czuć się fajnie. – Podnoszę wzrok na salę pełną nic niewyrażających twarzy i wzdycham. – To tyle. Koniec.

Następują niemrawe owacje, a zaraz potem staje obok mnie pan Jimenez, wyższy ode mnie ledwie o kilka centymetrów. Pachnie tonerem do kserokopiarek, syropem na kaszel i generalnie toleruje nasz brak zainteresowania nauką.

– Dziękuję, Savannah – mamrocze, podnosząc listę obecności.

Wzruszam ramionami i wracam na swoje miejsce, przed klapnięciem na krzesło pokazując Grisowi faka. Kiedy żar zaczyna mi odpływać z policzków, zeskubuję lakier z paznokci.

– Niezła mowa, Sutton – mówi Cameron. Siedzi przy sąsiednim stoliku, patrzy przed siebie, a nie na mnie. Na mnie nigdy nie patrzy.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Wolałabym, żeby mnie nie zagadywał. Tu, w Brooks Academy, wszystko jest generalnie proste. Przychodzimy, wysłuchujemy, co mają do powiedzenia (lub do wykonania w ramach przydzielonych im bezsensownych projektów) ćpuny, przestępcy lub pacjenci objęci terapią kontroli gniewu – to mój przypadek – i się rozchodzimy.

To właśnie tu lokalne władze zsyłają uczniów wyrzuconych z innych szkół, łożąc na kontynuowanie przez nas edukacji. I o to chodzi. Szacowne zajęcia wyrównawcze, umożliwiające ukończenie szkoły średniej, służą ujednoczeniu poziomu wykształcenia. Na początku mi to pasowało. Przychodziłam na zajęcia i pilnowałam swoich spraw.

Potem pojawił się Cameron Ramsey, seksowny i milczący. Nikt z nas nie ma pojęcia, czemu tu trafił. Bo że do nas nie pasuje, to pewne. Rozumiecie, ten koleś jeździ beemką. Jest inny. I z jakiegoś powodu swoje krzywe teksty adresuje tylko do mnie. Niezła mowa? A co to niby miało znaczyć?

– Cameron? – woła pan Jimenez z przodu sali. – Chciałbyś zabrać głos?

Chłopak zamyka zeszyt i kręci głową przecząco. Ciekawa jestem, czy nie odrobił zadania, czy po prostu nie znosi innych ludzi. Jedno i drugie bym zrozumiała. Kiedy nauczyciel zmienia temat, Cameron wyciąga telefon i zaczyna grać w coś pod stolikiem.

Pan Jimenez opiera się o pulpit, wyraźnie wyczerpany.

– W takim razie, jeśli nikt z was nie ma nic do dodania, przyjmę, że na dzisiaj skończyliśmy... – Oferta pozostaje otwarta, ale myśl, że ktokolwiek z naszej dwunastki miałby przedłużyć lekcję, zdecydowanie przyprawia go o zgaę.

– Do widzenia – ogłasza pan Jimenez i odwraca się. Trochę mi szkoda tego faceta. Jest dość młody, na tyle, żeby wciąż jeszcze myśleć, że może coś zmienić w naszym życiu. Ale jest trzecim naszym zbawcą w ciągu tego roku. Ciekawe, ile razy dziennie żałuje, że jednak nie poszedł na zarządzanie.

Podnoszę się i zgarniam swój zeszyt do torby z ulgą, że to już koniec na dzisiaj. Kiedy się odwracam, Cameron chowa akurat telefon do kieszeni. Nie patrząc na mnie, uśmiecha się.

– Do zobaczenia, Sutton – mówi.

– No... tak – odpowiadam. – Jutro. Tutaj.

Śmieje się i rusza do wyjścia.

– Fakt – mówi. – To właśnie miałem na myśli.

Odprawiam go wzrokiem, zakłopotana, może nawet lekko zarumieniona. Co za gość. Nie wiem, co o nim myśleć. No dobra, niezupełnie. Przyznaję, że trochę chodzi o jego wygląd: jasne włosy do brody, ciemnobrązowe oczy, T-shirty na tyle obcisłe, żeby podkreślić muskulaturę, ale nie tak ciasne, żeby wyglądał w nich jak palant. Ale chodzi głównie o to, że się do mnie odzywa. Praktycznie tylko do mnie.

– Cholera – mówi Retha, zrównując się ze mną. – Czyżby Cameron coraz bardziej się napalał? – pyta poważnym tonem. – Zdaje się, że tak.

– Zdecydowanie. – Obie wpatrujemy się w drzwi, choć chłopak już sobie poszedł. Zerkam z ukosa na Rethę. – Znów się do mnie odezwał – informuję ją z uśmiechem.

– Trudno się dziwić. Co powiedział?

– Powiedział „niezła mowa”.

Retha jest pod wrażeniem. Widzę to w jej oczach nawet przez tony czarnego eyelinera.

– To dlatego, że ma na ciebie ochotę – stwierdza. – Może więc będziesz w końcu łaskawa się z nim przespać i odkryć, co tu robi? Muszę to wiedzieć.

– Pewnie. Już lecę to dla ciebie zrobić. – Zrzucam torbę na ramię i rozglądam się po sali. Travis jeszcze śpi w kącie z głową na skrzyżowanych rękach. – Zabieraj swojego chłopaka – zwracam się do Rethy, wskazując go gestem. – Muszę lecieć do domu. Za kwadrans będzie Evan.

– Hej! – wrzeszczy Retha do Trávisa, wyrwijając go ze snu. – Spadamy. Savvy musi dzisiaj odebrać brata.

Travis gapi się na nas przez chwilę, mrugając ciężkimi powiekami, jakby próbował skojarzyć, gdzie jest. Prostuje się i odgarnia z twarzy swoje długie czarne włosy.

– Okej – mówi dość niewyraźnie. – Ale ty prowadzisz, Retho. Chyba jeszcze mam kaca.

– No – mówię, gdy Travis wytacza się z nami przez drzwi, a pod jego cienką

koszulką z długimi rękawami ostro rysują się chude ramiona. – Tak to bywa, kiedy się chleje na parkingu pod 7-Eleven do czwartej nad ranem.

– Hej. – Uśmiecha się. – Też tam byłeś.

– Taa. – Celuję w niego palcem. – Ale ja nie piję. Dlatego jestem tylko zmęczona. A nie śmierdząca i skacowana.

Mina mu rzędzie i podnosi rękę, żeby się powąchać.

– Travis, weź – protestuję, odpychając go na tyle mocno, że się potyka.

– Serio, jedzie od ciebie.

Retha przyznaje mi rację i zaczyna opieprzać go po hiszpańsku, doprowadzając mnie tym do śmiechu. Nie jestem dwujęzyczna, ale dzięki niej znam wszystkie hiszpańskie przekleństwa. Mało tego, jak się rozkręci, zawsze dołoży trochę nowych bluzgów.

– Wyluzuj, kobieto – woła Travis do Rethy, gotów bawić się w kłótnię. Nagle jednak poważnieje, widząc coś na korytarzu za naszymi plecami. – Widzimy się przy samochodzie. Muszę załatwić jedną sprawę – tłumaczy. Mijając Rethę, dotyka jej ramienia.

Odwracam się i widzę, jak z klasy wychodzi Gris, podciągając wiszące nisko dzinsy. Zakręcony, jak zawsze.

– Travis... – mówię, gdy chłopak idzie korytarzem w ślad za Grisem. Wygląda na to, że jednak nie przespał całej lekcji.

– Opuść sobie – zwraca się do mnie Retha, wyraźnie znudzona. – Gris nie powinien się ciebie czepiać. Ktoś powinien mu skopać dupę.

Pewnie ma rację. Łomot czasem pomaga – przynajmniej nam, a Travis nie narobi sobie kłopotów. Gris wie, że takich rzeczy się nie zgłasza.

– Dobra – zgadzam się i ruszam za Rethą na parking. – Ale jeśli przez Grisa spóźnię się do domu, wrócę tu i go dziabnę.

* * *

Na kacu czy nie, Travis w życiu nie dałby nikomu prowadzić swojego samochodu. Jego impala to starość i to nie w stylu „zrobię z niej cacko”. Jest pordzewiała, a od dywaników lekko wali pleśnią, on jednak dba o to, żeby była czysta, jakby był z niej dumny. Zawsze odkurza deskę rozdzielczą i czatuje pod samoobsługową myjnią na miejsce zwolnione przed czasem. My więc też jesteśmy z jego impali dumne.

Pod mój dom podjeżdżamy równocześnie ze szkolnym busem mojego braciszka i wiem, że się spóźniłam. Zgarniam z siedzenia torbę, łapiąc za klamkę.

– Potem zadzwonię – mówię do Rethy, która podnosi rękę, żeby mi pomachać, i pochyla się, by podgłośnić radio. Wysiadając, walę Travisa w tył głowy. Ten krzyczy, ale ja już gnam do busa. Serce mi wali. Evan będzie nieszczęśliwy.

Ciskam torbę na nasze podwórko i zatrzymuję się pod drzwiami busa, zdyszana czekam na ich otwarcie. Przez otwarte okno słyszę płacz Evana. Lubi widzieć, że czekam, zanim autobus pojedzie – inaczej nie chce wysiąść. Bo jeśli mnie nie ma, myśli, że go opuściłam. Ale ja nie jestem mamą. I nie zamierzam zniknąć tak, jak ona.

Drzwi otwierają się, skrzypiąc, a ja wspinam się po stromych stopniach, kiwając głową kobiecie za kierownicą. Odpowiada niechętnie, wygląda na zmizerowaną. Wyczerpaną.

Idę w głąb przejścia i inny mały chłopiec wskazuje mi miejsce równoległe ze swoim. Na widok skulonego, zakrywającego dłońmi twarz Evana zatrzymuję się. Serce mi się kraje.

– Cześć, młody – mówię. Mój siedmioletni braciszek łapie oddech, wciąż jeszcze płacząc, ale ciszej, bo już jestem.

– Spóźniłaś się – chrypi cienkim głosikiem zza dłoni.

Przełykam tkwiącą w gardle gulę.

– Wiem. Przepraszam.

Evan pociąga nosem, nadal nie odsłaniając twarzy. Nienawidzę siebie.

– Chodźmy – mówię, podnosząc z podłogi jego plecak. – Inne dzieci też muszą jechać do domu.

Milczy, a potem mamrocze:

– Nie.

– Evan – upominam go, nie chcąc robić afery. Żałuję, że nie mogę po prostu złapać go za rękę i wyciągnąć; tak byłoby łatwiej. Ale nigdy nie startuję do niego z łapami.

– Posłuchaj – odzywam się łagodniej. – Przykro mi, wiesz? Spieprzyłam sprawę. Ale jeśli teraz za mną pójdziesz, zrobię nam parówki z serem. Obiecuję.

– Naprawdę? – pyta cicho.

Moje wargi rozchylają się w uśmiechu.

– Tak. Ale będziesz musiał mi pomóc. Wiesz, jak nie cierpię zmywania.

Evan opuszcza wreszcie ręce i patrzy na mnie. Końcówki jego jasnych włosów, sięgające oczu, są mokre, a w kącikach ust zaschło mu masło orzechowe, pozostałość po szkolnym obiedzie.

On zasługuje na kogoś lepszego ode mnie.

– Okej – odpowiada. – Pomogę ci.

– Może być też rysowanie – proponuję, biorąc go za rękę. Mówię to radosnym tonem, starając się, żeby zabrzmiało tak, jakby w naszym gównianym domu czekało go coś fajnego. Bo nie czeka. Myślę jednak, że on o tym zapomina. Jakby każdego dnia zaczynał od nowa.

Też bym tak chciała.

* * *

Chociaż jest za wcześnie na kolację, i tak robię Evanowi parówki z makaronem i serem. Nie proszę go o pomoc przy zmywaniu, ale wyciera talerze. Gdy już mamy to z głowy, idziemy do dużego pokoju i podsuwam mu kredki oraz odwróconą na czystą stronę kartkę z zadaniem, które dostałam w szkole.

Evan kładzie się na brzuchu na wytartym dywanie i rozkłada przed sobą kredki. Rysuje obrazek, od czasu do czasu oglądając się, czy nadal z nim jestem. Przez chwilę jest spokojnie. Normalnie.

Otwierają się frontowe drzwi i serce zaczyna mi walić.

Ciężkie buty ojca człapią po korytarzu, aż wreszcie czuję jego obecność w drzwiach za mną.

– Jest kolacja? – pyta, krusząc chrapliwym głosem panujący w pokoju spokój.

– Taa – odpowiadam. – Jest na kuchence. – Nie odwracam się, licząc na to, że sam się obsłuży. Evan rysuje fioletowe niebo.

– No co ty, Savannah? – odzywa się mój ojciec. – Nie mogłabyś mi nałożyć? Dopiero co wróciłem z roboty.

A ja byłam w szkole, ugotowałam kolację i jeszcze pozmywałam naczynia, ale mu tego nie wypominam. Przysuwam się do Evana i stukam w kartkę.

– Hej, młody – szepczę. – Pokoloruj ten dom na różowo.

Robi wielkie oczy, jakby różowy dom był czymś najbardziej absurdalnym w świecie. Śmieje się.

– Nie – mówi. – Dom jest biały.

– Tak, ale ja chciałabym różowy. – Czochram mu włosy i podnoszę się. Evan sięga po różową kredkę.

Ojciec tupie do kuchni i odsuwa sobie krzesło, szorując nim po wybrzuszonym linoleum. Wzdycha ciężko ze zmęczenia. Rozumiem to uczucie.

Podchodzę do kuchenki i przy pomocy drewnianej łyżki z obłamanym trzonkiem mieszam zgęstniały już makaron, a potem nakładam łychę na świeżo umyty talerz. Stawiam go na stole przed ojcem.

Dłuższą chwilę przypatruje się makaronowi z serem i kawałkami hot-dogów, zanim zacznie z niesmakiem grzebać w nim widelcem.

– Znowu? – pyta mnie.

Opieram się biodrem o zlew i patrzę mu w oczy.

– To jego ulubione.

– Moje nie.

Powiedziałabym mu, że jest dorosły i w pełni zdolny zrobić sobie kolację, ale nie chcę się dziś z nim sprzeczać. Nie teraz, kiedy jest Evan. Odwracam wzrok, zagryzając wargi.

Nie zawsze tak u nas było. Kiedy jeszcze była tu mama, tata czasem pomagał

jej w kuchni – do diabła, czasem nawet sam coś pitrasiał. Nigdy się nie kwalifikował na ojca roku, ale przynajmniej nie był bezużyteczny. Teraz nie potrafi związać końca z końcem, nie mówiąc już o utrzymaniu się w jakiegokolwiek robocie.

Słysząc głośny szczęk, gdy opuszcza widelec na talerz. Odwracam się i widzę, że mocno rozciera sobie twarz.

– Podrzucisz mi browara? – pyta.

– Nie. Dopiero piąta.

Zerka na mnie, przez chwilę nawet żałośnie, zaraz jednak wstaje i przechodzi przez kuchnię, żeby wyciągnąć piwo z prawie pustej lodówki. Gdy tylko siada przy stole, zrywa zawleczkę z puszkii tego swojego budweissera.

– Tato – krzyczy Evan, wbiegając do kuchni. – Patrz, co zrobiłem!

Ojciec przygląda mu się, głośno przełykając piwo, dopiero potem odpowiada.

– Zobaczmy, co tam masz – mówi cicho, wyciągając rękę.

Evan skacze z radości, jego energia aż nie pasuje do tej ciasnej, żalostnej kuchni.

– Różowy dom – mówi nasz ojciec. Doceniam tę próbę okazania zainteresowania.

– Aha. – Evan odwraca się, żeby mi też pokazać rysunek. – Savvy chciała różowy.

Zaciskam mocno wargi i wyciągam rękę, żeby szturchnąć go w ramię.

– I widzisz, że dobrze wygląda?

– Tak – śmieje się Evan.

Patrzę na ojca i widzę, że obserwuje mojego brata z tym samym wyrazem twarzy, jaki ostatnio ma zawsze w jego obecności. Wyrażającym poczucie winy, żal, może odrazę – nie jestem pewna. Ale przynajmniej rozumie, że nie powinien tego okazywać. Pociąga łyk piwa, tak długi, jakby chciał się w nim całkiem utopić.

– Jakiego koloru dom ty chcesz, tato? – pyta Evan, podchodząc do niego.

– Obojętnie – odpowiada ojciec. Boli mnie, kiedy widzę, jak Evan wysuwa dolną wargę.

– Pokoloruj dom na niebiesko – podpowiadam szybko. – Ulubiony kolor taty to niebieski. – Nie mam pojęcia, jaki jest ulubiony kolor mojego ojca i szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi. Wiem za to, że Evan lubi niebieski.

– Mój też! – krzyczy braciszek, wymachując rękami. Niechący trafia w puszkę z piwem i ją przewraca.

– A niech cię – warczy ojciec, odsuwając się na krześle, bo piwo ścieka mu ze stołu na dzinsy. – Co jest do cholery, Savannah? – wrzeszczy na mnie tak, że Evan aż podskakuje. – Masz go pilnować!

Zaciskam pięści.

– Chodź tutaj, Evan – mówię szybko, przyciągając do siebie braciszka.

Jednak za późno. Już zaczyna płakać. Strasznie. Nie znosi głośnych dźwięków, a szczególnie tych, które wydaje nasz tata.

– No świetnie – mówi ojciec, podnosząc ręce i pogardliwie wykrzywiając usta. – Kolejny fantastyczny wieczór.

– Zamknij się – odpowiadam, przygarniając do siebie Evana. Ale mój braciszek już zaczyna się szamotać, zgniata swój rysunek w kulkę i rzuca na podłogę. – Przestań – szepczę. Evan jednak wbija mi paznokcie w skórę, a kiedy wzdrygam się z bólu, wyrywa się i biegnie w stronę dużego pokoju.

Bluzgam i podnoszę skraj koszulki, żeby się przyrzyć głębokim zadrapaniom wzdłuż całego boku. Sprawiają ból, ale chyba będą stanowić niezły komplet z sińcem na plecach po zeszlotygodniowym szale.

W kuchni robi się cicho, jeśli nie liczyć równomiernego kapania piwa spływającego ze stołu. Patrzę na ojca i widzę, że ze złości jest cały czerwony.

– Nie możemy tego dalej ciągnąć – oznajmia.

– Nie ty to ciągniesz – odpowiadam – tylko ja.

– Gdyby była tu twoja matka...

– Ale jej nie ma. Zostawiła nas, zapomniałaś?

Mruży oczy.

– Pamiętam, Savannah. Cholernie dobrze pamiętam.

Na pewno? Pamięta, jak to było tego ranka, gdy odeszła? Bo ja tak. To ja wydzwaniałam wszędzie, szukając jej. To ja musiałam odpuścić sobie szkołę, żeby zajmować się Evanem. I to ja musiałam mu powiedzieć, że ona nie wróci. Mój braciszek był zdruzgotany. Cholernie dobrze to pamiętam.

– To nie działa – mówi ojciec, machając ręką w ślad za Evanem. – I nic nie wskazuje na to, żeby miało zadziałać. – Głos mu się jednak łamie, może tak dają o sobie znać resztki jego sumienia.

– Jest poprawa – podkreślam, wiedząc, że to nieprawda, ale desperacko pragnąc w to wierzyć.

Ojciec mruga, jakby chciał się pozbyć spod powiek łez, i powoli rusza po ścierkę wiszącą koło kuchenki.

– Trzymaj dziś Evana z dala ode mnie, Savannah – szepcze.

Tak właśnie zrobię. Wchodzę do dużego pokoju i widzę mojego braciszka zwiniętego w kłębek na kanapie. Większość jego kredek leży połamana na dywanie. Dopiero co mu je odkupiłam.

Na sekundę zamykam oczy. Nienawidzę takich chwil. Nienawidzę swojego życia. Zaraz jednak się prostuję, odgarniam włosy z twarzy i padam na kolana, żeby pozbierać kredki do pudełka. Załamana.

ROZDZIAŁ 2

Godzinę później, gdy nasza ciotka przyjeżdża, żeby zabrać mojego braciszka, w zasadzie jest już na to przygotowany. Raz w tygodniu i w każdy weekend nasza ciocia Kathy zabiera Evana do siebie, by tam karmić go warzywami, prać mu ciuchy i czytać bajki na dobranoc. Nie byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała, że już nafaszerowałam go wyrobami mięsnymi i serem, ale tylko tak mogłam go zwabić do domu.

Jutro rano Kathy osobiście odwiezie Evana do szkoły. Ale po lekcjach braciszek wróci tutaj, do tego wszystkiego. I do mnie. Mnie też Kathy zapraszała do siebie, dopóki nie okazałam się groźna dla otoczenia. Wyleciałam więc nie tylko ze szkoły. Siostra mojej matki spisała mnie na straty. Nie jestem mile widziana nawet w gronie własnej rodziny.

Kiedy wychodzę na ganek, samochód Trávisa stoi przy krawężniku. Evan i Kathy już pojechali, a ojciec wykorzystuje takie wieczory, żeby się upić. Kiedy to robi, wolę być poza domem.

Zatraskuję drzwi z siatką i zbiegam po schodach w kierunku samochodu. Retha wystawia łokieć za okno od strony pasażera.

– Evan bez problemu zabrał się z Kathy? – pyta.

– Tak – odpowiadam. – Na ten weekend też go weźmie. Powinam się nie zgodzić.

– Suka z niej. – Retha należy do osób pamiętliwych. Ledwie moja ciotka zakazała mi wstępu do swojego domu, od razu trafiła na jej czarną listę. Gdyby te dwie znalazły się kiedyś w jednym pokoju, Retha zaraz by ją zbluzgała. I to właśnie mi się w niej podoba – zawsze trzyma moją stronę.

Wsiadam do tyłu, przesuwam się na środek i wychylam między przednimi siedzeniami. Kiedy to robię, widzę zadrapania na kostkach prawej ręki Trávisa, opartej teraz na kierownicy.

– To przez Grisa? – pytam, wskazując jego dłoń. Wcześniej, kiedy mnie odwoził, nie wyglądał na tak poobijanego.

– Nieee – odpowiada Travis, rozprostowując palce, żeby się im przyjrzeć. – Dłubałem w silniku. Pewnie o coś walnąłem.

Retha zerka na niego, marszcząc brwi. Kac Travisowi pewnie już przeszedł, ale z nim nigdy nie wiadomo. Równie dobrze może akurat teraz mieć całkiem innego rodzaju doła.

Kiwam głową i rozpieram się na siedzeniu. Nie moja broszka, gdzie się tak poobijał. Retha odwraca się, a Travis wrzuca bieg i wyjeżdża na ulicę.

Kiedy jedziemy, wyglądam przez okno. Podczas wieczorów bez Evana nigdy nie wiem, gdzie wyląduję ani kiedy wrócę do domu. Ale to jest fajne. Fajnie jest się

na trochę wyrwać. Nawet jeśli nie zdarza się to często.

Nasz wieczór zaczyna się, jak zawsze, od 7-Eleven. Travis posługuje się dokumentami swojego brata, co stanowi bezdyskusyjne pogwałcenie zasad zwolnienia warunkowego, ale my go przecież nie zakapujemy.

Parkujemy na naszym stałym miejscu z boku budynku i obie z Rethą czekamy w samochodzie, a Travis robi zakupy. Ja stawiam na napoje bezalkoholowe. W domu w kółko oglądam nachlanego ojca – nie marzy mi się dziedziczenie jego problemu.

– Zastanawiam się, czy nie przekłuć sobie nosa – mówi Retha, przyglądając się sobie we wstecznym lusterku.

– Powinnaś – potwierdzam. – Dopilnuj tylko, żeby ci się nie babrał jak brew. Gwałtownie odwraca się do mnie, a czarne loki uderzają ją w policzek.

– Wcale się nie babrała! – protestuje.

– Wyglądała nieciekawie.

– Weź się przymknij. – Odwraca się z powrotem. – Czy ja się przypieprzałam, jak sobie przekłułaś pępek?

– Pewnie że tak. Nazwałaś mnie lansiarą.

Uśmiecha się.

– Bo jesteś lansiarą.

Śmieję się i proponuję, żeby się odpieprzyła.

Otwierają się drzwi od strony kierowcy i wsiada Travis, kurczowo trzymając papierową torbę. Sięga do niej i wyciąga napój gazowany.

– Doktor pepper – ogłasza, podając mi go.

– Dziękuję.

– A to dla ciebie, miłości moja – zwraca się do Rethy, wyjmując kolejną butelkę. – Mike's Hard Lemonade.

Retha przechyla się na jego stronę z uśmiechem na ustach.

– Dziękuję ci, kochany – szepcze i całuje go.

Otwieram swoje picie tak, żeby zasyczało, ale się nie speniło. Kiedy już mam pociągnąć łyk, Retha wybucha śmiechem.

– No nie mogę, Savvy – mówi, odklejając się od Trávisa. – Czy to nie twój chłopak?

Żołądek mi się ściska i opuszczam butelkę. W moim życiu nie ma chłopaka, ale jest były, wyjątkowy psychol. Chociaż gdyby chodziło o Patricka, Retha nie pękałaby ze śmiechu. Łapałaby za bejsbola.

– O kogo ci chodzi? – Przysuwam się do okna i skanuję wzrokiem parking, ale nikogo nie poznaję.

– Właśnie wszedł do środka – odpowiada. – Cholera, dziewczyno. Czyja to beemka?

– Co? – pytam. – Nie znam nikogo z... – Milknę, bo pojmuję, że mówi

o Cameronie Ramseyu. Rozglądam się za jego samochodem. – Jego – potwierdzam, choć jestem pewna, że Retha to wie.

– Ten nowy ze szkoły? – upewnia się Travis.

Retha kieruje ostry paznokieć w stronę sklepu.

– Tam jest – mówi. Odwraca się do mnie z uśmiechem. – Idź, Savvy, powiedz mu cześć.

– Nie. – Zwariowała, jeśli myśli, że to zrobię.

– Leć.

– Nie, Retho – odmawiam. – Nie zamierzam włączyć za Cameronem do 7-Eleven.

– Wyluzuj – mówi, jakbym się bez powodu uparła. – Spodobałaś się temu chłopakowi. Odzywa się do ciebie.

– I co z tego?

– Z nikim innym nie gada – podkreśla.

Ma rację. I może rzeczywiście wpadłam mu w oko. Możliwe. Ale to i tak nie ma znaczenia. To jeszcze nie powód, żebym się pakowała do sklepu z alkoholem za koleśmi z zajęć dla nieprzystosowanych. Tak nisko nie upadłam.

– Jedźmy już – mówię, udając, że Cameron nic mnie nie obchodzi. Nie mogę się jednak powstrzymać i zerkam na niego przez szybę. Spuszczam wzrok na butelkę, by dla niepoznaki zająć się zdzieraniem etykiety.

Jeszcze kilka lat temu, może nawet w zeszłym roku, zakreśliłabym się koło takiego Camerona. Może wpasowałby się w moje towarzystwo – między tych wszystkich mięśniaków i czirliderki. Teraz już nie należę do takich dziewczyn. I nie mam takich przyjaciół.

Zresztą nie mam czasu zawracać sobie głowy chłopakami. Muszę się opiekować bratem. Zawsze będę musiała.

Retha nachyla się do Trávisa, szepcząc mu coś do ucha, a ja odchylam głowę na oparcie. Travis zapala silnik i wrzuca bieg, ale zamiast wyjechać na ulicę, przecina parking i staje obok lśniącej czarnej beemki.

Siadam prosto.

– Czekaj. Co ty odstawiasz? – pytam go.

Nasze oczy spotykają się we wstecznym lusterku i Travis wzrusza ramionami.

– Zdrajca – mruczę pod nosem.

– Czas na siku – woła Retha, wysiadając. Otwiera tylne drzwi i zagląda do mnie. – Ty też idziesz.

– Nie idę. – Mowy nie ma.

– Savannah, wysiadaj z wozu – żąda – bo powiem Cameronowi, że czekasz tu, żeby zrobić mu loda.

Wybucham śmiechem.

- Nie zrobiłabyś tego.
- Pewnie, że by zrobiła – odzywa się Travis. – Ja bym jej posłuchał.
- Nie. – Kręcę głową i odwracam się do niej. – Retho, tylko tak gadasz.

W życiu nie wkręciłabyś mnie w coś takiego.

Na moment zagryza wargi i przypatruje mi się.

- Jak chcesz. – Zatrząskuje drzwi i maszeruje w stronę sklepu.

Zatyka mnie.

- Cholera jasna. Nie mówiła poważnie? – pytam Trávisa.

- Jak dla mnie całkiem poważnie.

- Zatrzymaj ją. – Walę go w ramię.

- Wiesz, że mnie Retha nie posłucha – śmieje się. – Już prędeż ciebie.

Pewnie ma rację, ale nie zamierzam tam wchodzić. Wstawiam butelkę między fotele i wychylam się do przodu, wpatrzona w przeszklony front sklepu.

Serce przyspiesza mi odrobinę, bo widzę Camerona. Z paczką chipsów i butelką mountain dew zatrzymuje się przy stojaku z ciasteczkami koło kasy. Retha wali prosto do niego.

Widzę, jak rozmawia z Cameronem, a on się jej przygląda, wyraźnie rozbawiony. Wybuchą śmiechem, kiedy Retha wskazuje na samochód. Chłopak zerka w tę stronę, a ja chowam się za Travisem.

– Ale wtopa – mówię. Travis parska śmiechem. Odczekuję chwilę, a potem znów zerkam na sklep. Cameron gapi się na Rethę, przekrzywiając głowę, jakby speszony. Ona nawija dalej, a Cameron, unosząc wysoko brwi, znów patrzy na nasz samochód.

Przyuwaga mnie i usta krzywią mu się w uśmiechu. Niemożliwe. Naprawdę jej uwierzył? Retha odwraca się i macha do mnie, potem bierze Camerona pod rękę i prowadzi do kas.

Chyba umrę. Jak mogła mi to zrobić? Ta laska nie odpuszcza.

- Spadajmy stąd – namawiam Trávisa, wiedząc, że się nie zgodzi.

– Sama się prosiłaś. – Gasi silnik, jakbyśmy mieli tu pobyć dłużej. Jakby się palił do tego, żeby wziąć udział w moim upokorzeniu.

Drzwi 7-Eleven otwierają się i Retha z Cameronem wychodzą. Cameron ma w ręku papierową torbę, a na twarzy uśmieszek. Wierzyć mi się nie chce. Co z niego za zbok, jeśli uważa, że dziewczyny tylko czekają, by zrobić loda na tylnym siedzeniu samochodu? Na to się tak napalił? Mam nadzieję, że Travis skopie mu dupę.

Cameron otwiera drzwi od mojej strony, a ja splatam ręce na piersi i gapię się na niego ze złością.

– Hej, Sutton – mówi, patrząc nie tyle na moją twarz, co na butelkę koło mnie.

- Ty tak serio? – pytam. – Nie wierzę, że tu przyszedłeś. Aż tak cię

przypiliło? – W głowie mi się nie mieści, że uważałam go za porządnego gościa.

Cameron marszczy brwi i ogląda się na Rethę. Moja przyjaciółka śmieje się i wskakuje na przednie siedzenie.

– Hm... przepraszam – mówi Cameron, odwracając się znów do mnie. Miętosz torbę, zaglądając do auta. – Twoja przyjaciółka prosiła, żebym ci to kupił. Powiedziała, że o takim marzysz.

– Ale szok.

I wtedy wyciąga z torby lizaka. Takiego na patyku. Dokładnie rzecz biorąc, takiego z gumą do żucia. Cameron wyciąga go w moją stronę, nie odrywając oczu od moich butów. Policzki palą mnie ze wstydu. Najchętniej nie wzięłabym tego lizaka, ale takie zmuszanie go do stania w drzwiach byłoby upokarzające.

– Dzięki – mówię cicho, odbierając od niego prezent. Źle mi z tym, bo mu zarzuciłam, że go przypiliło.

Cameron prostuje się.

– Było nawet śmiesznie – mamrocze. – Dobrej nocy. – Zamyka drzwi i odchodzi.

Nie odzywając się słowem, patrzymy, jak wsiada do swojej beemki i odjeżdża. Kiedy już go nie ma, Retha odwraca się, wrednie uśmiechnięta.

– Cholerka, ale z niego ciacho.

– Lizaka? – pytam.

– Chyba lepiej niż loda, nie? Przynajmniej nie przepuściliśmy okazji, Savvy.

– Pieprzona zołza z ciebie.

– Daj spokój – śmieje się. – Masz nosa do facetów. Ilu kupiłoby dziewczynie lizaka tak bez powodu? Mało który. Słodziak z niego.

– Ja bym ci kupił – odzywa się Travis, chyba urażony.

Retha wyciąga rękę, żeby pobawić się jego włosami.

– Wiem o tym, kochany – odpowiada. – Ale my ten etap związku mamy już za sobą. Teraz marzą mi się błyskotki.

Zaczynają się całować, a ja prostuję się na siedzeniu, obracając w palcach lizaka. Zbyttno nie przepadam za truskawkowymi, ale i tak się uśmiecham. Nigdy przedtem nikt nie dał mi takiego prezentu.

Później, o trzeciej nad ranem, kiedy Travis wreszcie podwozi mnie pod dom, nadal trzymam w ręku ten lizak, choć patyczek zaczyna się już strzępić. Retha padła na przednim siedzeniu, a i Travisowi kleją się oczy. Kiedy wysiadam, podnosi rękę, machając mi na do widzenia.

Czekam przy krawężniku, aż światła jego wozu znikną za rogiem. Lęk dopada mnie, gdy się odwracam, żeby spojrzeć na nasz dom. Jest malutki, z płaskim dachem, obłazi z niego biała farba. Szerokie schody frontowe dawno temu straciły swój sznyt i kruszą się po bokach. Nieprędko ktoś się nimi zajmie. Ten dom jest żaloszny. Zupełnie jak moje życie.

Siedzę na najwyższym schodku twarzą do ulicy. W odległym rogu ogródka (o ile kawałek udeptanego piasku można nazwać ogródkiem) jest wzgórek, na którym kiedyś były rabatki. Ten widok boli, boli też wspomnienie o tym, co tam kiedyś było.

Przed Evanem moja rodzina była prawie normalna. Mama nawet w ciąży z moim bratem usiłowała uprawiać ogródek. Ale gdy Evan się urodził i gdy już wiedziała, że nie będzie „normalny”, skazała kwiaty na śmierć. Razem z nimi umarła nasza rodzina.

Przecieram mocno twarz dłonią, odpędzając te myśli. Tę złość. W drugiej ręce ściskam lizaka. Wyciągam go przed siebie, przyglądam się biało-różowemu papierkowi. To niby nic takiego.

Myślę o Cameronie, o jego minie, gdy mu zarzuciłam, że go przypiliło. Powinnam go przeprosić, ale pewnie tego nie zrobię. Nie wiedziałabym jak.

Ale jestem mu wdzięczna. I na dowód tego odpakowuję lizaka i wkładam go do ust.

ROZDZIAŁ 3

Już teraz jestem zmęczona, ale po szkole będę zajmować się Evanem. Takie właśnie są moje poranki – przepełnione zmęczeniem, niepokojem, może poczuciem winy. Nie zawsze tak było. Kiedyś byłam w stanie zdążyć na autobus z przyjaciółkami. Kiedyś miałam życie. Miałam matkę.

Budzik na stoliku koło mnie brzęczy, więc uciszam go walnięciem. Przewracam się na plecy i patrzę w sufit.

Masakra. Szkoła.

Travis i Retha witają mnie przed domem kubkiem kawy i czekoladową roladką. W życiu nie miałam lepszych przyjaciół. Chociaż są tak skacowani, że aż jęczą. Dobrze, że ja nie lubię alkoholu. Marnowanie połowy dnia na mdłości to jakiś koszmar.

– Wyglądasz okropnie – mówię do Trávisa, patrząc w lusterku w jego przekrwione oczy. – Naprawdę powinieneś skończyć z piciem. – Wgryzam się w roladkę.

– Dzięki, mamó – odpowiada i podkręca radio. Wkurza go, gdy czepiam się jego picia.

Z Travisem i Rethą kumpluję się już prawie rok. Retha ma to co ja – nieumiejętnie kontrolowałyśmy złość. Tyle że w moim przypadku bronią był ołówek HB, a u niej pięść. Problemy Trávisa były całkiem inne. Takie, przez które to trafiał na odwyk, to z niego wychodził.

– A wiecie co? – odzywa się Retha, odwracając się, by mnie widzieć. – Słyszałam, że dziś trafi do nas Lucinda Wilson. Trzymajcie tę sukę z dala ode mnie, dobra?

– Nikogo takiego nie kojarzę.

– Jedna z moich byłych – wyjaśnia cicho Travis. Retha znów się odwraca, by spojrzeć na niego z wściekłością.

– Właśnie – dodaje, potrząsając głową. – Lepiej więc niech trzyma swoje wstrętne łapy przy sobie, bo jej je połamię.

Travis wzdycha, jakby zmęczyła go już ta rozmowa, zresztą, znając Rethę, przeprowadzają ją nie po raz pierwszy. Chociaż Retha od gadania woli spuszczenie łomotu. Rwie się od razu z pięściami.

– Ja uważam, żeby nie spotkać mojego wyrywnego byłego – odpowiadam, pakując sobie do ust ostatni kawałek roladki. – Nie wkręcajcie mnie więc w żadną zadymę. Nigdy więcej.

Zanim trafiłam do Brooks Academy, tylko raz brałam udział w bójce – w tej, przez którą się tu znalazłam. Zresztą, praktycznie rzecz biorąc, była to „napaść”, a nie prawdziwa bójka. A brzmi to tak, jakbym co tydzień miała ochotę skopać

komuś tylek lub przed czymś takim uciekała.

Retha uśmiecha się do mnie.

– Postaram się.

Gdy wchodzimy do klasy, pan Jimenez, wyglądający na wyjątkowo wyczerpanego, kurczowo trzyma się pulpitu, przetrząsając papiery. Sala jest prawie pusta. Zauważam jednak w pierwszym rzędzie olśniewającą blondynę. Witaj, Lucindo.

Travis, odprowadzając Rethę na miejsce, obściskuje się z nią wręcz teatralnie.

Retha i Lucinda przywitały się z przepisowym natężeniem wrogości, świat idzie więc właściwym torem.

Mimo to, kiedy siadam, czuję lekkie ukłucie rozczarowania. Nie ma Camerona. Po akcji z lizakiem denerwowałam się, że będę musiała z nim rozmawiać, ale i tak liczyłam na to, że go zobaczę. Gdy spoglądam na Rethę, akurat z głośnym westchnieniem wyciąga się na białce. Travis chowa się w kącie, żeby się zdrzemnąć, a Gris przy swoim stoliku opuszcza daszek bejsbolówki, chcąc ukryć podbite oko.

Pan Jimenez prostuje się na mównicy.

– Oho... – mówi, rozglądając się po klasie. – Pięćdziesięcioprocentowa frekwencja. W tej klasie to odlot.

– Odlot – powtarza Gris, rechocząc. Nikt inny się nie śmieje. Wszyscy jesteśmy za bardzo zmęczeni.

Pan Jimenez kręci głową, rozczarowany.

– Okej. Wyjmijmy ćwiczenia do matematyki i otwórzmy je na stronie dziewięćdziesiątej siódmej. Darujmy sobie wykład.

Szkoda gościa. Prawie że chciałabym się czegoś nauczyć, żeby jego życie nabrało sensu. Brooks Academy jest dla nauczycieli czymś w rodzaju czyścica – krainą między studiami a prawdziwą robotą. To dlatego większość kadry stanowią dwudziestoparolatki z kompleksem ratowania świata. Wszyscy oni się stopniowo wypalają i wydaje się, że pan Jimenez też zawędrował już daleko w tym kierunku.

Drzwi klasy otwierają się i wchodzi Cameron. Łapię się na tym, że się uśmiecham, więc poważnieję, zanim ktoś mógłby to zauważyć. Jasne włosy Camerona są ciasno ściągnięte do tyłu, a bicepsy opina świeżo wyprasowany biały T-shirt. Idąc do stolika, gapi się w podłogę.

– No to odlatujemy ku gwiazdom – odzywa się pan Jimenez. – Nawet Cameron przyszedł dziś na zajęcia.

Cameron siada przy stoliku obok mojego, nie zwracając uwagi na nauczyciela, i wyjmuje zeszyt. Obserwuję go, gdy nagle widzę, że Lucinda ogląda się i gapi na niego. Wpatruję się w nią, mrużąc oczy, aż w końcu się odwraca.

– Strona dziewięćdziesiąta siódma? – upewnia się za nas pan Jimenez.

No tak. Matma.

Wyciągam ćwiczenia i przewracam wypełnione już strony, ale widzę, że Cameron wgapia się w blat.

– Hej – szepczę. Zerka na mnie. – Ćwiczenia do matmy.

Cameron powoli podnosi oczy, a kiedy spotykamy się wzrokiem, czuję, jakby przeszedł mnie prąd. Puls mi przyspiesza, tak osobiste jest to spojrzenie. On nie tylko na mnie patrzy, mam wrażenie, że mnie naprawdę widzi.

– Dzięki – odpowiada i szybko odwraca wzrok. Kiedy sięga do plecaka po książkę, mnie nadal odrobinę brakuje tchu.

Z drugiej strony sali dobiega do mnie chichot, a kiedy się odwracam, widzę Rethę wykonującą ręką wulgarny gest, podpowiadający, co robi się z lizakiem.

– Retho! – woła pan Jimenez. – To bardzo nie na miejscu.

Ona przeprasza, a ja zakrywam usta, tłumiąc śmiech. Ale wtopa. Zerkam na Tralisa, ale on już się wyłączył. Cholera. Sama jedna muszę się cieszyć tą chwilą.

Biorę ołówek i robię ćwiczenia. Są łatwe. Brooks Academy nie przygotowuje do studiów; to jedynie zajęcia wyrównawcze.

– Jak ci minął wieczór, Sutton?

Odwracam się do Camerona. Rozwiązuje matkę, gadając z książką.

– Dobrze. A u ciebie?

– Dobrze.

Mrugam, czekając, czy pociągnie temat, ale tego nie robi. Nadal też na mnie nie patrzy. W nagłym poczuciu osamotnienia wzdycham. Próbuję pozbierać się do kupy i prostuję się na krześle, żeby dokończyć zadania.

* * *

Bus Evana się spóźnia. Czekam na ganku, rozglądając się po ulicy. W serce wkrada mi się lęk. Nie jest dobrze. Nigdy nie jest dobrze, kiedy jego bus się spóźnia.

Widzę wreszcie, że autobus skręca na naszą ulicę i podskakuję z ulgą. Ale kiedy zatrzymuje się przede mną, już wiem, że coś jest nie tak.

Pani kierowca otwiera drzwi i zbiega do mnie po schodkach.

– Tak mi przykro, Savannah – mówi szybko. – Nie dałam rady go uspokoić.

Robi mi się gorąco i mijam ją, wpadając do autobusu. Idę tam, gdzie Evan siedział poprzedniego dnia, ale jego miejsce jest puste. Mimo to go słyszę. Idąc w głąb przejścia, słyszę jego chrapliwy oddech i łkanie. Znajduję go pod jednym z siedzeń, skulonego na brudnej podłodze.

Pani kierowca jest już koło mnie.

– Byliśmy tuż tuż, na ulicy, i powinnam powiadomić szkołę, ale... Wiedziałam, że on już chciałby być z tobą. Pomyślałam więc...

– Dziękuję pani – mówię, kucając, żeby wyciągnąć rękę i pogłaskać Evana po włosach.

Słyszę stukot butów oddalającej się kobiety. Na pewno bała się, że wyleją ją z roboty – musi przecież przestrzegać regulaminów. Cieszę się, że nie przestrzegają. Evan mnie potrzebuje. A ja potrzebuję być tutaj dla niego.

– Hej, młody – szepczę. Tak dygocze, że muszę uporać się z własnym strachem. – Co się stało?

Pociąga nosem.

– Zabrali.

– Co zabrali?

– Twój prezent. Chłopcy go zabrali.

Podnoszę głowę, żeby zobaczyć, czy pani kierowca orientuje się, o czym on mówi. Bo gdy ktoś przypieprza się do mojego brata, mnie odbija. Kobieta potrząsa przecząco głową, dając mi do zrozumienia, że nic takiego nie zaszło. Evan... On czasem za bardzo się przejmuję. Nie jego wina – dzieciaki potrafią być wredne. Ale jeden mały komentarz może równać się katastrofie.

Pani kierowca ruchem głowy wskazuje ulicę, widzę, że się niepokoi. Musi jeszcze rozwieźć resztę dzieciaków. Jeśli nie zabiorę braciszka z busa, będzie musiała o tym powiadomić szkołę.

– Evan – zwracam się do brata poważnym tonem. – Wstawaj natychmiast. – Próbuję chwycić go za rękę.

– Nie – krzyczy, wrywając mi się i wbijając mój nadgarstek w metalową szynę pod siedzeniem. Wibracje przenikają mnie aż do kości i warczę z bólu.

– Kurwa – klnę, cofając się. Cholera jasna. Jeśli nie zaciągnę go do domu, nie skończy się na tym, że pani kierowca powiadomi szkołę, bo szkoła skontaktuje się z moim tatą. A może nawet z ciotką. Nie chcę, żeby mieli kolejny argument do odebrania mi brata.

– Evan – powtarzam, mówiąc cicho i panując nad głosem. Na nadgarstku już widać czerwono-siny ślad. – Chodźmy.

– Nie chcę.

Nie ustąpi, a przynajmniej nie przez najbliższe pół minuty. Choć oczy szczypią mnie od łez, wyciągam rękę i łapię go za nogawkę. Zaciskam palce na materiale dżinsów i wyciągam Evana spod siedzenia, a gdy kopie mnie mocno w piszczel, krzywię się, ale nie puszczam.

– Puść mnie! – wrzeszczy. Dzieciakami wokół nas pewnie to wstrząsnęło. Opowiedzą swoim mamom o takiej okropnej dziewczynie w autobusie. Na samą myśl o tym robi mi się gorzej. Nienawidzę przysparzać Evanowi takich zmartwień. Nienawidzę tego, że muszę to robić.

Wyciągnąwszy brata do przejścia, podnoszę go do góry i przyciskając mu rękę do ciała, jakby był w kaftanie bezpieczeństwa, przygarniam do siebie. Krzyki

Evana przechodzą w szloch, agresja mija, a ja cofam się z nim do wyjścia.

Któryś malec bierze sfatygowany plecak Evana i znosi go kierowcy. Braciszek jest w stanie zejść ze mną po schodkach, trzymając się mojego boku. Pani kierowca wychodzi za nami i kładzie plecak na chodniku.

– Dziękuję pani – szepczę, prawie na nią nie patrząc. Ale patrzę, a jej mina mówi mi, że po raz ostatni robi dla mnie coś takiego.

Oczy mnie szczypią i odwracam się szybko, żeby zaprowadzić Evana do domu. Zatrząskuję za nami drzwi wejściowe i zamykam je na zamek, a potem idę z braciszkiem na kanapę.

Evan wspina się na nią i kuli w kłębek na jednym z jej końców, łkając cicho pod nosem. Jest urażony i zły – prawdopodobnie też skołowany. Nie powinnam wyciągać go spod tego siedzenia. Należało poczekać, aż się uspokoi.

Siadam na poręczu kanapy i mam chwilę oddechu. Czuję skurcze mięśni i boli mnie nadgarstek. Dokucza mi też noga, tam, gdzie mnie kopnął Evan. Będzie siniak. Zawsze są siniaki.

Odwracam się do braciszka i widzę, że wreszcie przestał płakać.

– Powiesz mi, co się stało w autobusie? – pytam. – Co cię tak zasmuciło?

Otwiera oczy i patrzy na mnie.

– To nie było w autobusie – warczy, jakbym celowo przekręcała jego słowa. Jestem zrozpaczona, zniecierpliwiona. Obolała. Staram się, żeby tego nie widział.

– Okej – mówię, podnosząc ręce na znak, że się poddaję. – To gdzie?

– W szkole – odpowiada, mocno pociągając nosem. – Czekałem na autobus tak, jak trzeba. Ale przyszli duzi chłopcy i zabrali prezent, który dla ciebie zrobiłem.

Dłonie gwałtownie zaciskają mi się w pięści i przyciskam je do boków.

– Jacy duzi chłopcy? Gdzie była twoja nauczycielka?

Evan kręci głową.

– Ja nie wiem, Savvy – łka. – Nie wiem, gdzie była panna Malloy. Ale ci chłopcy nazwali mnie głupkiem i zabrali mi plecak. – Głos robi mu się wyższy, zaczyna się łamać. – Wysypali moje rzeczy na ziemię i zabrali twój prezent. – Znowu zbiera mu się na płacz. – Nie był ich. Nie powinni go zabierać.

– Już dobrze, Evan – uspokajam go, zsuwając się na poduszkę obok. – Duzi chłopcy to przeważnie idioci. Poza tym ja nie muszę mieć prezentu. – Mój brat przynosi mi prezenty przynajmniej raz na tydzień. Najróżniejsze, od rysunków po naszyjniki z makaronu i ramki do obrazków, które okleił kapslami. Zaczyna mi już w domu brakować na nie miejsca.

Evan znowu pociąga nosem i podnosi na mnie oczy.

– Ale zrobiłem go dla ciebie – mówi. – Powinnaś dostawać prezenty.

Powieki ma zaczerwienione, a niebieskie oczy szkliste. Nachylam się do niego i całuję go w nos.

– Hej – szepczę. – Mówiłam ci już, że prezenty mi wiszą. Ty jesteś moim prezentem.

Kąciki jego ust drgają, potem podnoszą się w uśmiechu. Gładzę go po przydługich jasnych włosach.

– Ja jestem dobrym prezentem – mówi.

– Najlepszym. A jesteś głodny?

Evan kiwa głową, że tak, i ociera twarz rękawem.

– Wolisz mi pomóc czy poczekać tutaj? – pytam.

– Poczekać tutaj.

– Okej. – Tarmoszę mu włosy i wstaję. Włączam telewizor i ustawiam antenę tak, żeby obraz był jak najlepszy. Znajduję kanał z kreskówkami i uśmiecham się do Evana. Odwzajemnia uśmiech.

Wchodzę do ciasnej kuchni i odkręcam kran, czekając, aż woda zrobi się gorąca. Napelniam nią garnek, który potem stawiam na kuchence. Włączam ją, żeby ugotować makaron z serem.

A kiedy jest już po wszystkim, stoję nad zlewem pełnym brudnych naczyń, zakrywam dłońmi twarz i płaczę.

ROZDZIAŁ 4

Noc mija za szybko, a rano rozglądam się po klasie i widzę, że Retha nachyla się nad stolikiem, próbując zwrócić moją uwagę. Włosy ma związane w wysoki kok, makijaż mocniejszy niż zwykle.

Wysuwam brodę, pytając w ten sposób, o co biega.

– Urywamy się – szepcze na tyle głośno, żebym usłyszała.

Parskam śmiechem, a obok mnie Cameron szczyrzy się nad zeszytem. Retha do subtelnych nie należy. Zerkam na pana Jimeneza, ale on nadal zapisuje na tablicy kolejne linijki tekstu. Powinniśmy to przepisywać, ale jak widać niektórzy z nas są zbyt zajęci planowaniem urwania się z lekcji.

– Nie mogę – mówię prawie bezgłośnie do Rethy.

– Po obiedzie.

– Nie.

– To załatw sobie podwózkę do domu – odpowiada głośno, wyraźnie zirytowana.

Wytrzeszczam oczy.

– Wiesz, że nie mogę – szepczę chrapliwie. – Zero kasy.

– Savannah – woła niespodziewanie pan Jimenez.

Odwracam się do niego skruszona, a on obdarza mnie jedną z tych nauczycielskich min, oznaczających „Naprawdę mnie rozczarowałaś”. Jakby mnie to ruszało.

– Przepraszam – mówię mimo to.

Kładę przed sobą zeszyt i łapię ołówek, w końcu biorąc się do roboty. Z boku słyszę śmiech, ale się nie oglądam. Takie głośne uwagi są krępujące. Zabiłabym za to Rethę.

* * *

Travis i Retha zmywają się po obiedzie, zostawiając mnie. Nie jadę z nimi – nie pozwolę sobie na marnowanie nieobecności. W tym roku zdarzyło się już, że musiałam jechać do szkoły Evana. W Brooksie dopuszczają tylko dziesięć nieobecności, inaczej mogą mnie oblać za pogwałcenie regulaminu. A skoro powtarzanie ostatniej klasy nie wchodzi w grę, zostaję.

Kiedy dzwonek ogłasza koniec zajęć, wstaję i zbieram swoje rzeczy, a niepokój wewnątrz mnie narasta, bo wiem, że będę iść do domu pieszo. A to kawałek drogi. I to całkiem spory. Na szczęście Evan po szkole ma terapię logopedyczną, dochodzi mi więc dodatkowa godzina. Wystarczy, że będę szła szybko.

– Hej, Sutton – odzywa się Cameron. Odwracam się zaskoczona i spoglądam

na niego.

– Co?

– Podrzucić cię? – Składa książki, nie patrząc na mnie. I dobrze, bo mnie zatkało.

– Nie. Nie trzeba – odpowiadam.

– Na pewno?

– Tak.

Uśmiecha się i podnosi głowę, spotykając się ze mną wzrokiem.

– Jadę w tę samą stronę – proponuje.

– Nieprawda – zaprzeczam. – Nawet nie wiesz, gdzie mieszkam.

– To skąd wiesz, że nie jadę w tamtą stronę?

W końcu na mnie patrzy. Nie flirtuje, po prostu rozmawia, a jego ciemnobrązowe oczy mają w sobie niewiarygodny urok.

– Życzę szczęścia, koleś – woła do Camerona Gris przez całą salę. – Jest nadpobudliwa. – Rzy, taki odważny, bo nie ma Tralisa. Gapię się na niego ze złością, gdy wychodzi z sali. Kiedy już go nie ma, znów odwracam się do Camerona.

– Dam sobie radę – mówię. – Ale i tak dzięki. – Głowę mam spuszczoną, bo przez Grisa głupio się czuję. Pewnie, że jestem nadpobudliwa, tak orzekł sąd, ale niech Gris się odpieprzy. On mnie nie zna. Prosi się o podbicie drugiego oka.

Ręce mi się trzęsą i przyciskając książki do piersi, żeby nie tracić czasu na wkładanie ich do plecaka, wypadam z sali.

Najgorsze, że naprawdę przydałaby mi się podwózka. Ale nie polecę na Camerona tylko dlatego, że w końcu nawiązał ze mną kontakt wzrokowy. Mam jednak trochę szacunku do samej siebie.

Przechodzę przez korytarz i pchnięciem otwieram drzwi prowadzące na parking. Ledwie to robię, do wnętrza wpada mokry wiatr, śmierdzący ziemią i glizdami. Na zewnątrz niewątpliwie pada. To jakieś żarty.

Stawiam plecak na ziemi i wpycham do niego książki. Nie stać mnie na autobus. Nie mam do kogo zadzwonić, żeby mnie podwiózł. Dlatego zapinam plecak i trzymając go nad głową jako żalostną osłonę przed deszczem, wychodzę na zewnątrz. Grube bryzgi deszczu momentalnie przesiakają przez moją koszulę i ściekają do trampek. Jakie zimne. Przeszłam już połowę parkingu, gdy zatrzymuje się koło mnie czarne bmw. Szyba od strony pasażera zjeżdża w dół.

– Na pewno na pewno? – woła Cameron. Zerkam na niego, a kiedy spoglądam mu w oczy, oboje wybuchamy śmiechem. Wyobrażam sobie, jak śmiesznie teraz wyglądam. Ale i tak się waham, chociaż wiem, że dotarcie do domu zajmie mi pół popołudnia. I że właściwie nie mam wyboru.

– Dobra – mówię, opuszczając plecak i łapiąc za lśniącą klamkę. Gramolę się do środka i upycham plecak pod nogami. Z włosów i ciuchów leje mi się woda.

Patrzę z ukosa na Camerona.

– Usyfię ci auto – informuję.

Wzrusza ramionami.

– To tylko deszczówka. – Unosi w uśmiechu kącik ust i pstryka nawiew, posyłając mi w twarz podmuch ciepłego powietrza.

On jest taki cholernie perfekcyjny. A to nie jest normalne. Normalnie koleś nie zatrzymują się, żeby zaproponować mi podwózkę. O ile nie oczekują czegoś w zamian. Mrużę oczy, próbując go rozgryźć. Pragnąc wyciać, o co mu biega.

– Czemu w ogóle mnie zagadujesz?

– Mam nie zagadywać? – pyta, marszcząc brwi.

– Jak sobie chcesz. Zastanawiam się tylko, czemu zagadujesz akurat mnie, a nie kogoś innego. – Spojrzenie jego ciemnych oczu próbuje sięgnąć w głąb duszy, jest czułe. Przystają być wredna.

– A kogo jeszcze, według ciebie, powinienem zagadywać? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam. – Gadaj, z kim chcesz. Nie rozumiem tylko, czemu robisz to akurat ze mną.

Odwraca się do przedniej szyby.

– No, siedzisz tuż obok.

Rewelacja. Przedstawił logiczne wytłumaczenie.

– I tyle?

– No, szczerze mówiąc, nie tego typu dziewczyn się spodziewałem w osławionej Brooks Academy.

– A jakiego? – dociekam, niepewna, czy mnie komplementuje, czy obraża.

– Właściwie nie jestem pewien – mówi. – Ale nie takich, jak ty.

Nie ciągnie tematu, czuję się więc urażona.

– Dlaczego? – pytam. – Co ze mną nie tak?

Patrzy na mnie, chyba zaskoczony moją reakcją.

– To nie tak. Nic. Chodzi o to... Jesteś taka gniewna, a zarazem w typie dziewczyny z sąsiedztwa. To interesujące.

Co to niby ma znaczyć? Skąd wie, że jestem gniewna?

– Poza tym, kręcą mnie rude włosy – dodaje od niechcienia.

Wytrzeszczam oczy.

– O co chodzi? – pyta.

Oczywiście.

– Naprawdę myślałeś, że jestem z tych łatwych? – pytam. – A więc z ciebie taki nieźrównoważony dupek, próbujący startować do podatnych na to dziewczyn? Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Cameron. Mnie nie tak łatwo poderwać. I na pewno łatwa nie jestem.

– Kto mówi, że ja chcę... – Urywa, bo wybucha śmiechem.
– Nieźrównoważony dupek? Serio?

– Weź przestań. Przecież „kręca cię rude włosy”? W moim świecie to już podryw. I to kiepski.

– Zgadza się, powiedziałem, że podobają mi się rude włosy. A nie, że ty, Sutton. Wyluzuj.

– Niech ci będzie. – Ale jego reakcja autentycznie mnie zdziwiła. Możliwe, że odrobinę za dużo sobie wyobrażam. Tak przynajmniej orzekłby biegły powołany przez sąd.

Cameron zakrywa dłonią usta i gapi się w szybę, za którą deszcz przybiera na sile. Chciałabym, żeby już ruszył, bo to, że siedzę z nim w beemce, zaczyna być naprawdę dziwne.

– Naprawdę odwieziesz mnie do domu? – pytam w końcu. Uśmiecha się.

– Sam nie wiem. Jest naprawdę zabawnie. Pierwszy raz od tygodni ktoś nazwał mnie dupkiem.

Śmieję się.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Ale tak – oznajmia – odwiozę cię do domu. Chyba że najpierw chcesz gdzieś jeszcze pojechać?

– Nie. Do domu będzie w sam raz. – Ale ciekawi mnie, dokąd by mnie zabrał, gdybym się zgodziła. Prawdę mówiąc, dziwi mnie, że chciałby się gdzieś ze mną pokazać. Wcale nie pasuje do tych, wśród których się ostatnio obracam. Nie wygląda na ćpuna na odwyku ani na zakapiora. Wygląda... porządnie.

Cameron włącza wycieraczki. Chwilę jeszcze zwleka, nie wiem, czy to dlatego, że spodziewa się, że coś jeszcze powiem. Jak na kogoś, kto prawie się nie odzywa, przy mnie zdecydowanie lubi to robić.

– Sutton? – zagaduje. Oglądam się na niego, a serce mi przyspiesza.

– Tak?

– Tak jakby muszę wiedzieć, gdzie mieszkasz.

Racja. Sama na to nie wpadłam.

– Róg Dwudziestej Szóstej i Division.

Rozdziawia usta, ale szybko je zamyka. Nabieram pewności, że rzadko bywa w mojej okolicy. Wrzuca bieg i rusza.

Od jakiegoś czasu milczymy, a on nie włącza radia, przez co robi się naprawdę niezręcznie. Zastanawiam się, jakiego typu muzyki słucha. Zerkam na niego.

Dobra, bądźmy poważni. Dlaczego odwozi mnie do domu? Nie wierzę, że uważa mnie za aż tak interesującą.

Widzi, że się gapię.

– Co znowu? – Uśmiecha się lekko.

– Dlaczego odwozisz mnie do domu? – pytam.

– Bo leje deszcz. A ty mokłaś, idąc na piechotę. Byłbym totalnym młotkiem,

gdybym cię minął, nie?

– Przywykłam do młotków.

Nie komentuje tych słów, a ja uświadamiam sobie, że zabrzmiało to gorzko i pogardliwie. Rewelacja. Czy ze wszystkich moich tekstów nie mógłby pozostawić bez odpowiedzi takiego, który wskazywałby, że jestem choć trochę normalna?

Cameron wjeżdża na Division i rozgląda się po ulicy. Cieszę się, że pada. W czasie deszczu ludzie siedzą po domach. Nie musi oglądać moich sąsiadów.

– Zawsze tu mieszkałaś? – pyta.

– To naprawdę nie twoja sprawa.

– Tylko podtrzymuję rozmowę.

– Tak. Zawsze tu mieszkałam. – Tyle że za czasów mojej mamy naczynia były pozmywane i jadaliśmy nie tylko makaron z serem.

– Aha. – Wbijając wzrok w szybę, jedzie w głąb mojej ulicy, a ja z każdą chwilą czuję coraz większe upokorzenie. Machnięciem ręki wskazuję domy.

– Tu możesz stanąć.

Zwalnia.

– Który dom to twój?

– Tu będzie dobrze.

– Sutton, który dom? – naciska, kręcąc głową.

Normalnie nie zdradziłabym obcemu, gdzie mieszkam, ale jakoś się nie obawiam, że Cameron tu wróci. Po czymś takim prędzej nie będzie chciał już ze mną rozmawiać.

– Ten biały z gankiem – mówię, wskazując przeciwną stronę ulicy. Wstyd mi. Pojęcia nie mam, gdzie mieszka Cameron, ale u niego na pewno jest ładniej niż tutaj. Chłopak zatrzymuje się przy krawężniku i gasi silnik. Zaskakuje mnie, że zgasił go całkiem.

– Nie możesz wejść – bronię się. Tata by padł.

Uśmiecha się, wpatrzony w kierownicę.

– Nie prosiłem o to.

Patrzę przez okno na swój dom, nie mając ochoty wysiadać. Ale wiem też, że tutaj nie mogę zostać.

– To co robisz? – pytam cicho.

– Rozmawiam.

– Ze mną?

– Oczywiście.

Splatam ręce na kolanach. Niegrzecznie byłoby teraz sobie pójść. Czekam, czy dowiem się, o co mu chodzi. Trochę też jestem tego ciekawa.

– Chciałbym cię o coś zapytać – mówi.

– To świetnie.

– O co chodziło z tym lizakiem? – pyta. – Bo kiedy ci go przyniosłem,

wyglądałaś na strasznie wkurzoną. Nie ten smak?

Wybucham śmiechem i opowiadam mu tę historię z Rethą, pomijając wszystkie jej sugestie, że na niego lecę. Bez tych szczegółów Retha wychodzi na prawdziwą socjopatkę.

– Jedno muszę przyznać – mówi Cameron ze śmiechem. – Niezła beka. I może cię to ucieszy, ale nigdy nie podszedłbym do samochodu, licząc na loda. Mam swoje zasady. Może nie są najsurowsze, ale je mam.

– Dobrze wiedzieć – odpowiadam.

Cameron oddycha z ulgą i odchyła głowę na zagłówek, odwracając się do mnie.

– To jak tam trafiłaś? – pyta.

– Tam?

– Do Brooks Academy.

– To długa i tragiczna historia – mówię. – A ty?

– Ja zapytałem pierwszy.

Powstrzymuję chęć stwierdzenia: „A ja druga”. Zamiast tego odpowiadam:

– Wdałam się w bójkę. – Bo w zasadzie tak było.

– Ze szkół nie wylatuje się za bójkę – stwierdza Cameron. – Możesz mi wierzyć.

– Z mojej tak.

– Nie – oznajmia, przypatrując mi się badawczo. – Za co naprawdę cię wykopali?

Przełykam gulę w gardle, odwracając się od niego.

– Może sama się wypisałam i nikt mnie nie wykopał.

– Za co cię wykopali, Savannah?

Spoglądam na niego, zaskoczona tym, że użył mojego imienia. Dziwnie słyszeć je z jego ust. A zarazem to cieszy. Cameron patrzy mi w oczy.

– Co zrobiłaś? – pyta delikatniej.

– Dźgnęłam kogoś ołówkiem. – Brzmi to jak kłamstwo. Chciałabym, żeby nim było.

– Dlaczego?

Od razu to kupił? Powinam się obrazić? Wyglądam na kogoś, kto dźga ludzi ołówkami?

– Bo był wrednym fiutem – mówię.

– Dlaczego go dźgnęłaś?

– To jakaś gra w dwadzieścia pytań? – kontruje, naśladowując jego ton. Muszę iść. Nie powinienam tak siedzieć w jego samochodzie. Ledwie się znamy.

– Nie wyglądasz na taką, która zadawałaby się z wrednymi fiutami – wyjaśnia. – Dlaczego więc to zrobiłaś?

W głębi piersi pali mnie wstyd, prawie podchodzi mi do gardła.

– Może się zadawałam – odpowiadam. – Poza tym już ci powiedziałam, że to długa i tragiczna historia. Coś, o czym nie mam ochoty ci teraz przynudzać. Starczy taka odpowiedź?

Cameron szczerzy się do mnie.

– Wiesz, że masz pewne problemy z kontrolowaniem złości?

Przyłapał mnie, siłą więc narzucam sobie uśmiech.

– Obiło mi się to o uszy raz czy dwa.

– Ja też – mówi i spuszcza wzrok.

– Naprawdę?

Wierzyć się nie chce. Wydaje się taki opanowany.

Odwraca się do mnie.

– Dźgnęłaś go tylko dlatego, że był wrednym fiutem, czy miałaś lepszy powód?

– Oczywiście, że miałam lepszy powód. Był moim chłopakiem.

– Oho. Jakby co, przypomnij mi, żebyś się z tobą nie umawiał.

Robi się późno. Ojciec niedługo wróci do domu i nie powinien mnie widzieć z chłopakiem.

– O co poszło? – pyta Cameron. – Zdradzał cię czy coś?

– Nie. Wtedy byłoby łatwiej.

Zamykam oczy. To nie jego sprawa, ale... chcę mu opowiedzieć. Cholera jasna. Chcę, żeby wiedział, że nie jestem jakąś bandziorką. Miałam swój powód. Nikogo to nie odchodziło, ale miałam.

– Tak? – pyta.

Otwieram oczy i patrzę na niego.

– Nazwał mojego brata matolem – mówię i nadal mnie to boli. Jeszcze mi nie przeszło. – W szkole Patrick nazwał Evana matolem, złapałam więc ołówek i przebiłam mu nim dłoń na wylot. Za to wyłączono mnie z normalnego toku edukacji.

Cameron milczy, a ja już żałuję, że mu to powiedziałam. Uważa mnie za wariatkę. Bo pewnie nią jestem.

– To było naprawdę mocne – odzywa się po chwili. Jestem zaskoczona jego reakcją. W ogóle nie wygląda na tak przestraszonego, jak się spodziewałam.

– Zakładam, że ty na nikogo nie napadłeś? – pytam.

– Nie.

– To co zrobiłeś?

Cameron przygląda mi się, a potem odpala silnik. Ruchem głowy wskazuje mój dom.

– Nie mówiłaś, że musisz już iść?

Zamknął się. Czuję się oszukana, wywnętrzyłam się przed nim, a nie dostałam nic w zamian.

– Nie powiesz mi? – upewniam się.

– Staram się być tajemniczy. Jak inaczej miałbym cię znowu zwabić do mojego auta?

– Nie zwabisz – ucinam. Łapię za klamkę. Serce mi wali, podnoszę plecak z podłogi. Wsiadam i biegnę w deszczu na ganek.

– Do zobaczenia w szkole, Sutton – woła Cameron przez okno od strony kierowcy.

Docieram do drzwi i odwracam się w stronę samochodu.

– Jedź już – krzyczę. Cameron uśmiecha się, niezbyt przejęty moim zachowaniem. Podnosi szybę i odjeżdża.

Stoję na ganku, patrząc, jak znika. A gdy już go nie ma, uśmiecham się do siebie i wchodzę do domu.

ROZDZIAŁ 5

Następnego dnia Camerona nie ma w szkole, i bardzo dobrze. Przez całą noc męczyło mnie, co mu powiem. Nie powinnam była się zgodzić na podwożenie mnie do domu. Ani pokazywać mu, gdzie mieszkam. Mogę się założyć, że zainteresowanie mną stracił już w chwili powrotu do właściwej części miasta. Retha powiedziała, że powinna częściej urywać się ze szkoły – że może wtedy mi się ułożyć. Odpowiedziałam, że wszystko mam poukładane, ale dzięki.

Dzisiaj jest dzień Kathy – a przynajmniej na to wyszło. Zadzwoiła tuż po moim powrocie ze szkoły i zapytała, czy mogłaby zabrać Evana, bo są urodziny jej męża i mają tort. Nie powinnam się zgodzić – bo to nie jej dzień i w ten sposób miałyby przedłużony weekend z Evanem – ale zużyłam ostatnie opakowanie makaronu z serem i nie mamy nic do jedzenia.

Szykuję więc brata, a potem czekam na Kathy na ganku, podczas gdy Evan w swoim pokoju wkłada buty.

Ciotka pojawia się punkt piąta i parkuje swojego minivana na podjeździe. Patrzę, jak wchodzi po stopniach na ganek. Ma na sobie długi pikowany płaszcz, a na rękach mitenki, jakby zamierzała lepić z moim bratem cholernego bałwana.

Nie, żeby było aż tak zimno, ale jej uśmiech jest wystarczająco lodowaty. Nie okrutny, ale i nie słodki. Taki, jakby się bała, że zaraz na nią kłapnę zębami.

– Cześć, Savannah – mówi, kiwając mi głową.

– Cześć, Kathy – odpowiadam, celowo pomijając „ciocię”, żeby ją urazić. Mam powody, żeby być na nią cięta. Nie tylko dlatego, że się na mnie wypięła. Idzie o Evana. Kathy uważa, że jestem niebezpieczna. Że jestem nieodpowiedzialna i niedojrzała. Chce mi odebrać mojego brata.

Pieprzyć ją. Nie dostanie go. Evana nic z nią nie łączy. Odsuwam się, żeby weszła do domu.

– Byłaś w szkole? – pyta, obcinając wzrokiem moje ciuchy.

– Nie opuszczam lekcji – odpowiadam, mając ochotę przewrócić oczami. Jakby ją to obchodziło.

– To dobrze – stwierdza. – Skończysz szkołę?

Oczywiście, że skończę. To, że kiedyś kogoś dźgnęłam, nie czyni ze mnie debilki.

– W czerwcu, jak wszyscy – odpowiadam, może trochę złośliwie.

Otwiera usta, ale zaraz je zamyka, kończąc tę rozmowę. Kathy wygląda prawie tak jak mama, tylko starsza i bardziej zasadnicza. To kolejny punkt na jej niekorzyść. Od wyjazdu mojej matki nie miała od niej wieści i przestała już pytać, czy ta może odezwała się do mnie.

Evan wychodzi z pokoju i na widok naszej ciotki piszczy.

– Ciocia Kathy! – Biegnie w jej ramiona. Czuję się nieswojo.

– Cześć, kochanie – mówi, tuląc go i gładząc mitenkami po włosach.

Wyszykowałam dla niej braciszka najlepiej, jak potrafiłam – ma umytą twarz, ubrany jest w jedyną koszulę bez plam, jaką znalazłam. Mimo to Kathy patrzy na mnie, jakbym porzuciła go w głuszy, żeby wychowały go wilki.

Przenosi spojrzenie na mojego brata.

– Jak się masz dzisiaj? – pyta, uśmiechając się do niego.

– Dobrze – odpowiada, pałając szczęściem, że poświęciła mu uwagę. – Ale Savannah powiedziała, że już nie ma makaronu z serem.

– Upitrasimy ci coś pysznego – zapewnia go Kathy, a potem patrzy na mnie.

– On naprawdę powinien jeść więcej warzyw.

– Powiadomię szefa kuchni – odpowiadam.

Twarz Kathy tężeje, ale zanim zacznie się przybliżanie zalet zielonolistnego gówna, którego Evan by do ust nie włożył, brat ściska ciotkę w talii, bo się niecierpliwi. Kathy rusza więc z nim do drzwi, ale raptownie się zatrzymuje, jakby o czymś zapomniała.

– Aha – mówi – umówiłam Evana do dentysty na poniedziałek po południu.

To jak strzał w brzuch.

– Ale ja nie mogę – odpowiadam. – Mam szkołę.

– Savannah, on jeszcze nie był u dentysty. A ma siedem lat.

To oskarżenie, dowód na moją nieudolność.

– To nieprawda – bronię się. – Co roku ma przegląd w szkole.

Na twarzy Kathy irytacja przechodzi we współczucie, jakbym była dzieciakiem, który nic nie kuma.

– Tam nie mają rentgena – mówi – a jemu potrzebna jest prawdziwa wizyta. To ważne. – Wzdycha, a Evan bierze z jej ręki kluczyki i bawi się breloczkami, które do nich przyczepiła specjalnie dla niego.

– Posłuchaj – zwraca się do mnie. – Ja mogę z nim pojechać. Odbiorę go ze szkoły, pojedziemy na wizytę, a potem na lody. Odwiozę go przed szóstą.

– Okej, niech będzie – zgadzam się. – Ale do szóstej niech wróci. Musi odrobić lekcje.

– Mogę mu pomóc z lekcjami.

– Nie – ucinam, ale natychmiast robi mi się przykro, bo Evan podnosi wzrok, zaniepokojony moim tonem. – Nie, to moje zadanie.

– Savannah – mówi Kathy, zbliżając się o krok i zniżając głos. – Chciałabym zabierać Evana na jeszcze jeden dzień w tygodniu. Mogłybyśmy się umówić na dłuższe weekendy lub na jakiś inny dzień. Jak ci pasuje. Ja wiem, że bardzo się starasz, sądzę jednak...

Nie obchodzi mnie, co sądzi. Wystarczająco dużo ma Evana u siebie – prawie tyle co ja. Ale zanim zdążę odmówić, kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Nie jestem waszą mamą – mówi łagodnie. – I nie próbuję nią być.

Wyrywam się jej, nie pojmując, czemu to wyznanie zraniło mnie tak bardzo. Kathy też to zauważyła, bo chowa ręce w kieszeniach płaszcza.

– Ten dodatkowy dzień wykorzystamy na terapię logopedyczną Evana – wyjaśnia, jakby uważała to za kompromis. – Na pewno sama widzisz, że to będzie dla niego korzystne.

Chciałabym, żeby jej argumentacja nie miała sensu. Ale ma. Zawsze się spóźniam na wizyty w sprawie Evana – ciężko jest przebić się przez miasto autobusem, zwłaszcza gdy jeszcze trzeba wyskrobać na to kasę. Byłoby to więc dobre dla mojego braciszka – wiem o tym. Ale i tak wyczuwam w tym zagrożenie.

– Chodźmy, ciociu Kathy – jęczy Evan, bo już się znudził breloczkiem. Oczekuję, że Kathy go zgani, ale ona wykazuje się cierpliwością. Ciężko przyznać, że ma jej więcej ode mnie.

– Savannah? – pyta, czekając na moją odpowiedź.

– Zastanowię się nad tym – mówię. Czeka jeszcze chwilę, a potem kiwa głową, prawdopodobnie uznając tę odpowiedź za niechętnie „tak”.

Bierze Evana za rękę.

– Pożegnaj się z Savannah.

– Cześć! – krzyczy do mnie Evan, machając dziko.

– Cześć, młody. – Nachylam się i całuję go w czoło. – Tylko nie zamęcz starej cioci Kathy. Nie potrafi za tobą nadażyć tak, jak ja.

– Starej – powtarza Evan i się śmieje.

– Do zobaczenia – mówi serdecznie Kathy, kierując się ku drzwiom.

Nie odpowiadam. Patrzę, jak trzyma mojego braciszka za rękę i wychodzi z nim z naszego domu, a potem wsiadają do czekającego minivana. Evan ją lubi, więc to, że są sobie bliscy, nie powinno mnie aż tak bardzo boleć. To przecież rodzina, a on potrzebuje w swoim życiu kogoś takiego jak ciotka. Kogoś dojrzałego i cierpliwego. Kogoś, kto zorganizuje mu wizytę u dentysty. Ale to niemożliwe, żeby pokochała go tak jak ja.

Macham z ganku, żeby Evan mnie widział, a kiedy już ich nie ma, wzdycham ciężko – ze zmartwienia, ale i częściowo z ulgą, że młody dzisiaj sobie porządnie podje.

* * *

Kiedy mój ojciec, już po zmroku, wraca do domu, tracę czterdzieści minut na próbę przekonania go, żeby dał mi pieniądze na zakupy. Stoi przy zlewie, zmywając z rąk smar. Zakręca wodę i suszy dłonie, potrząsając nimi, a potem zrywa zawleczkę z piwa.

– Skąd mam wiedzieć, że naprawdę kupisz jedzenie? – pyta.

– A niby kto je nam kupuje? – pytam z niesmakiem. – Przecież nie ty.

W sumie to ja też nie. Większość pochodzi z banku żywności. Mama Rethy, bywając tam raz w tygodniu, bierze dla mnie torbę, ale Evan ostatnio więcej je. Tak szybko rośnie.

Kiedy tylko mogę, pracuję, i te pieniądze przeznaczam na zakupy, ale przez to, że zajmuję się Evanem, możliwości mam ograniczone. Nigdzie nie udało mi się zahaczyć na dłużej niż kilka tygodni.

Ojciec pije piwo, obserwując mnie nieufnie.

– Chcesz kupić alkohol? – pyta.

Krzywię się.

– Nie.

– Narkotyki?

– Nie rób z siebie durnia. – Już mnie wkurza. – Słuchaj, chcesz jeść czy nie? – pytam. – Już niczego nie ma, nawet makaronu z serem. Skoro chcesz iść po zakupy, baw się dobrze. Tylko wróć z jedzeniem.

Ojciec stawia puszkę na blacie i drapie się po głowie. Jego rudawe włosy są już za długie. Wyglądają na brudne, niemyte.

– Nie chce mi się iść – mówi po chwili.

– No więc? – pytam. – W takim razie potrzebne mi pieniądze na zakupy.

Wzdycha zirytowany. Jakbym stanowiła problem. Jakbym to ja była wszystkim winna. Albo Evan. Wyciąga z tylnej kieszeni poplamionych dzinsów portfel i sięga do przegródki na banknoty. Wręcza mi czterdzieści dolarów. Zapominam mu podziękować i wychodzę zadzwonić po podwózkę.

* * *

Ledwie wychodzę z domu i wsiadam do samochodu Trávisa, oddycham z ulgą. Smród w jego samochodzie jest bardziej swojski niż zapach mojej własnej chaty. Bardziej też przyjazny. Coraz trudniej mi sobie przypomnieć, jaki był mój tata, zanim się rozpił. Zanim opuściła nas mama. Kiedy jestem z przyjaciółmi, nie musimy o tym gadać, bo już to kumają.

– Hej – mówi Retha, odwracając się do mnie z przedniego siedzenia. – Muszę najpierw skoczyć do galerii, a potem pojedziemy do spożywczaka.

– Daj spokój – jęczę. – Nienawidzę galerii.

– Wyluzuj. – Retha podgłośnia radio tak, żeby zagłuszyło mój głos. Wyciągam rękę między siedzeniami, żeby je ściszyć, i apeluję do Trávisa:

– Nie rób mi tego – mówię.

Kręci głową.

– Sorki, Savvy. Ja już zostałem przegłosowany.

– Technicznie to niemożliwe – odpowiadam.

– Z Rethą to możliwe. Poza tym ja tu jestem tylko kierowcą. Spotkamy się później. Nienawidzę galerii.

– Drań.

Chichocze.

Zakupy w galerii to dno, zwłaszcza gdy cierpię na brak kasy. Nie jestem pewna, co Travis zrobił, żeby się od tego wykręcić, ale wyrzuca nas przed wejściem. Wlokę się za Rethą do galerii, gdzie ona zaciąga mnie do pięciu różnych sklepów, w których potem czekam, aż poprzymierza ciuchy. Generalnie piekło.

Za czasów gimnazjalnych włóczyłam się po tej galerii. Rodzice nigdy nie mieli dużo kasy, ale zawsze nam na wszystko starczało. Ojciec miał wtedy stałą pracę. Jadłyśmy tutaj z przyjaciółkami pizzę i wypatrywałyśmy fajnych chłopaków. Takie to było sztuczne i durne. Przestaję o tym myśleć, bo nagle uświadamiam sobie, że nawet nie pamiętam, jak się człowiek czuje bez obciążenia odpowiedzialnością. Tak wiele się zmieniło.

Retha łapie mnie za rękaw bluzy i wlecze za sobą.

– Ruchy – mówi. – Za dziesięć minut mamy się spotkać z Travisem w strefie gastronomicznej, a chcę jeszcze skoczyć do Old Navy.

– Wymiękam – protestuję, wrywając rękaw z jej garści. – Wykańczasz mnie. Może tak pójdziesz po dzinsy, a ja zaczekam z Travisem? – Kiwam głową, jakby to był najlepszy pomysł świata.

Retha staje jak wryta i odwraca się do mnie.

– Wiesz, że musisz mi powiedzieć, jak leżą na dupie. Jak miałabym kupić dzinsy bez drugiej opinii w kwestii dupy? Lustra kłamią.

– Weź przestań. Wiesz, że czego byś nie włożyła, wyglądasz fantastycznie. Widzimy się przed Subwayem.

– Wstrętna jesteś. Powiedz Travisowi, żeby dla mnie wziął kanapkę z indykiem. – Odwraca się i rusza w głąb galerii.

Kieruję się ku jasnym światłom i powalającym aromatom strefy gastronomicznej. Subway to ostatnia porządna jadłodajnia, jaka tam została. Stoisko z pizzą zamknęli, a w Wok Shopie żarcie zalega przez cały boży dzień.

Przechesuję wzrokiem strefę i widzę kilometry pustych stolików, ale ani śladu Travisa. Upatruję sobie miejsce niedaleko fontanny, nieco z boku, ale nie poza polem widzenia, tak żeby oboje z Rethą mogli mnie łatwo znaleźć.

Siadam i opieram splecione ręce o stolik. W brzuchu burczy mi z głodu. Nic nie jadłam od śniadania, którym była na wpół zgnieciona babeczka od Rethy.

Mam nadzieję, że Travis postawi mi kolację. Nie mam wolnej kasy. Nigdy. Posiadam jedynie pieniądze na zakupy, a to należy się Evanowi.

Rozglądam się po strefie gastronomicznej i patrzę, jak ludzie napychają swoje dzieciaki frytkami, wywalają prawie pełne talerze żarcia albo bezskutecznie próbują posługiwać się pałeczkami.

Dość szybko dostaję świra z nudów i zaczynam się niepokoić o Travisa. Ilekroć się spóźnia, to dlatego, że przysnął albo jest na haju. Wolałabym to

pierwsze.

– Hej, Sukon – woła donośnie jakiś głos.

Serce mi zamiera, a pod skórę wpełzają mrówy upokorzenia i złości. Nie podnoszę głowy, ale muszę docenić to, że mój były wymyślił coś takiego jak Sukon. Nie posądzałam go o tyle inwencji.

– Hej – mówi jeszcze głośniejszym głosem, jakby problem tkwił w tym, że za pierwszym razem go nie usłyszałam.

Kilka osób się ogląda. Jakaś matka chyba się zaniepokoiła. Niech mu będzie. Odwracam się.

– Patrick, weź się odpiardol – mówię cicho.

Gapi się na mnie ze złością spod fontanny. Nic się nie zmienił: krótko ścięte ciemne włosy i lodowato niebieskie oczy. Patrick jest na tyle fajny, że czyni go to popularnym, a dzięki temu ludzie oceniają tylko to, co na wierzchu. A on jest zgniły w środku.

Na szczęście jest sam. Ostatnie, czego mi potrzeba, to napastowanie przez ekschłopaka i bandę jego znajomków.

– To miało być miłe? – pyta Patrick, układając usta w pogardliwy grymas.

– Milsze, niż ci się należało. Czyli tak.

Zaciska przerośnięte szczęki i wsuwa dłonie w kieszenie bojówek. Zastanawiam się, czy nie próbuje w ten sposób ukryć blizny po moim dziabnięciu.

– Jak tam w poprawczaku? – pyta, podchodząc, żeby usiąść naprzeciw mnie. Z zaskoczenia rozdziawiam usta, ale szybko staram się to zatuszować. Nie byliśmy tak blisko siebie, odkąd wywleczono mnie z klasy w kajdankach.

Prostuję się.

– To się nazywa placówka z rozszerzonym programem nauczania, palancie. I jest tam fantastycznie. Nie muszę spędzać całych dni wśród dupków.

Patrick uśmiecha się do siebie, gapiąc się w stolik – jakbym powiedziała coś zabawnego. Wierzyć mi się nie chce, że kiedyś ze sobą chodziliśmy. Był pierwszym facetem, który nazwał mnie piękną, i przez to zmarnowałam na niego pół trzeciej klasy. Byłam idiotką. Powinnam była się wcześniej poznać na tych bzdetach.

– To kiedy pozwolą ci skończyć szkołę? – pyta, podnosząc na mnie oczy. – Powinni cię zapudłować.

Zagryzam wargi. To, że się na mnie gapi, jakbym była kawałkiem mięcha, sprawia, że kulę się w sobie. Jego spojrzenie zatrzymuje się na moich cycach, a potem na ustach. Krzyżuję ręce na piersi, a on zdaje się upajać władzą, jaką daje mu moje skrępowanie.

– Czego chcesz? – pytam. – Może byś tak zostawił mnie w spokoju? – Tętno mi szaleje. Kiedyś powiedział, że za to, co mu zrobiłam, mnie zabije. Choć od kilku miesięcy nie nęka mnie już telefonami, wściekłość najwyraźniej jeszcze mu

nie przeszła.

Patrick kładzie ręce na stole, wyciągając je tak, by znalazły się przede mną, i nachyla się. Rozpoznaję zapach jego wody kolońskiej i odrobinę budzi to wspomnienia. Zaraz jednak uświadamiam sobie, jak bardzo go nienawidzę. Moje spojrzenie wędruje na bliznę na jego ręku. Wciąż jeszcze jest paskudna.

– Wiesz, że nigdy mnie nie przeprosiłaś? – pyta prawie słodko. Podnoszę wzrok, by spojrzeć mu w oczy. Są bladoniebieskie; kiedyś mi się to podobało.

– Taa – odpowiadam. – Wiem.

Czeka. Może tak czekać nawet cały dzień – nigdy go nie przeproszę. Patrick przez cały nasz związek traktował mnie jak szmatę. Poniżał, dawał mi do zrozumienia, że biorąc pod uwagę skąd się wywodzę, powinnam być wdzięczna, że zechciał ze mną być. A kiedy pewnego dnia podjęłam decyzję, aby się z tego związku wyrwać, winą za to obciążył Evana.

– Savvy? – Głos Travisa natychmiast dodaje mi otuchy. Patrzę, jak idzie w moją stronę, niespokojnie przypatrując się Patrickowi. Długie włosy Travisa są na maksa skołtunione, jakby dopiero co się obudził. Na jego widok uśmiecham się z ulgą.

– Rewelka – odzywa się mój były. – Jeden z twoich nowych kumpli degeneratów?

– Idź do diabła – mówię śmieiej, bo już nie jestem sama.

Patrick sięga nad stolikiem i łapie mnie za rękę. Bardzo nagłym, i bolesnym, ruchem. Brakuje mi tchu. Szarpie mnie, przyciąga do siebie nad blatem.

– Powinienem ci przebić tę pierdoloną rękę gwoździem – syczy mi w twarz.

– Hej! – krzyczy Travis, podbiegając, żeby mnie uwolnić.

Już jestem roztrzęsiona, ledwo łapię dech. Czegoś takiego się nie spodziewałam. A powinnam. Patrick nalegał na przeprosiny, odkąd stanął przed sądem w mojej sprawie, jednak myślałam, że sobie to odpuści. Kiedy telefony ustały, uznałam, że dał sobie spokój.

Travis chwyta Patricka za koszulkę polo, ściąga z krzesła i popycha w przejście między stolikami.

– Nie waż się startować do niej z łapami! – krzyczy. Wszyscy wokół się na nas gapią.

Prawie bez tchu porównuję spojrzeniem Travisa, mojego tykowatego przyjaciela, ćpuna na odwyku, z futbolistą Patrickiem. Wciąż jeszcze się trzęsę. On mnie złapał. Patrick mnie złapał i pociągnął na stolik. To jakieś draństwo do potęgi.

Patrick rzy, otrzepując koszulkę, jakby dotyk Travisa ją pobrudził. Jakby Travis był parchem. Spogląda na mnie, zadzierając w górę brodę, cały dumny z siebie. Pan i władca.

– Jeszcze się zobaczymy, Sukon – woła do mnie. A potem się odwraca i idzie do wyjścia z galerii.

Próbuję ochłonać, wyglądać normalnie, jakby mnie to nie ruszyło. Niemal nie sposób udawać coś takiego. Osuwam się znów na krzesło, a Travis dosiada się do mnie, zajmując to samo miejsce, co przed chwilą Patrick.

Przygląda mi się przez chwilę, a potem nachyla się w moją stronę.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Przytakuję, ale tak nie jest. Nie czuję się dobrze. Mam stracha. Patrick znów zalazł mi za skórę. Zachwiał moją pewnością siebie.

– Pokaż mi nadgarstek – mówi cicho Travis, wyciągając rękę. Patrzę na jego przedramię; rękawy koszuli podjechały do łokci. Na skórze widać ślady po igle, jeszcze w miarę wyraźne. Widzi, że na nie spoglądam.

– Goją się – mówi, patrząc mi w oczy.

Zaciskam wargi w uśmiechu i szukam świeżych wkłuć.

– Prawie zanikły – potwierdzam, marząc, żeby to była prawda. Ale od czasu gdy Travis ostatnio dał sobie w kanał, upłynęły zaledwie trzy miesiące. Wcześniejsza przerwa trwała dwa. Tak naprawdę one nigdy nie znikną. I ja nigdy nie przestanę ich wypatrywać.

Spuszcza oczy, a ja podaję mu rękę. Kiedy bierze ją w dłoń, widzę ślady, jakie Patrick zostawił mi na przegubie.

– Jezu – mówi Travis, obracając moją rękę. – Porządnie cię ścisnął.

– No.

– Przepraszam, że się spóźniłem.

Parskam śmiechem.

– Nie ma sprawy – mówię mu. – Nie wiedziałeś, że dzisiaj w galerii mają Dzień Psychola.

Travis uśmiecha się i delikatnie kładzie moją rękę na blacie. Żal mu mnie. Wszystkim, którzy mają w sobie choć trochę uczuć, zawsze jest mnie żal.

– A gdzie Retha? – pyta, rozglądając się.

– Kupuje superdzinsy.

– No jasne – komentuje ze śmiechem. Ruchem głowy wskazuje Subwaya. – Zgaduję, że chce z indykiem?

– Pewnie.

– Do dzieła – mówi, wstając. – Głodna jesteś?

Obrywam z liścia od poczucia winy i ledwie mogę wydukać odpowiedź.

– To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko – mówię. – Potem ci oddam.

– Daj spokój, Savvy. – Macha ręką. – Nic mi nie jesteś winna.

Doceniam, że to powiedział. Czasem czuję, że tylko on i Retha niczego ode mnie nie chcą. Nie w głowie im takie rachunki.

Odchodzi, a ja kładę rękę na kolanach, bezmyślnie rozcierając obolały nadgarstek – jakbym mogła zetrzeć z siebie podatność na ciosy. I czekam na coś do jedzenia.

* * *

Wnoszę zakupy do domu. Rękawy mam obciągnięte tak, żeby zakryły sińce na nadgarstku. Nie z obawy, że ojciec o nie zapyta – jego nigdy nie interesują moje siniaki. Gdy wchodzę, gapi się na mnie, zatrzymuję się więc w drzwiach i patrzę na niego.

– Co znowu? – pytam. Jeszcze się nie urznął, wciąż więc możemy rozmawiać. Ale skoro Evana dziś nie ma, wiem, że nie potrwa to długo.

– Zrobiłaś zakupy? – pyta.

Podnoszę w górę torby.

Wpatruje się w podłogę i wiem, że nie o to pytanie chodziło. Ramiona mi sztywnieją i opuszczam torby.

– Jak długo zamierzasz to robić? – pyta cicho.

– Co robić? – Wiem jednak, o czym mówi. Stale powtarza, że opieka nad Evanem to dla mnie za wiele. Że to mnie przerasta.

– Kathy chce, żeby Evan z nią zamieszkał.

Ręce zaczynają mi drżeć. I tak już załatwiła sobie dodatkowy dzień w tygodniu. Nie pozwolę, by całkiem mi go odebrała.

– Nie – mówię.

– Ona ma środki...

– Jemu nie potrzeba pieniędzy – ucinam szybko, gniewnie wpatrując się w ojca. – Ja się nim opiekuję.

– Masz siedemnaście lat.

– A ty czterdzieści. I jakie masz wytłumaczenie?

Ojciec zaciska zęby i wiem, że nie powinnam mu teraz rzucać wyzwania. On jednak też wie, że będę walczyła. Evan to jego syn – sam też powinien o niego zawalczyć. To, że mama nie dawała sobie rady z Evanem, nie oznacza, że ja sobie nie poradzę. Jestem od niej silniejsza. Bardziej kocham mojego braciszka. I nigdy go nie opuszczę. Prędzej umrę.

– To jest za trudne – mówi ojciec. Niemal czuje się winny.

– On jest nasz – szepczę z naciskiem. – I nigdzie się nie wyprowadzi. – Tupiąc, idę do kuchni.

– Właściwie decyzja nie należy do ciebie – odpowiada ojciec prawie bezgłośnie.

Broniąc się przed łzami, kładę torbę na blacie, patrzę przez okno na podwórko za domem. Trawnik zarosły chwasty, a taras tonie w mchu i brudzie. Nie ma tam żadnych zabawek. Nawet huśtawki. Nienawidzę tego życia.

Ale kocham Evana i nigdy go nie oddam. Nie bez walki.

ROZDZIAŁ 6

W piątek prawie cała klasa zrobiła sobie wolne. Jesteśmy tylko ja, Gris, ta nowa i Travis. Retha musi posiedzieć przy małym braciszku, żeby jej mama mogła się stawić w Departamencie do spraw Pojazdów Mechanicznych. Kazała mi pozdrowić pana Jimeneza.

Panuje cisza – dziś pracujemy z formularzami, bo z punktu widzenia pana Jimeneza wykład byłby stratą czasu. Co rusz zerkam na drzwi w nadziei, że wejdzie Cameron. Nie pojawia się jednak. Travis cały rano przesypia, ale jakoś udaje mu się zbudzić pod koniec zajęć. Nie wracamy już do zdarzenia w galerii. Wolę sobie nie przypominać, czym jest bezradność.

– Retha powiedziała, że podobno do niej jedziesz? – pyta Travis po lekcjach, otwierając mi drzwi na parking.

– No, chyba tak – odpowiadam. – Evan cały ten weekend spędza z ciotką. Nie mam ochoty siedzieć w domu.

– Kumam – stwierdza Travis, przeczesując dłonią swoje długie włosy. Wygląda na zmęczonego. Może nawet na wymizerowanego.

– Też przyjdiesz? – pytam.

– Nie – zaprzecza. – Dzisiaj nie.

Siadam na miejscu dla pasażera i przypatruję się Travisowi.

– Wszystko gra?

Odpowiada mi nieznacznym uśmiechem, dającym do zrozumienia, że powinnam pilnować własnych spraw. Szanuję jego prywatność i dochodzę do wniosku, że tu chodzi o niego i Rethę.

Travis zatrzymuje się pod domem dziewczyny, ona zaś wychodzi na zewnątrz, jakby na nas czekała. Chłopak macha do niej, Retha jednak wydyma wargi i opiera ręce na biodrach.

– Ups – mówię sobie pod nosem.

– Podjadę po ciebie – żegna się Travis, wciskając hamulec. Marszczę nos, już mu współczując, choć nie wiem, o co im poszło. Żegnam się i wyłażę z samochodu.

Spotykamy się z Rethą na ganku i patrzymy, jak Travis odjeżdża. Gdy już go nie ma, spoglądam na nią z ukosa.

– Widzę, że wszystko wam się układa.

– Wiesz co – kręci głową, a potem szarpnięciem otwiera drzwi z siatką – lepiej, żebyś nie poruszała tego tematu. – Wchodzi do domu, a ja jeszcze raz zerkam na pustą ulicę, czując się rozdarta jak dzieciak będący świadkiem kłótni rodziców.

– Savvy – woła ze swoim ciężkim akcentem mama Rethy, więc zamykam

drzwi.

– Dzień dobry – mówię, wchodząc do kuchni. Ściskamy się szybko. Góruję nad jej drobną sylwetką i obie spoglądamy w kierunku stołu, przy którym na wysokim krzeselku biadoli braciszek Rethy. – I tobie dzieńdoberek, Raymond – dodaję, machając do niego samymi palcami. Uśmiecha się i ślini.

Uwielbiam tu bywać. W domu Rethy pachnie olejem i przyprawami. Jej tata jest prawie zawsze w pracy, a kiedy udaje się go zastać, jego gromki śmiech brzmi tak samo jak Rethy.

Wszędzie tutaj jest głośno i panuje bałagan. Jak to w domu.

– Jak tam Evan? – pyta mama Rethy, mieszając zupę w stojącym na kuchence garnku. – Dawno już z nim nie byłaś.

– Ten weekend spędza z naszą ciotką. Za tydzień z nim przyjadę.

– Macie dość jedzenia? – dopytuje, stukając drewnianą łyżką o krawędź garnka. – W przyszłym tygodniu wybieram się do banku żywności.

– Jest okej – odpowiadam, choć jedzenia nam nigdy nie wystarcza. Nie znoszę jednak proszenia jej o pomoc w zaopatrzeniu. Ma przecież swoją rodzinę, o którą musi się troszczyć. Nie powinna przejmować się też moją.

Klepie mnie po biodrze.

– We wtorek coś przyniosę.

Uśmiecham się i dziękuję jej. Retha zatrzymuje się przy stole i ładuje braciszki do buzi żółtą papką, ścierając to, co malec wypluwa. Całuje go w czubek głowy, a potem mówi mi, że musi się zacząć szykować.

Idę za nią do jej pokoju, po drodze witając się z młodszymi siostrami stłoczonymi na kanapie i oglądającymi kreskówki.

Retha zamyka za nami drzwi, a ja odwracam się do niej.

– Twoja mama nie musi załatwiać nam żarcia – mówię lekko zakłopotana.

– Ona lubi pomagać – odpowiada Retha. – Więc się nie wygłupiaj.

– Nawet nie próbuję, jestem wdzięczna. W tym tygodniu nie miałam nawet na parówki – przyznaję.

– Dlatego, że twój tata to dupek – stwierdza Retha, potrząsając głową. – Załatwię trochę parówek i podrzucę ci. – Zatrzymuje się przy toalecie i ustawia na jej skraju puderniczkę, by skorzystać z lusterka. Podnosi czarną kredkę i jeździ nią wokół lewego oka. Przed obrysowaniem drugiego gwałtownie się do mnie odwraca.

– Travis powiedział ci, o co się pokłóciliśmy? – pyta.

– Nie. Pewnie uznał, że wołałabyś mi sama powiedzieć.

– Albo rozumie, że powinien się wstydić.

– Nie wydaje mi się, żebym chciała się dowiedzieć, o co chodzi – mówię. Jeśli chodzi o ich kłótnie, wina zwykle leży po obu stronach. Rozpieram się na poduszkach łóżka, wyciągając spod uda pluszowego aligatora.

Pokój Rethy mnie rozwała. Dzieli go z dwiema młodszymi siostrami, więc liczba poduszek i pluszaków jest niewiarygodna. Jej kuzynka pracuje w zakładzie naprawy automatów ze szponami, Retha zna się na nich jak mało kto. Wyciągnie cokolwiek zechcesz, za pierwszą próbą.

Walę ją aligatorkiem w nogę.

– Ty wredoto – protestuje, doprowadzając mnie do śmiechu.

– Dobra – mówię, wiedząc, że tym, co ją naprawdę irytuje, jest mój brak zainteresowania. – Co znowu zbroił Travis?

Uśmiecha się. I tak by mi powiedziała, czy chciałabym tego, czy nie.

– Casey, kojarzysz?

– Ta Casey czy ten Casey?

– Dziewczyna Trávisa z czasów gimnazjalnych. Taka z durnymi różowymi pasemkami we włosach.

– Czirliderka?

– No.

– Uch – wzdrygam się. – Nienawidzę tej laski. – W pewnym sensie to prawda. Dawno temu, kiedy jeszcze się wszystkim przejmowałam, całowała się z którymś z moich chłopaków, a potem ściemniała, że nie. Takie to proste sprawy dręczyły mnie lata temu.

– Też jej nienawidzę – przyznaje Retha. To nie tak, że w ogóle nienawidzi dziewczyn, aż taka płytką nie jest. Ale kiedy ma się niewiele, trzeba trzymać się tego, co ważne. I to oburącz.

– W każdym razie – kontynuuje Retha – zeszłego wieczoru Casey zadzwoniła do Trávisa.

Robię wielkie oczy i siadam prosto.

– Co takiego? To niefajnie.

– Prawda? – Retha znów się odwraca, żeby potraktować kredką drugie oko.

– Wiesz, że tę sukę nadal do niego ciągnie?

– To dlatego do niego zadzwoniła?

– Nie wiem. – Retha zatrząskuje puderniczkę i opiera się o toaletkę, krzyżując ręce na piersi. – Travis nie chce mi powiedzieć.

– Co ty mówisz? – pytam. Travis jest w porządku, nie dramatyzowałby dla samego dramatyzowania. On, jeśli już się w coś wpieprza, to musi być coś grubego. Jak branie heroiny lub włam do samochodów. Nie zdradzanie dziewczyny. To byłoby gówniarstwo.

– Powiedział mi, że zadzwoniła – mówi Retha, a w jej oczach, pomimo wymalowanej na twarzy zawziętości, pojawiają się łzy. – A potem dodał, że to nic takiego i że nie mam się czym przejmować.

– Że nie masz się czym przejmować? – prawie krzyczę, unosząc się na kolanach. Powiedzieć swojej dziewczynie, żeby się nie przejmowała czymś takim,

bez dodatkowych wyjaśnień, to prawie jak wyznanie winy.

– Tak – potwierdza Retha, jakby sama też w to nie wierzyła. – Powiedział, że przesadzam, ale co to, kurwa, ma być? Wyraźnie coś kręca. A jeśli się znów zesłi?

Jestem w szoku. Travis i Retha to para jakich mało. Pewnie, że dużo się kłóca, ale się kochają. Nikomu nie wolno tego niszczyć.

– To co zamierzasz zrobić? – pytam. Czuję, jak w palcach świerzbi mnie adrenalina. Wiem, na co Retha ma ochotę i że prawdopodobnie nie obejdzie się bez brania za kudły. Mam dosyć pakowania się z nią w kłopoty, ale z drugiej strony to przecież weekend. Bez jakiejś rozróby się nie obejdzie.

– Dziś piątek – mówi. – Wszyscy z Kennedy’ego wybierają się na kukurydziane pole, racja?

– Na sto procent.

– Właśnie. Myślę sobie więc, że i my powinniśmy tam wpaść. Trochę się zabawić.

Jej usta wykrzywia diaboliczny uśmiech. Tak naprawdę Retha nie zamierza się bawić z tymi ciulami. To ja z nimi trzymałam, kiedy jeszcze myślałam, że mogę. Kiedy byłam częścią rodziny, kiedy chodziłam z przyszłym królem jesiennego balu uczniów, uważając się za normalną.

Ale co to znaczy normalność? Dla mnie normalne jest opiekowanie się Evanem. Oto kim jestem.

– Halo? – krzyczy Retha, rzucając we mnie stringami z czarnej koronki, wyjętymi z szuflady. Odbijają się od mojej piersi i zgarniam je ze śmiechem.

– Wchodzisz w to czy nie? – pyta.

– To zależy – odpowiadam, próbując ukryć nagły atak paniki na myśl o spotkaniu z ludźmi z dawnej szkoły. – Sądysz, że będzie tam Patrick? – Głos mi się łamie. Nienawidzę tego.

Retha łagodnieje. Wie o zdarzeniu z Patrickiem w galerii, ale podobnie jak Travis nie porusza tego tematu.

– Jeśli tam będzie – mówi powoli – zasunę mu takiego kopa w jaja, że nigdy nie doczeka się dzieci.

– To byłby dobry uczynek.

– Zdecydowanie.

Patrzemy na siebie przez chwilę, bez słów przyznając się do lęku. Potem Retha porusza wargami, równomiernie rozprowadzając szminkę, i ostatni raz kontroluje swój wygląd w lusterku. Mnie wciąż jeszcze wali serce – nie widziałam się z nikim z Kennedy’ego, odkąd mnie stamtąd wylali. Co powiedzą, kiedy mnie zobaczą? Co zrobią?

Ale nie wolno mi się ich bać. Nie mogę pozwolić, żeby budzili we mnie strach. Zaczynam okręcać sobie włosy wokół palca, patrząc w niebo przez okno pokoju Rethy. To zły pomysł.

– Pożyczyć ci coś do ubrania? – pyta niespodziewanie Retha.

– Nie, dzięki. – Ciuchy mam sprane, nieco stare i przyduże. Ale nie znoszę pożyczania.

– Daj spokój, Savvy – zachęca. – Pozwolę ci nawet włożyć *tę bluzkę*. – Szczerzy się w uśmiechu.

Cholera. *Ta bluzka*. Retha ma jeden tak pasujący mi ciuch, że kiedykolwiek bym go nie włożyła, na pewniaka mam rwanie. Bluzka opina mnie dokładnie w sam raz, a cycki wyglądają w niej fantastycznie, choć może to kwestia przypadku. W każdym razie, ilekroć ją włożę, mam farta. Za każdym razem.

A nie miałabym nic przeciwko jakiemuś całowanku.

* * *

– Ale to wszystko jest beznadziejne – mamroczę, kiedy na ciemniejącym polu przebijamy się przez tłumy pierwszaków. Jesteśmy niedaleko miasta, prawie na jego obrzeżach, gdzie pewien farmer uprawiał kiedyś kukurydzę. Przeszedł na emeryturę, ale kukurydza na jego ziemi rośnie nadal. Miejscowi wyrąbali sobie w niej ścieżkę i urządzają na polu imprezy.

– Słowo daję, że my nawet w młodszych klasach nie byliśmy tak żałośni – mówię, zerkając na Rethę z ukosa.

– W życiu – przyznaje mi rację. – Oni są okropni.

Już trzy razy się do nas przystawiano i prawie doszło do obmacywania przez „klucznika”. Trzeba było dwóch podejść, żeby Retha przekonała go, że nie ma w kieszeni kluczyków do auta. Drugie zakończyło się jej obcasem na jego gołeni. Gdyby był mądrzejszy, nie próbowałby na własną rękę przeszukiwać jej džinsów.

Idę z opuszczoną głową, włosy opadają mi na twarz, żeby ją ukryć. Mam nadzieję, że nikt mnie nie rozpozna – zwłaszcza że kiedy ostatnio mnie wiedzieli, wynoszono mnie ze szkoły, a ja w zakrwawionej bluzce wrzeszczałam, że Patrick to skurwysyn. W naprawdę kiepskim miejscu przyszło mi się więc dziś znaleźć.

– Savannah Sutton? – woła ktoś. Prawie staje mi serce.

Powoli podnoszę głowę i widzę Spencera Harrisa. To przyjaciel Patricka, gra na pozycji biegacza. Od małego chodziliśmy razem do szkoły, mimo to patrzy teraz na mnie jak na menelkę. A uważałam go kiedyś za fajnego gościa.

Retha zatrzymuje się, spogląda na niego, potem na mnie.

– Pomóc ci? – pyta cicho.

Kręcę głową przecząco i czekam, aż Spencer podejdzie. Retha cofa się o krok. Podoba mi się, że nie narzuca swojego rozwiązania sprawy – wie, że sobie poradzę.

– Łał. – Spencer obcina mnie wzrokiem. – Myślałem, że siedzisz.

– Nie. – Kiedyś się z nim kumplowałam. Kumplowałam się z wieloma ludźmi. Potem jednak, kiedy mnie aresztowano, wszyscy o tym pozapominali.

Stanęli po stronie Patricka, chociaż wiedzieli, jaki z niego dupek. Nie w ich stylu było występowanie przeciwko jednemu ze swoich.

Retha patrzy w dal, przygląda się imprezowiczom. Spencer zbliża się do mnie, wskazuje ją podbródkiem.

– To z takimi ludźmi się teraz zadajesz?

Zaciskam zęby.

– Klasa sama w sobie – śmieje się.

– Odpierdol się, Spencer.

Wyciąga rękę i łapie mnie za ramię, masuje je, ale też ściska aż do bólu. Zaczynam się kulić pod jego dotykiem.

– Bądź grzeczna – mówi, nie gubiąc profesjonalnie zastygłego uśmiechu. – Ja ci wybaczam dojebanie mojemu kumpłowi. I wiesz co – dodaje, przyglądając się mojej bluzce – nadal uważam, że gorąca z ciebie laska. Chociaż jesteś psycholką.

– Niebezpieczną dla otoczenia – warczę. – Puszczaj.

Jego palce głęboko wpijają mi się w mięśnie, ale nie mam zamiaru okazywać, jaki sprawia mi to ból.

Spencer niby to wzdycha, jakbym go uraziła.

– Niezbyt to było przyjazne, Savannah. A może tak... – Ogląda się przez ramię na wysokie rzędy kukurydzy. – A może tak pójdziemy w jakieś spokojniejsze miejsce i mi to wynagrodzisz?

Mdli mnie, gdy gapię się na niego, żałując, że nie mam ołówka, żeby wbić mu go w twarz. No nie mam. Muszę się więc zadowolić grzmotnięciem go kolanem w klejnoty.

– Tam jest – woła Retha, podchodząc i łapiąc mnie za ramię. Wyszarpuje je Spencerowi i wskazuje beczkę z piwem. Wyciągam szyję, kładę rękę na jej dłoni, wciąż spoczywającej na moim barku i szybko odchodzimy. Drżą mi palce. – W drodze powrotnej – mówi Retha, potrząsając czarnymi lokami, żeby tym ucieszyć wpatrzonych w nas ludzi – strzelę tego gnoja pięścią w zęby za to, że pchał się do ciebie z brudnymi łapami. A jeśli znajdę jakąś broń...

Uśmiecham się, ściskając jej palce.

– Z tyłu swojej fury wozi kij do bejsbola.

– Nie ma sprawy.

Rozcieram sobie bark, usiłując rozluźnić mięśnie, a Retha znów wskazuje beczkę. Chwilę to trwa, ale dostrzegam w końcu obok metalowego kega dziewczynę z durnymi różowymi pasemkami we włosach. Casey śmieje się i rozmawia z kolesiem, którego pamiętam z Kennedy'ego. Dziewczyna ma natapirowane włosy, usta pociągnięte ciemnobrązową szminką, a na powiekach szeroko rozstawionych oczu przyklejone nedorzecznie długie sztuczne rzęsy. Brakuje tylko brokatu. Jest jak dziecko, które dorwało się do maminych kosmetyków.

Wymieniamy z Rethą spojrzenia.

– Gotowa? – pyta.

Niedawne spotkanie ze Spencerem wytrąciło mnie z równowagi, ale i tak potwierdzam. To należy do mojej roli najlepszej przyjaciółki Rethy. Czasem musimy podymić, powalczyć. Bez tego się nie obejdzie. Kiedy ludzie widzą, że jesteś potulna, traktują cię źle, nie mają szacunku (jak Spencer). To jedyny sposób, żeby sobie ten szacunek zaskarbić. Nawet jeśli bierze się on z ich lęku.

Retha i ja idziemy na luzie w stronę beczki. Parę osób coś do mnie woła, głównie pytając, co słyhać i jak się mam. Chyba nie wszyscy mnie tutaj nienawidzą. Mimo to nie odpowiadam. Ledwie ich sobie przypominam.

Kiedy zatrzymujemy się przy kegu, Casey nie patrzy na nas. Pali papierosa i wciąż się śmiejąc, rozmawia z tamtym gościem. Retha wyciąga z plastikowego rękawa niebieski kubek i zaczyna napełniać go piwem, gniewnie wpatrując się w Casey. Laska tego nawet nie zauważa. Jak może nie czuć spojrzenia Rethy? Ono jest jak milion zatrutych sztyletów.

Kiedy kubek jest już pełen, Retha podnosi go do ust i pociąga długi łyk. A potem całą jego zawartością bryzga Casey w twarz. Słyhać *chlust*, *pyk* plastikowego kubka, zderzającego się z ziemią, i wreszcie świdrujący krzyk. Musiało to laskę ruszyć.

– Co do cholery? – Dziewczyna wydaje z siebie wysoki delfini pisk.

Wybucham śmiechem. Casey wygląda idiotycznie. Tusz spływa jej po policzkach, a ponieważ piwo zmoczyło jej tylko pół głowy, pozostała część włosów nadal wygląda nienagannie.

– Dzwoniłaś do Travisa? – pyta Retha. Jest spokojna. Niesamowicie, przerażająco spokojna.

Koleżka obok Casey gapi się to na nią, to na Rethę, tłumiąc śmiech. Widzę, że marzą mu się dziewczynskie zapasy, jakby to o niego chodziło. Padalec.

Twarz Casey tężeje, bo uświadamia sobie, kim jest Retha. Pewnie sobie przypomina, że to nie tylko dziewczyna Travisa, ale i ta laska, która przywaliła pięścią w twarz pani Crowe. Casey mruży oczy.

– Nie twoja sprawa – informuje Rethę, rzucając pod jej nogi mokrego papierosa. Chłopak stojący obok Casey cofa się o krok, a jego usta układają się w idealne O.

– Powiedz mi tylko – mówi Retha – czy dzwoniłaś do Travisa? – Jest wciąż niesamowicie spokojna.

– Tak – odpowiada Casey. – Dzwoniłam.

– Co mu powiedziałaś?

Casey wybuchu śmiechem. Nie mogę uwierzyć, że rzuca mojej przyjaciółce wyzwanie.

– Już ci powiedziałam, że to nie twoja sprawa – mówi, przechylając głowę

z boku na bok. Ściera z policzków tusz, który zdążył prawie spłynąć jej na brodę. Strzepuje krople z palców.

– Co mu powiedziałaś?

Robi się paskudnie. Rozglądam się po ludziach. To nie jest tłumek w naszym typie – te dzieciaki wszystko wyśpiewają glinom. Widzę, że kilka osób się gapi, ale jeszcze nie robimy za widowisko. Będzie czas na ucieczkę. Od 7-Eleven dzieli nas tylko kilka przecznic, a stamtąd będziemy mogły zadzwonić do Trávisa po podwózkę.

Casey uśmiecha się ironicznie i stawia swój kubek na beczce.

– Dobrze – mówi. – Serio chcesz wiedzieć? Zapytałam Trávisa, czy przestał się już szlajać z tą swoją meksykańską kurwą.

Rozdziawiam usta, a chłopak stojący za Casey wybucha śmiechem.

– Słucham? – upewnia się Retha, a jej akcent wydaje się mocniejszy. – Pochodzę z Portoryko, ty suko!

Casey wyraźnie zwariowała, że tak się odzywa do Rethy. Nagle jednak przyuważam, jak zerka w bok i podążam za tym spojrzeniem. Cholera.

Casey patrzy na dwie dziewczyny, wielkie baby, które podkradają się, żeby zaskoczyć nas od tyłu. Jedna z nich trzyma w garści potężną pałę. Wypuszczam powietrze i napinam ramiona. Laska chyba nie jest taka głupia, na jaką wygląda. Też jest bojowa. No to bierzemy się do roboty.

Bez słowa biorę zamach i walę Casey prosto w oko. Dziewczyna leci z nóg, a ja momentalnie czuję wibracje w całym ramieniu. Diabelnie mocno ją walnęłam. Casey siedzi na tyłku i wrzeszczy.

– Wiejemy! – krzyczę do Rethy i łapię ją za rękę. Dajemy w długą, a oglądając się, widzę, że te dwie wielkie baby ruszają za nami. Możliwe więc, że ktoś nam dzisiaj skopie dupy.

– Znokautowałaś tę sukę – stwierdza Retha, śmiejąc się głośno, gdy przedzieramy się przez kukurydź, słysząc za sobą wrzaski.

– Miała wsparcie – mówię w przerwach pomiędzy łapaniem oddechu. – O mało co nie oberwałyśmy.

Łodygi kukurydzy chłoszczą mnie po rękach i wiem, że cała będę podrapana, ale adrenalina znieczula mnie i nie dopuszcza bólu. Nie miałam wyboru. Gdybym nie walnęła Casey, jej koleżanki sprąłyby nas tam na miejscu. Ten cios przynajmniej na tyle odwrócił ich uwagę, że mogliśmy się stamtąd wynieść. Ale cholernie bołą mnie kostki palców.

– Zbliżają się – ostrzega Retha.

– Dawaj w lewo – podpowiadam jej i sama też skręcam, wiedząc, że tuż za tymi rzędami kukurydzy jest droga.

– Lecą na drogę – woła jedna z dziewczyn za nami.

Dorwą nas. Klnę i przyspieszam.

Gdy wypadamy spomiędzy kukurydzy na opustoszałą drogę, Retha depcze mi po piętach. Zaliczenie łomotu na asfalcie to żadna przyjemność – przerabiałam to już z nią. Zresztą nie tak dawno temu. Prawdę mówiąc, została mi po tym blizna na podbródku.

Retha, dysząc ciężko, wskazuje przeciwną stronę drogi.

– 7-Eleven? – pyta zgięta w pół.

– Nigdy tam nie dobiegniemy – odpowiadam. W płucach mnie pali, jakby miały eksplodować.

– Nigdy nie mów nigdy – woła Retha i wyrywa do przodu.

Jęczę i biegnę za nią. Głosy za nami dość szybko zaczynają się oddalać. Może dziewczyny zawróciły w kukurydzę, a może po prostu nie miały dość pary, by gonić nas tak daleko. Bogate laski nie nawykły do tego, że czasem trzeba biec, żeby przeżyć. My tak.

Kiedy wpadamy na parking przed 7-Eleven, prawie umieram. Ale jeszcze bardziej chce mi się pić.

– Sprawdźmy, czy dadzą nam wody – sapię, schylając się, by oprzeć dłonie na kolanach. Trwam tak przez chwilę, a potem się prostuję. Kiedy wchodzimy do sklepu przez rozsuwane drzwi, jasne światła wydobywają wszystkie nasze zadrapania i draśnięcia. Durna kukurydza.

Kobieta za ladą przygląda nam się podejrzliwie. Wtoczyłyśmy się do sklepu chwiejnie i wyglądamy chyba na naprute, zmierzając do automatu z napojami.

– Możemy trochę wody? – pytam kasjerkę, biorąc najmniejszy kubek i pokazując jej.

– Pięćdziesiąt centów.

– Za wodę? – upewniam się. Żarty sobie robi?

– Hej, Sutton.

Żołądek mi się ściska i powoli się odwracam. Cameron Ramsey. Podczas gdy mnie pot przylepił włosy do czaszki, a ramiona pokrywają brud i krew, Cameron wygląda perfekcyjnie. Ma na sobie koszulę, bojówki podwinięte do wysokości kostek i zero skarpet. Włosy zaczesał za uszy i nawet z tej odległości czuję lekki zapach jego wody kolońskiej. Retha ma rację – robi się coraz fajniejszy.

– Zabawnie cię tu spotkać – zwracam się do niego. – Mieszkasz w 7-Eleven? Śmieje się.

– A ty?

– Okej. Celną uwagę.

– Odwoziłem kumpla. Zajechałem po coś dla ochłody. – Podnosi w górę butelkę coli. – A ty co tu robisz?

– Hmm...

– Siemka, Cameron – mówi Retha, ratując sytuację. Podnosi rękę, żeby mu pomachać. – Postawisz nam wodę?

Odwracam się, żeby sfajczyć ją wzrokiem. Wierzyć mi się nie chce, że właśnie poprosiła go, żeby nam coś kupił. Ta dziewczyna nie ma hamulców.

– Pewnie – odpowiada Cameron. Kiedy znów zwracam się twarzą do niego, przygląda mi się i uśmiecha. – Ale tym razem bez lizaka, tak?

Tłumię śmiech i potwierdzam ruchem głowy. Retha na szczęście go nie słyszy, a on nie przyzna się jej, że zna prawdę. To coś w rodzaju naszej małej tajemnicy.

– Czego się napijesz? – pyta, biorąc z podajnika dwa duże kubki.

– Niczego – odpowiadam i wsuwam ręce w kieszenie. Widzę, że Retha kręci się po alejce.

– Naprawdę? – upewnia się Cameron. – Nawet wody? Jesteś pewna?

– Tak.

– Ale jesteś spocona.

I do tego umieram ze wstydu.

– Nie, serio. Nic mi nie trzeba.

Wzrusza ramionami.

– Okej.

Cholera. Chce mi się pić. Ale nie chcę mu nic zawdzięczać. To znaczy, nic więcej. Dostałam już od niego lizaka i załatwił mi podwózkę. Co jeszcze?

Retha pojawia się ponownie z paczką chipsów w ręce.

– Cameron – zwraca się do niego, jakby znali się od małego – możesz mi teraz zaraz użyczyć telefonu? – Odgarnia z twarzy czarne loki. – Muszę się upewnić, czy Travis może po nas podjechać.

Cameron, stojąc przy automacie z napojami, gdzie napełnia kubek doktorem pepperem, ogląda się przez ramię.

– Jasne. A trzeba was gdzieś podwieźć? – pyta. Znajduje właściwy dla napoju przycisk i go naciska. Gdy tak stoi plecami do nas, Retha zerka na mnie i się uśmiecha.

Wytrzeszczam oczy i bezgłośnie mówię „nie”.

– W sumie – moja przyjaciółka zwraca się słodko do Camerona, wymownie oblizując wargi, choć on tego nie może zobaczyć – chętnie się przejedziemy. Bardzo miło z twojej strony, że nam to proponujesz.

– Retho – ostrzegam ją. Wybuchają śmiechem.

– Super – mówi na to Cameron i odwraca się do nas, nieświadomy naszego sporu. Retha natychmiast robi minę świętoszki. – No to w drogę – dorzuca chłopak, wywołując jej uśmiech.

Cameron bierze kolejny kubek i napełnia go, ale już na mnie nie patrzy ani nie pyta, czy na pewno nie chcę. Zamiast tego śmieje się razem z Rethą i wręcza jej napój. To głupie, ale jestem odrobinę zazdrosna. Podobało mi się, gdy odzywał się tylko do mnie.

Trzymam się z tyłu, podczas gdy on chodzi z Rethą, pozwalając jej wybierać przekąski, na jakie ma ochotę. Mnie już o nic nie pyta. Kiedy już mają za sobą szaf zakupów, wychodzimy z Rethą przed sklep, żeby poczekać przy beemce, aż Cameron za to wszystko zapłaci.

– Wierzyć mi się nie chce – mówię do Rethy, totalnie wkurzona. Kolejna podwózka do domu. Kolejna rozmowa. Otwieranie mojego świata przed kimś takim jak Cameron to chujowy pomysł. Czuję to w głębi. Poza tym wstyd mi, że on wie już, że nie stać mnie nawet na kubek wody, a tu proszę, Retha naciąga go jeszcze na slim jimy.

– Chciałby cię przelecieć – odzywa się moja przyjaciółka, jakby to miało znaczyć, że wszystko gra.

– Wcale nie.

– Wcale tak.

– Może to na ciebie leci – mówię. – To ty go namawiasz, żeby ci kupował całe to gówno.

Śmieje się.

– Nie marudź. Ach, czekaj – mówi. – Wiem, o co tu chodzi.

Przyglądam jej się z ukosa.

– O co?

– To *ta bluzka*.

Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, a potem obie wybuchamy śmiechem. Ona ma rację. To przez tę cholerną bluzkę. Musiało w tym być coś więcej niż tylko przypadek.

I właśnie wtedy na parking wjeżdża samochód. Dociera to do mnie po sekundzie, bo ciągle jeszcze się uśmiecham, rozmyślając o *tej bluzce*. I nagle słyszę:

– To one!

– O mój Boże – mówię, łapiąc Rethę za ramię. Już mam wiać, kiedy drzwi się otwierają i ze sklepu wychodzi Cameron z torbą pod pachą, balansując trzymanymi przy piersi napojami. Patrzy na nas.

– Mogłyście poczekać, żeby pomóc mi to nieść – mówi.

– Wskakuj – wrzeszczę zarówno do niego, jak do Rethy.

Retha otwiera tylne drzwi i nurkuje we wnętrzu auta, ja szybko je obiegam i zajmuję miejsce obok kierowcy. Cameron podchodzi, ale zatrzymuje się przed drzwiami, nie mogąc ich otworzyć z pełnymi rękoma.

Przechylam się, kładąc się na siedzeniach, i ciągnę za klamkę, żeby mu otworzyć. Przytrzymuje drzwi łokciem, a ja, prostując się, widzę mknącą ku nam przez parking hondę pełną wściekłych suk.

– Rusz dupę, Cameron! – krzyczę, wyciągając ręce, żeby odebrać mu torbę, i stawiając ją sobie pod nogami. Chłopak wsiada ze śmiechem i patrzy na mnie,

jakby mi odbiło.

A ja się naprawdę boję.

– Proszę – mówię mu, starając się, by brzmiało to spokojnie. – Ktoś chce mnie dorwać.

Cameron poważnieje i nie domagając się żadnych wyjaśnień, wstawia napoje w uchwyty, a potem zatrzaskuje drzwi. Odpala samochód i przesuwając rękę za moje siedzenie, odwracając się, żeby wycofać wóz. Laski stają swoją bryką z boku sklepu i wysiadają, a potem biegną w naszą stronę z krzykiem. Widzę, że doszły jeszcze dwie dziewczyny.

– Rozjedź je – mówi Retha, wychylając się między siedzeniami.

Cameron tłumi śmiech i ostro skręca kierownicę, zmieniając kierunek jazdy.

Gnająca za nami Casey przystaje, żeby zdjąć but. Ciska nim w samochód i but odbija się od maski. Ale Cameron grzeje szybko i wkrótce dziewczyny zostają za nami na parkingu, mogąc tylko pokazywać nam faki.

– Rzuciła pieprzonym butem? – nie dowierza Retha, chwytając napój i rozsiadając się na tylnym siedzeniu, jakby to była normalna przejażdżka. – Jest żałosna.

Cameron tak mocno zaciska wargi, że zaczynam się bać, czy nie zrobi sobie krzywdy.

– Takie to śmieszne? – pytam go, uświadamiając sobie nagle, że siedzę obok niego. Żałuję, że nie dałam nura do tyłu razem z Rethą.

– W żadnym razie – odpowiada z powagą Cameron. – Przywykłem do rzucania butami w mój samochód. – Spogląda na mnie, a ja się uśmiecham. Okej, rozumiem, że mogło to być dla niego mało zabawne.

Ruchem głowy wskazuje napój w uchwycie.

– Wziąłem ci doktora peppera – informuje, jakbym sobie tego zażyczyła. Patrzę na kubek, a potem spoglądam w okno, bo palą mnie policzki. Jego życzliwość mnie rozbraja. Obawiam się, że może też prędzej czy później wzbudzić przywiązanie.

– Cameron – odzywa się Retha, przerywając siorbanie przez słomkę – żałuj, że nie widziałeś dzisiaj Savvy. Znokautowała jedną sukę.

Chłopak patrzy na mnie, wyraźnie zaskoczony.

– Naprawdę? – pyta.

– Nie. To nie był nokaut – szepczę. Nie chcę się chwalić bójką. Nie jest to coś, z czego mogłabym być dumna. Owszem, na początku człowiek rwie się do bicia, ale potem zawsze przychodzi poczucie winy. Nawet jeśli tamten ktoś zasłużył.

Zerkam z ukosa na Camerona i widzę, że przygląda się mojej dłoni; kostki palców mam czerwone, wkrótce kolor zmieni się w gustowny fiolecik.

– Może i nie padła nieprzytomna – przyznaje Retha – ale widzieliście na

parkingu to jej limo? Celny strzał. Powinna chyba zainwestować w przyciemniane bryle.

– Skończ już, Retho. – Opieram łokieć o okno, a głowę na dłoni. Szczerze mówiąc, boli mnie ręka, a w gardle pali po biegu. Mimo to nadal nie zamierzam sięgać po napój.

– Łał – odzywa się Cameron. – Wygląda to na niezłą piątkową imprezę. Jeśli będę chciał was zabrać na jakąś balangę, przypomnijcie mi, żeby wóz był gotów do ucieczki.

– Spadaj – radzę mu.

– Nie bój nic, Cameron – mówi Retha, gryząc słomkę. – Głowę dam, że przy tobie Savvy będzie idealnym aniołeczkiem.

Wykręcam szyję, żeby na nią spojrzeć, a ona puszcza mi oko. Już nie żyje.

– Aha – Retha zwraca się do Camerona, spotykając się z nim wzrokiem we wstecznym lusterku – możesz podrzucić mnie pierwszą? Muszę powiedzieć Travisowi, że jego dziewczyna zaliczyła łomot.

Zostawi mnie samą z Cameronem? Już nie żyje. Nie tylko już nie żyje, ale osobiście ją zabiję. Zamorduję ją. Znów odchylam głowę na oparcie.

Cameron słucha wskazówek Rethy, a kiedy zajeżdżamy pod dom Travisa, z nerwów zaczyna mi dygotać noga. Pojęcia nie mam, o czym gadać z Cameronem. Powiedziałam mu już o moim wydaleniu ze szkoły. W dalsze szczegóły nie mam ochoty się wdawać.

– Dzięki – woła do niego Retha. – Uratowałeś nam tyłki.

Cameron kiwa głową i macha jej na pożegnanie.

– Zadzwoń do mnie – nuci do mnie Retha, wysiadając. Drzwi zamykają się za nią i czuję, że Cameron mnie obserwuje. Nie patrzę na niego.

– Wiesz – mówię z opuszczoną głową – do domu mam tylko kilka przecznic. Równie dobrze mogę tu wysiąść.

– I zakończyć mój wieczór? – pyta. – Myślałem, że się dobrze bawimy. – Spoglądam na niego, a on się uśmiecha, uzmysławiając mi, jak nieszczęśliwie wyglądam. Choć prawdę mówiąc, wcale się tak nie czuję. – Możesz wysiąść – mówi – ale wolałbym cię odwiedzić do domu.

Zatyka mnie i nie wiem, co powiedzieć.

– Wiesz – kontynuuje – na wypadek, gdyby ktoś jeszcze planował rzucić w ciebie butem.

Śmieję się, i choć to niezręczne, przytakuję i przyznaję, że tak pewnie będzie bezpieczniej. Wrzuca bieg, a ja, choć nie prosiłam go o napój, podnoszę bez słowa kubek i pociągam łyk.

– Dziękuję – szepczę. Dzięki temu, że nie odpowiada, w mniejszym stopniu czuję się jak zebraczka.

Cameron zatrzymuje się przed moim domem; zaskoczyło mnie, że pamięta,

który to. Choć pewnie nigdy nie bywał w dzielnicach podobnych do mojej. Jestem pewna, że tam, gdzie mieszka większość jego znajomych, przed domami są trawniki.

– Dzięki za przejażdżkę – mówię mu, łapiąc za klamkę.

– Dzięki za przygodę.

Wybucham śmiechem, a on patrzy na mnie, jakby mnie znał. Przez chwilę zastanawiam się nawet, czy tak nie jest. Jakby skądś wiedział, że nie jestem taka fajna, jak się wydaję. Zwlekam chwilę dłużej niż powinnam, mierząc się z nim wzrokiem. A potem, jakby to mogła być jedyna słuszna reakcja, nachylam się i całuję go w policzek.

Zanim do mnie dociera, jaka jestem niewiarygodnie durna, zrywam się i biegnę do domu. Twarz mnie pali. To było takie głupie.

Całym ciężarem ciała napieram na drzwi wejściowe, a tuż przed ich zatrzaśnięciem słyszę:

– Ładnie dzisiaj wyglądasz, Sutton. Powinniśmy częściej gdzieś razem wyskakiwać.

Cholera. *Ta bluzka.*

ROZDZIAŁ 7

Gdy przyjaciele przyjeżdżają po mnie w poniedziałek rano, Travis wygląda okropnie. Ma ciemne kręgi pod oczami i nierozczesane włosy. Retha gapi się w okno, ostentacyjnie go ignorując. Cały weekend tak im upłynął i choć początkowo myślałam, że chodziło o Casey, teraz już nie jestem tego taka pewna. Sprawa wygląda na poważniejszą.

– Hej, Savvy – mamrocze Travis.

– Hej. – Czujnie przyglądam się obojgu. W samochodzie tak śmierdzi piwem, że marszczę nos. – Cholera, Travis – mówię, wsiadając. – Cuchnie tu. Módl się, żeby gliny cię nie zatrzymały.

– Niech się lepiej pomodli, żeby jego kurator nie odkrył, jak bardzo się stoczył – syczy Retha, nie patrząc na nas.

Wyłapuję w lusterku oczy Trávisa w nadziei, że da nimi znać, że Retha przesadza. Zamiast tego chłopak odwraca wzrok.

Ma kaca. Znowu. Robi mi się ciężko na sercu. Mój ojciec też jest alkoholikiem, ale w jego przypadku nie pozwalam sobie na współczucie, bo dzieje się to kosztem moim i mojego brata. Natomiast Travis... Chłopak wychował się pod opieką taty, który go tłukł i przez którego w wieku pięciu lat miał wybity bark. Taty, który nadal spuszcza mu wpierdół, ilekroć wyjdzie na warunkowe. Rozumiem, czemu Travis pije. Rozumiem też, czemu daje sobie w żyłę.

Chciałabym wiedzieć, jak pomóc mu przestać. Nie jestem jednak terapeutką. Travis przestanie, kiedy sam będzie tego chciał, i ani Retha, ani ja tego nie zmienimy. Choćbyśmy nie wiem jak chciały.

– Tylko cię odwozimy, Savvy – mówi Retha z przedniego siedzenia. – Jedziemy dzisiaj do Cleveland.

– Po co? – pytam. Gdybym nawet chciała się z nimi urwać, nie zrobiłabym tego w taki dzień jak dzisiaj, gdy oboje siebie wzajemnie nie trawią.

Retha zerka na Trávisa, a potem odwraca się do mnie.

– Jego tata ubiega się o warunkowe – mówi cicho. – Travis ma się stawić na posiedzeniu.

– Oo. – Serce mi się kraje. Tata Trávisa to drań jakich mało. Nic dziwnego, że chłopak ma takiego doła. Retha jedzie z nim, żeby mieć pewność, że będąc tam, Travis nie przyćpa. Nie byłby to pierwszy raz.

Na tę chwilę rzeczywistość tak mi ciąży, że przez całą drogę do szkoły gapię się na swoje kolana.

Kiedy wchodzę do klasy, widzę, że pan Jimenez stoi na mównicy. Zdjął okulary i trze oczy. Nie winię go. Ósma rano to zdecydowanie zbyt wczesna pora na kontakty z ludźmi.

Siniaki na dłoniach przeszły w mniej dramatyczny błękit, za to zadrapania na ramionach zmieniły się w małe strupki. Nie czuję się najlepiej. A fakt, że nie ma tu Tralisa i Rethy, sprawia, że jestem jeszcze bardziej bezbronna.

Cameron esemesuje, siedząc przy swoim stoliku. Włosy zwisają mu nisko, a kiedy odgarnia je za ucho, nie mogę wyjść z podziwu, jak superancko wygląda. Prawie mówię mu cześć, ale jednak tchórzę i siadam w oczekiwaniu na dzwonek.

– Cześć – mówi Cameron, przesuwając kciukami po klawiszach. Nie podnosi głowy, ale wiem, że mówi do mnie.

– Hej – odpowiadam, w pełni nad sobą panując. W piątek straciłam czujność; nawet pocałowałam go w policzek. Nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby o tym wspomniał. Chyba raczej nie. Zrobiłoby się niezręcznie. Z drugie jednak strony, jeśli już o mnie zapomniał lub jeśli nie było to nic takiego... Włączam sobie hamulce. Zdecydowanie za dużo o tym myślę.

Telefon brzęczy Cameronowi w dłoni, a on śmieje się, czytając esemesa. Wystukuje kolejną wiadomość. Zastanawiam się, czy nie rozmawia z dziewczyną, i czuję w piersi małe ukłucie zazdrości. Jest weekend, jest zabawa. Może kogoś poznał. Albo lepiej. Może już z kimś chodzi.

Wyciągam zeszyt i kładę go na stoliku, gapiąc się przed siebie i marząc, żeby pan Jimenez zaczął w końcu lekcję. Akurat teraz nienawidzę ciszy. Powoduje, że za dużo myślę. Stukam ołówkiem w okładkę zeszytu.

– Denerwujesz się czymś? – pyta Cameron.

– Nie.

– To czemu stukasz?

Przestaję i splatam ręce na blacie.

– Twoich przyjaciół nie będzie dzisiaj w szkole? – pyta jeszcze. Nadal zajmuje się telefonem. Boże, czy on na mnie nie spojrzy? Pewnie uważa, że jestem żalona; wdaję się w bójki i proszę o podwózkę.

– Nie – mówię. – Nie będzie.

– Fatalnie.

– Skoro tak mówisz – mamroczę. Sama się sobie dziwię, że tak bardzo mnie irytuje to jego esemesowanie.

– Skoro tak mówię? – powtarza i odwraca się do mnie. Wydaje się rozbawiony.

Nie reaguję. Z przodu sali pan Jimenez bierze głęboki oddech, udaję zatem, że bardziej mnie interesuje, co on ma do powiedzenia.

– A więc tak – zaczyna nauczyciel. – Wiem, że obiecałem wam na dzisiaj pogadankę, ale zamiast tego trochę sobie popiszemy i zakończymy zajęcia już o dwunastej. Ktoś ma coś przeciwko?

– Szykuje się randeczka, chłopie? – woła Gris, chichrając się z własnego dowcipu.

– Nie, Aaronie – odpowiada pan Jimenez. – Mam ławę przysięgłych i nikogo, kto by mnie zastąpił.

– Ława przysięgłych? – dopytuje Gris. – Jacyś nasi znajomi?

Z tego to i ja się śmieję. Bo to całkiem możliwe, że któreś z nas by kogoś rozpoznało. To miasto nie jest w końcu takie duże.

– Pewności nie mam. Ale jakby co, poinformuję was – odpowiada sarkastycznie pan Jimenez. – Czy ktoś ma jeszcze jakieś uwagi?

Klasa milczy, bo kto normalny odmówiłby skrócenia mu lekcji? Chociaż w moim przypadku wyjście wcześniej to niekoniecznie świetna sprawa. Nie tylko dlatego, że nie mam podwózki do domu; będę też musiała spędzić tam więcej czasu. Ciotka przywiezie Evana po szóstej, a Retha z Travisem nie wrócą przed jutrem.

– Hej, Sutton?

Patrzę w bok na Camerona. Wpatruje się we mnie, a ja już nie pamiętam, czemu byłam na niego wkurzona.

– Co takiego?

– Poszłabyś na obiad?

Serce zaczyna mi walić.

– Z tobą?

Przekrzywia głowę.

– Tak. Nie mam z kim iść na obiad. Chcesz iść ze mną?

– Nie – odpowiadam.

– Może jednak? – nalega.

– Nie mogę.

– Ja stawiam.

Już mam się na niego wkurzyć za to, że jest takim litościwym bubkiem, gdy uświadamiam sobie, że to wcale nie tak. Ludzie przy forsie tak właśnie robią: przekupują kogoś obiadem, gdy chcą z nim spędzić czas.

Odwracam się i wbijam wzrok w stolik.

– Pomyślę o tym – zapewniam.

– W porządku.

No i myślę o tym. Nawet obsesyjnie. Przez następne cztery godziny wyobrażam sobie wszystkie miejscówki, w jakie mógłby mnie zabrać Cameron, a także wszelkie powody, dla których nie mogę iść. Dlatego kiedy pan Jimenez oznajmia nam w końcu, że możemy spadać, mówę w stylu „Przykro mi, ale nie mogę” mam wykutą na blachę.

Cameron wstaje i przeciąga się, a jego T-shirt podnosi się przy tym na tyle wysoko, że nad paskiem błyska goła skóra. Oglądam go sobie od stóp do głów, ciesząc się tym widokiem. Chłopak śmieje się do siebie, bo zauważył, że obcinam go wzrokiem.

– To jak zdecydowałaś? – pyta, jakby znał odpowiedź.

– Nie mogę iść – mówię poważnym tonem.

Mina mu rzednie i mam wrażenie, że jest rozczarowany, ale może tylko mi się tak wydaje, bo już łapie swój zeszyt i podnosi rękę, żeby przed odejściem zamachać na do widzenia. W piersi czuję tępy ból. A w brzuchu mi burczy.

Zbieram swoje rzeczy i powoli wychodzę z klasy. Czeka mnie samotny marsz na parking. Nienawidzę swojego uporu – on chciał tylko postawić mi obiad, a nie zabrać mnie na randkę. Nie-randka jest okej. Czemu wiecznie muszę robić z siebie idiotkę?

Wychodzę przez dwuskrzydłowe drzwi wejściowe i ogarniam wzrokiem parking. Szkoda, że nie mam kasy na autobus. Klnę pod nosem i ruszam w stronę domu.

Podjeżdża do mnie czarna beemka.

– Rzecz w tym – mówi przez jej okno Cameron, jakby kontynuując rozmowę – że sobie pomyślałem, że skoro nie ma dziś twoich przyjaciół, to może zechciałabyś dotrzymać mi towarzystwa, żebym nie musiał czuć się jak palant, siedząc samotnie w McDonalddie.

Zatrzymuję się i patrzę na niego. Zatrzymuje samochód tuż obok mnie. Mam ochotę się z nim zabrać.

– No chodź – mówi, uśmiechając się, choć wpatruje mi się badawczo w oczy. – Dla ciebie będzie Happy Meal.

Wybucham śmiechem.

– Czyli tak?

– Raczej może – odpowiadam.

Czeka, mierząc się ze mną wzrokiem, a mnie przepełniają najróżniejsze nierealistyczne uczucia z nim związane. W tym te najbardziej niebezpieczne, które mogłyby skomplikować mi życie. Zakładam włosy za ucho.

– Jestem naprawdę głodny – mówi Cameron. – Właściwie to za bardzo będę zajęty jedzeniem, żeby gadać.

– To kuszące – komentuję. – McDonald?

– Chyba że masz na oku jakieś lepsze miejsce?

– Nie – mówię. – Myślę, że będzie w sam raz.

– To świetnie. A teraz wsiadaj, zanim odgryzę sobie rękę.

Zastanawiam się jeszcze chwilę w obawie, że pakuję się w coś, czego nie będę mogła kontynuować. Nie chcę narazić się na ból. Logika mnie jednak zawodzi i wsiadam do samochodu.

* * *

Blisko naszej szkoły jest McDonald, ja proszę jednak, żebyśmy pojechali do innego, bliżej mojego domu. Parę kroków ode mnie.

Wchodzimy do środka; jest tu odrobinę ciasniej niż w innych restauracjach tej sieci, zdecydowanie nie jest to jedna z tych z McCafé. Ale przynajmniej ma kącik zabaw. Zanim życie mi się rozpadło, mama zabierała nas tutaj, żebyśmy się pobawili.

Cameron rzeczywiście kupuje mi Happy Meal, a potem znajdujemy sobie czysty stolik gdzieś z tyłu. Chłopak siada i otwiera swoje pudełko z McRoyalem, a ja przekrzywiam głowę i zaczynam mu się przyglądać.

– To dlaczego chodzisz do Brooksa? – pytam. – Co zrobiłeś?

Uśmiecha się.

– Kto powiedział, że coś zrobiłem?

Taki właśnie jest problem z wykolejeńcami – kurczowo trzymamy się tego bełkotu o domniemaniu niewinności. Mimo to nie mogę rozgryźć, co właściwie Cameron robi w naszej szkole.

– Goście z beemkami nie chodzą do Brooks Academy – podkreślam.

– Ja tak.

– Dlaczego, czubku? – śmieję się. – Skończyłbyś z tą tajemniczością.

Cameron wybałusza oczy.

– Ja? Mnie zarzucasz tajemniczość, panno Możesz-mnie-już-tu-wysadzić?

– Wykręcasz się.

– Masz rację.

Czekam, w sumie doceniając fakt, że nie chce o sobie mówić. Dzisiaj zbyt wielu ludzi ma ochotę gadać non stop wyłącznie o sobie. Niedoczekanie, żebyśmy my z Rethą na okrągło tłumaczyły się z naszych spraw. Jeśli ludzie nas nie rozumieją, to ich problem.

Cameron pociąga łyk coli, przedłużając ciszę. Rozgląda się po restauracji, prawdopodobnie szukając czegoś, co odwróciłoby moją uwagę, ale w tym lokalu nic się nie nadaje. Staruszkowie i pięciolatki to zdecydowanie za mało, by zająć moje myśli.

– Niech będzie – odzywa się, jakbym to na nim wymusiła. – Zdemolowałem szkołę.

Prostuję się na siedzeniu.

– Zdemolowałeś?

Moczy frytkę w keczupie.

– No.

– Mocno?

– Na sto tysięcy.

Zatyka mnie i nachylam się do niego.

– Jak, u diabła, udało ci się narobić szkód na sto tysięcy dolarów? – pytam na cały głos.

Cameron śmieje się i rozgląda po sali, a policzki mu czerwienieją. Jacyś

starsi państwo gapią się na nas.

– Mogłabyś mówić trochę ciszej, Savannah? – szepcze, udając urażonego. – Tu się przychodzi całymi rodzinami.

Brzmienie mojego imienia znów mnie trochę szokuje.

– Przepraszam – mówię.

Jestem jednak zafascynowana. Czy Cameron to przypadek nieumiejętnego kontrolowania złości tak jak ja? Czy to dlatego zaczął się właśnie do mnie odzywać?

Cameron je swoją frytkę, przeżuwa ją powoli. Nie wygląda na to, żeby szykował dłuższy wywód, ale jeżeli myśli, że się wywinie bez opowiadania o swoim występku, to ma zdecydowanie nierówno pod sufitem.

Pod stołem kopię go w but.

– Jak zrobiłeś aż taką demolkę?

Zagryza dolną wargę, a kiedy powoli ją puszcza, czuję dreszcz podniecenia. Czyżby starał się mnie rozproszyć?

– Niezła próba – stwierdzam. – A teraz opowiadaj.

Kręci głową, jakby spieszyło go, że został przyłapany na usiłowaniu wdzięcznego wykręcenia się od tej rozmowy.

– Okej – ustępuje. – Zalałem część budynku, rozwaliłem kilka komputerów. Parę okien. Jakies tam sprzęty. – Drapie się w głowę. – Może też witryny z trofeami.

– To rzeczywiście grubo – przyznaję. – Aresztowali cię?

– No. A ciebie?

– No.

– Założę się, że rodzice są z nas dumni – mówi.

Śmieję się i sięgam po mojego ostatniego nuggetsa. Biorę gryza, a Cameron patrzy to na mnie, to na pustą tackę.

– Zjesz coś jeszcze? – pyta.

– Nie. – Nadal jestem głodna. Stale chodzę głodna.

Cameron kiwa głową i wyciera ręce w serwetkę. Kończę przeżuwać, poddając się milczeniu między nami. Nie jest ono niezręczne. Cieszę się, że Cameron nie należy do ludzi czujących, że ciszę należy zagłuszyć. W mojej poprzedniej szkole byli właśnie tacy ludzie – ze strachu przed uznaniem ich za nudziarzy zanudzali cały świat bezustanną gadaniną.

Bawię się zanurzoną w moim napoju słomką, zataczając nią kółka wokół kostek lodu.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam autentycznie zaciekawiona. Coś takiego zupełnie do niego nie pasuje, przynajmniej na tyle, na ile go znam. – Miałeś powtarzać klasę czy coś?

Krzywi się.

– Czemu? Wyglądam na durnia?
– Tak jakby. – Wiem, że tak nie jest. Może i nie wybija się na lekcjach, ale wymiata podczas testów. Widziałam jego świetne oceny.
– O, dzięki. – Cameron prostuje się na krześle. Oboje skończyliśmy jeść, ale nie chce mi się jeszcze wychodzić. Nie spieszę się do domu.
– O co więc chodziło? – dopytuję.
– Najwyraźniej miałem nieodpowiednich kolegów.
– To niewystarczający powód – zaprzeczam. – Ja miałam „odpowiednich” kolegów, a mimo to przebiłam Patrickowi dłoń zaostrozonym ołówkiem HB.
Cameron zaciska usta, wpatruje się w stolik.
– Co mam powiedzieć, Sutton? Że jestem podatny na wpływy?
Uśmiecham się.
– Opinia terapeuty?
– No. I sędziego.
– Miło.
– A co z tobą? Problemy z kontrolowaniem złości?
– Mhm.
– W to mogę uwierzyć – przyznaje. – Chociaż uważam, na ile cię znam, że całkiem nieźle ją kontrolujesz. To znaczy, jeśli nie liczyć tego, że przylałaś dziewczynie na kukurydzianym polu. Ale jestem pewien, że miałaś powody.
Fakt, że obie z Rethą wybrałyśmy się tam narozrabiać, prawdopodobnie przeczy teorii, że miałam jakieś szczególne powody przywalić Casey, tego jednak Cameronowi nie mówię.
– Praktycznie – stwierdzam za to, obracając słomkę – wciąż jeszcze mnie nie znasz.
– Fakt – zgadza się Cameron. – Powinniśmy to zmienić.
Szybko odwraca wzrok, jakby bawił się we flirt. Wygląda, jakby był dobry w te klocki i nagle ogarnia mnie okropne uczucie, że mnie wkręca.
– Czy wszystkie swoje dziewczyny zabierasz do McDonalda na obiad? – pytam.
– Dziewczyny? – szczerzy się. – Proszę, liczba mnoga.
Wzruszam ramionami.
– Na pewno masz kilka.
– Sutton, próbujesz mnie poderwać?
– Nie – zaprzeczam. – Zastanawiam się tylko, czy to element twojej gry.
– Mojej gry? – śmieje się ze mnie. – Nie – dodaje, przesuwając tacę, żeby oprzeć się łokciami o stolik. – Nie odwiedzam McDonalda z dziewczynami, żeby zrobić na nich wrażenie. Byłem głodny.
Spuszczam oczy. Nie należało poruszać tego tematu; nie powinnam okazywać, że mnie to gryzie.

– A w razie, gdybyś się nad tym zastanawiała – mówi – to nie, nie mam dziewczyny. – Wypowiada te słowa od niechcenia, czuję jednak, że czeka, czy podniosę wzrok.

– No i dobrze – mówię.

– A ty masz chłopaka, którego powinienem się wystrzegać?

Zerkam na niego.

– Niby czemu?

– Nie sądzisz, że mógłby się poczuć zazdrosny, że na maksa czaruję cię w twoim lokalnym McDonalddie?

– Aha, więc czarowałaś?

Wpatruje się we mnie z zadowoleniem, trochę szelmowsko. Jego brązowe oczy mają w sobie głębię i dobrze, że nieczęsto na mnie popatruje, bo są elektryzujące. Nie napisałabym żadnego sprawdzianu, gdyby gapił się tak na mnie w klasie.

– To masz chłopaka? – pyta ponownie poważniejszym tonem.

Twarz mnie zaczyna mrowić, prawie tak, jakby pytał, czy się z nim umówię, choć tego akurat nie mówi. I nie chciałabym, żeby to zrobił.

– Nie – odpowiadam. – Nie mam chłopaka. Ostatniego dźgnęłam.

Kiwa głową, nie okazując, co na ten temat sądzi. Potem wali dłońią w stolik, aż podskakuję.

– No to cieszę się, że mamy to już z głowy – oznajmia. – Powinienem się zbierać. Pozwól, że odwiozę cię do domu.

Już mu pozwoliłam, żeby zaprosił mnie na obiad i zapłacił za niego; wracać jego samochodem nie mam zamiaru. Chociaż najbardziej marzy mi się małe kotłowanko z Cameronem na tylnym siedzeniu jego beemki, strasznie by to wszystko skomplikowało. Zwłaszcza gdyby potem zaczął mnie ignorować, albo co gorsza, chciał ze mną chodzić.

– Nie, dzięki – odpowiadam, wstając.

– Ale... jak dostaniesz się do domu?

– Tym się nie przejmuj.

– Nie przejmuję się – zaprzecza. – Jestem po prostu ciekaw.

– Dzięki za obiad. – Podchodzę do kosza, opróżniam tacę i ruszam w stronę drzwi.

– Polecam się na przyszłość – woła za mną Cameron. Brzmi to jak propozycja.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, świeci słońce. Cieszę się, bo to oznacza, że Cameron nie zobaczy mnie brnącej w deszczu, a ja oszczędzę sobie upokorzenia.

Już prawie schodzę z krawężnika na parking, kiedy podjazd przecina biała furgonetka i zatrzymuje się tak blisko, że mogłaby mnie potrącić. Odskakuję i łapię oddech.

– Sukon – woła Patrick, wychylając się przez okienko kierowcy. Serce zaczyna mi walić i rozglądam się w panice, próbując zdecydować, czy iść dalej, czy cofnąć się do wnętrza. – Wskakuj do wozu – rozkazuje Patrick, skręcając na parking.

– Spierdalaj – mówię, ale ręka w nadgarstku zaczyna mnie mrowić na wspomnienie tego, co stało się w galerii. Jeszcze widzę w jego oczach tę nienawiść, z jaką pociągnął mnie wtedy na stolik.

– Jesteś mi winna przeprosiny. – Patrick uśmiecha się, ale oczy ma złowrogie. Moje spojrzenie wędruje ku jego ręce, leżącej na kierownicy. Nawet stąd widzę ciemnoróżowo-fioletową bliznę. Zastanawiam się, czy czasem go to boli i czy dlatego jest takim wściekłym fiutem.

– Spadaj – mówię mu i zaczynam się oddalać. Po prostu muszę znaleźć się jak najdalej od niego.

Silnik furgonetki ryczy tak głośno, że podskakuję. Czuję, że wpadam w panikę.

– Wskakuj, powiedziałem – woła Patrick.

Taa, jasne. Żeby skończyć w jakimś rowie? Nie pasuje mi to. Przyspieszam, ale jak szybko bym nie szła, jego furgonetka jedzie powoli, trzymając się mojego boku. Twarz mi płonie, a żołądek grozi wyrzyganiem nuggetsów, które właśnie zjadłam.

Co on dla mnie szykuje? Zatrzymuję się i zawracam tam, skąd przyszłam. Patrick, zaskoczony moim ruchem, hamuje gwałtownie. Słyszę, jak próbuje zawrócić. Wiem, że będzie mu ciężko, bo podjazd jest wąski, a on jeździ czymś na tyle dużym, by nadrabiało to żenujące braki jego samego.

Oddycham z ulgą, gdy z McDonalda wychodzi Cameron, sącząc swój napój, kompletnie nieświadomy mojego przerażenia.

– Cameron – wołam, biegnąc ku niemu. Odwraca się do mnie, najpierw zaskoczony, potem uśmiechnięty.

– Rozmyśliłaś się w kwestii spaceru?

Silnik furgonetki znów warczy, a mnie serce szaleje. Boję się, że Patrick mnie złapie i wrzuci do samochodu. Że zostanie po mnie tylko krótka wzmianka w wieczornych wiadomościach.

Biała furgonetka jest znów obok mnie, ale na nią nie patrzę. Spojrzenie mam utkwione w Cameronie, a on podejrzliwie popatruje na podjeżdżający samochód. Patrick zwalnia, ja za to przyspieszam.

– Przeprosisz – wrzeszczy chłopak przez otwarte okno od strony pasażera. – Jeszcze się zobaczymy, Sukon.

Rusza z głośnym piskiem opon, zatrzymuję się więc, łapiąc oddech. Gdyby nie to, co zdarzyło się wtedy w galerii, wyliczyłabym Patrickowi, na jakie sposoby może się odpieprzyć, ale teraz już sobie na to nie pozwolę. Jest wkurzony i pragnie

zemsty. I szczerze mówiąc... sama nie wiem, co na to poradzić. Czuję się przez to bezradna.

– Co to był za typ? – pyta Cameron, gdy do niego podchodzę. Wygląda na poruszonego, ale raczej tak, jakby chciał powiedzieć: „To właściwie nie moja sprawa, ale i tak mi się nie podoba”.

– Tamten? – upewniam się, jakbym nie zwróciła większej uwagi na gościa, który się do mnie przyczepił. Cameron mruży oczy i pociąga z kubka łyk napoju. Uciekam spojrzeniem. – Nie znam.

– Teraz mogę cię odwiedzić do domu? – pyta Cameron.

– Jesteś pewien, że ci to pasuje? – Nienawidzę siebie za to, że godzę się na tę podwózkę. Ale wiem, że Patrick może mnie szukać. I nie chcę stwarzać mu szansy na to, żeby porwał mnie prosto z ulicy.

– Oczywiście, że pasuje – odpowiada Cameron, podchodząc do śmietnika, żeby wywalić kubek. – Za cholerę bym nie proponował, gdyby nie pasowało.

Na ułamek chwili zamykam oczy, pragnąc zdławić narastający we mnie lęk. Otwieram je, zanim Cameron zdąży to zauważyć. W głowie siedzi mi Patrick. To debil, a ja daję mu się zastraszać. Cameron rusza w stronę samochodu, a ja odprowadzam go wzrokiem, ciekawa, czy się na mnie obejrzy; nie robi tego. Nie zamierza też ponownie nalegać. Opuszczam głowę i idę za nim.

Kiedy zatrzymuję się przy drzwiach od strony pasażera, spotykamy się wzrokiem, patrząc na siebie nad dachem auta. Jego twarz jest poważna i piękna. Uśmiecha się delikatnie, jakby o mojej sytuacji wiedział więcej, niż mówi. Potem schyla się i zajmuje miejsce za kierownicą.

* * *

Przez jakiś czas jedziemy w ciszy. Przywykłam do jeżdżenia z Travisem i Rethą, a z nimi rzadko bywa cicho.

– Dlaczego nie słuchasz radia? – pytam Camerona.

Patrzy na mnie, potem znów na drogę.

– Mam włączyć radio?

– Zapytałam tylko, czemu go nie słuchasz?

– Stale go słucham.

– Nie, kiedy ja tu jestem.

– Sutton, jeśli chcesz posłuchać radia, włącz je – śmieje się.

– Wcale nie chcę. – Wzruszam ramionami. – Pomyślałam sobie tylko, że to dziwne.

– Dziwne?

– Tak.

– Okej. Niech będzie, taki ze mnie dziwoląg, co nie znosi muzyki w aucie.

Wpatruję się w okno, obserwując, jak widok za nim szpetnieje. Ponownie

ogarnia mnie wstyd.

Cameron chrząka, a z mojego doświadczenia wynika, że takie chrząknięcie zawsze zapowiada niezręczną chwilę.

– Nie wybrałaś się gdzieś? – pyta. Odwracam się i widzę, że gapi się w przednią szybę, wyglądając na jeszcze bardziej zdenerwowanego, niż wskazywałby na to ton jego głosu.

– Już się z tobą wybrałam, zapomniałeś?

– Nie zapomniałem – rzuca. – Pomyślałem tylko, że może ciekawi cię, gdzie mieszkam.

– A skąd ci to przyszło do głowy? – Uświadamiam sobie, że tak trochę jest. I wierzyć mi się nie chce, że chciałby mnie tam zabrać.

– No to jak? – Lekko zaciska wargi, nadal na mnie nie patrząc.

Budynki za oknem wydają się opustoszałe i smętne. Evan ma wizytę u dentysty i nie wróci do domu przed szóstą. Tata będzie w robocie – prawdopodobnie. A w domu nie ma nikogo, poza duchem mamy.

– Nie powinnam – mówię, nie przestając przyglądać się okolicy. Usilnie pracuję nad powodami odmowy, ale żaden nie przychodzi mi do głowy. – Odwiesz mnie potem do domu? – pytam, odwracając się do niego.

– Nie. Będziesz musiała wrócić pieszo. – Cameron zerka na mnie z ukosa i śmieje się. – Tak, Savannah. Odwiozę cię do domu, kiedy tylko będziesz chciała.

Kiwam głową i wracam do przyglądania się mijanym budynkom.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy skręcamy w jego ulicę, czuję się już totalnie niezręcznie. W tej części miasta jeszcze nigdy nie byłam, nawet u lekarza. Właśnie w tej dzielnicy mieszkaliby celebryci, gdyby jacyś nam się trafili. Czuję się niegodna tutaj być.

Cameron wjeżdża na podjazd kończący się trójgiem drzwi do garażu połączonego z wielkim domem o ogromnych oknach.

Gasi silnik.

– To twój dom? – pytam.

– No.

– Ładny – mówię, jakby wcale nie zrobił na mnie wrażenia. Nachylam się, żeby obczaić budynek przez przednią szybę. – Duży to on nie jest.

– Nieczęsto to słyszę – odpowiada. Kiedy na niego spoglądam, śmieje się, jakby nie o jego dom chodziło. – Wejdziemy? – pyta.

Omiotam wzrokiem ceglany front, zastanawiając się, czemu Cameron mnie tu przywiózł i dlaczego się na to zgodziłam.

– Pewnie – odpowiadam. Miał rację, ciekawi mnie, jak mieszka.

Cameron wysiada, ale ja jeszcze chwilę nie ruszam się z miejsca, patrząc, jak obchodzi samochód i zbliża się do drzwi wejściowych. Nie odwraca się, a mnie podoba się swoboda, z jaką się porusza. Pasuje tutaj, do takiego właśnie domu. W odróżnieniu ode mnie.

Wchodząc, zostawia otwarte drzwi frontowe, uznaję więc, że równie dobrze mogę pójść w jego ślady. Po wyjściu z samochodu rozglądam się wokół. Jakaś starsza pani, prowadząca na smyczy dwa puchate białe pieski, macha do mnie. Zamieram. Myśli, że tu mieszkam? Czyżby nie знаła swoich sąsiadów? Też macham.

– Sutton? – woła śpiewnie Cameron z wnętrza domu. – Wypuścisz całe ciepło.

Postanawiam przeżyć wraz z nim tę przygodę i ruszam ścieżką, a potem w głąb domu.

Ja pierdykam. Ładnie tu. Zamykam drzwi i ogarniam wzrokiem podłogi z ciemnego drewna, skórzane meble i pomalowane na szaro ściany. W dżinsach i T-shircie czuję się nieodpowiednio ubrana. Prawdopodobnie powinnam zdjąć buty. Waham się, ponieważ mam skarpetki nie do pary, ale nie chcę wyjść na chamkę. Starannie ustawiam adidas za drzwiami.

Cameron wychodzi, jak przypuszczam z kuchni, niosąc dwie puszkę coli. Wydaje się zadowolony z tego, że mnie tu przywiózł. Gdy już jestem w tym jego ciepłym domu, czuję coś podobnego. Nie chcę jednak, żeby się o tym dowiedział.

– Ładne macie meble – mówię. Co za głupi tekst.

– Aha... Dzięki. – Podaje mi colę. Patrzy na moje niedopasowane skarpetki, czerwoną i niebieską, ale nie odzywa się ani słowem. – Chcesz zobaczyć resztę domu? – pyta.

– Chcesz się popisać?

– Mam podgrzewany basen – Cameron szerzy zęby w uśmiechu. Wie, że jego basen, choćby i podgrzewany, gównu mnie obchodzi. Kpi z samego siebie i według mnie to słodkie.

– Łał – mówię, strzelając zawleczką puszki. – Taki wpuszczony w ziemię?

– Taki wpuszczony w podłogę w domu.

Nawet nie przypuszczałam, że to możliwe.

– Ze zjeżdżalnią? – dopytuję.

– Nie – odpowiada. – Rodzice nie chcieli, żeby wyglądał pretensjonalnie.

Wybucham śmiechem, a Cameron sączy swoją colę i wciąż stoimy przy drzwiach. Zanim robi się całkiem niezręcznie, wskazuje ręką przedpokój za moimi plecami.

– Chcesz iść do mojego pokoju? – pyta.

Chcę, ale ta chęć kłóci się we mnie ze złością. Wiem oczywiście, że pewnie nie jestem pierwszą dziewczyną, którą zaprosił na obiad, a potem do swojego łóżka. Ale to nie oznacza, że chcę być jedną z nich. Ani mi się marzy tego rodzaju historia. Wystarczy mi problemów z moim aktualnym byłem.

– Nie patrz tak na mnie – mówi Cameron, pociągając kolejny łyk coli. – Nie podpuszczam cię. W moim pokoju jest wygodniej niż tutaj. – Ruchem głowy omiata nienaganny salon. – Staram się być uprzejmy – dodaje.

Nie wątpię w jego szczerłość, ale nadal czegoś nie rozumiem.

– Dlaczego? – pytam.

Marszczy brwi.

– Dlaczego nie?

– Dlatego.

– Jesteś bardzo elokwentna, gdy chodzi o argumentację, wiesz o tym?

– Spierdalaj.

– Sutton – upomina mnie – nie zapominaj o kontrolowaniu złości.

Riposta jest na tyle celna, że moja nieufność maleje.

– Niech będzie – mówię mu i biorę przesadnie głęboki oddech. – Pokaż mi ten swój głupi pokój.

– To teraz jest głupi?

– Zamknij się. Po prostu mi go pokaż.

Zagryza wargi, okręca się na piętach osłoniętych olśniewająco białymi sportowymi skarpetami i rusza w głąb korytarza. Idę za nim, przyglądając się dziełom sztuki i portretom rodzinnym zajmującym ściany. Cameron jest jedynakiem. To mi przypomina okres, kiedy byłam jedynym dzieckiem w mojej

rodzinie. Mama była blisko. Tata był trzeźwy. Ale nie było Evana. To, co mam teraz, bije więc na głowę każdy z tamtych dni.

Cameron otwiera drzwi przy końcu krótkiego korytarza i odsuwa się, żebym weszła pierwsza. Kiedy go mijam, przygląda się mojemu profilowi. Zaraz po wejściu staje jak wryta. Jego pokój jest fajniejszy od wszystkich, jakie dotąd widziałam. Naprawdę nie powinno mnie tu być.

Zamyka drzwi, spoglądam więc na niego, zaniepokojona. Jesteśmy sami w jego pokoju, za zamkniętymi drzwiami, a w domu nikogo nie ma. To wyraźnie sceneria pod podryw. Nie jestem na to przygotowana. Nie z nim. Nie z kimś takim.

Zaczynam zwiedzanie, oglądanie wszystkich jego rzeczy. Papierów na szafce, zegarka, pocztówek z Kalifornii.

– Możesz usiąść – proponuje Cameron, wskazując łóżko. Niezła próba.

Unoszę brwi, a on śmieje się pod nosem.

– Czy wszystkim tak dajesz w kość, czy jestem kimś szczególnym? Bo tylko sugeruję, żebyś usiadła, zamiast krążyć po moim pokoju jak lwica po klatce. Ale jeśli to za mocny tekst, to ja...

Siadam na jego łóżku, a on natychmiast zamyka usta. Nie jestem pewna, co odpowiedzieć na jego pytanie. Większość ludzi, którym każe spadać, zasługuje na to. A czy on jest kimś szczególnym...? Nie sądzę, żeby miało to znaczenie.

Rzecz jasna, jego łóżko jest tak wygodne, jak to tylko możliwe. Jedno z tych mięciutkich i pełnych poduszek. Stawiam puszkę na stoliku przy nim, a kiedy spoglądam na Camerona, ten się uśmiecha.

– Co znowu? – pytam. Opiera się o szafę, włosy zgarnął za uszy.

– Nic. – Wzrusza ramionami.

Oboje siedzimy cicho, nawet nie wiem, od czego zacząć rozmowę z nim. Tak bardzo czuję się wtłoczona w jego świat, tak bardzo nie mam na nic wpływu. Oglądanie czyjegoś pokoju po raz pierwszy jest... czymś intymnym. Nawet myśl o tym słowie wywołuje u mnie rumieniec.

– Czy mogę usiąść obok ciebie, czy uznasz, że do ciebie startuję, panno Wszyscy-na-mnie-lecą? – pyta Cameron.

– To zależy. Startujesz do mnie?

– Nie – odpowiada. – Naprawdę nie.

Czuję ukłucie rozczarowania i spuszczam oczy na kolana.

– Jesteś tu u siebie – przypominam.

– Strasznie się bronisz – mówi. – Nie jestem wrogiem. Nie musisz ze mną walczyć. – Łóżko obok mnie ugina się i choć Cameron mnie nie dotyka, czuję bijące od niego ciepło. Z trudem przełykam ślinę.

– Może ja umiem tylko walczyć.

– A może ja walczę po tej samej stronie co ty?

Lubię go. Naprawdę. Ale choć wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na

to, że on też mnie lubi, to jeszcze nic nie znaczy. Patrick potrafił w jednej chwili powiedzieć mi, że mnie kocha, a moment później dodawać, że wyglądam „tak żałośnie”. Szeptał mi do ucha słodkie słówka i wkładał rękę w majtki, a zaraz potem wysyłał pieszko do domu, bo wybierał się gdzieś z kumplami. Nie najlepiej znałam się wtedy na ludziach. Już nie będę taka głupia. Chociaż wiem, że Cameron jest fajny, wręcz słodki, już nie narażę się na ból. Z nas dwojga to ja mam zbyt wiele do stracenia.

– Zrobiłaś się okropnie cicha – mówi Cameron, chyba rozbawiony. Czyżby czuł, że się przez niego denerwuję?

– To dlatego, że za dużo gadasz – wyjaśniam.

– Tylko z tobą.

Twarz mnie mrowi, czuję, że zacznym nadmiernie analizować sytuację. Czemu on ze mną gada? Czemu właśnie ze mną?

– Znowu milczysz – stwierdza Cameron.

Muszę coś powiedzieć, żeby przełamać to napięcie. Usiadł przecież na tyle blisko, że mogłabym go dotknąć.

– A więc... – zaczynam – jesteś superbogaty. – To brzmi raczej jak oskarżenie, a nie stwierdzenie faktu.

– Nie – zaprzecza. – Ale moi rodzice tak.

Patrzę na niego i widzę, że uśmiecha się do wyglądającego na kosztowny dywanu.

– Są bufonami? – pytam.

– Kto? – Wybuchają śmiechem. – Moi rodzice? – Wydaje się zaskoczony tym pytaniem.

Chyba więc nie są.

– Nieważne – mówię szybko.

– Nie, nic się nie stało – mówi Cameron, dotykając mojej ręki. To niewinny gest, ale nie mogę się powstrzymać przed jej cofnięciem i spleceniem dłoni na kolanach.

– To dobrzy ludzie – dodaje Cameron. – Zwłaszcza moja mama.

Nie wiem czemu, ale po tych słowach wydaje mi się jeszcze bardziej pociągający. Ma to jakiś związek z ciepłem, którego nabiera jego głos, gdy wspomina o mamie. Chciałabym odczuwać coś takiego na myśl o mojej matce.

Pragnę dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Pragnę zrozumieć go tak, jak rozumiem moich przyjaciół.

– Cameron. – Zerkam na niego. – Właściwie to dlaczego zdemolowałaś tamtą szkołę?

– To długa i tragiczna historia...

– Pytam poważnie. Chcę to wiedzieć.

Nagle odwraca się do mnie, przypatruje mojej twarzy. Zwilżam wargi, jakby

w oczekiwaniu na pocałunek.

– Byłem wściekły – mówi zamiast tego. – Byłem... wkurzony i wściekły.

– Dlaczego?

– Bo go nienawidziłem. Prywatnego liceum Langston – wyjaśnia. – Nie pasowałem tam.

– Przecież jeździsz bmw. – Trochę wiem o Langston. Mają tam kampus pośród drzew i drużyny sportowe z prywatnymi sponsorami. Posiadanie fajnej bryki jest tam obowiązkowe.

– Nie byłem taki, jak oni – mówi. – To pozerzy, a ja taki nie jestem.

Cameron nie jest rozluźniony i uśmiechnięty. Oczy ma zmrużone, a usta wygina mu grymas. Przysuwam się odrobinę bliżej, zafascynowana jego złością.

– Mogłeś odbębnić w szkole swoje i wracać do domu – mówię. – Tak jak ja teraz robię.

– Widzisz, byłby problem – odpowiada. – Szkoła to nie moja bajka, zwłaszcza tamta szkoła. Nie znosiłem jej. Całych dni wysiadania i wysłuchiwanie bezużytecznych budżetów. Nie chciałem tego ciągnąć. Ale mój tata... on nie pozwoliłby mi rzucić Langston. Zasypywał szkołę forszą, żeby mnie przepuszczali, choć prawie się tam nie pokazywałem. Dziekan nie mógł mnie znieść. Do tego doszły jeszcze te wszystkie stare pierdziele powtarzające mi, jak bardzo powinienem być wdzięczny, że nadal wolno mi tam uczęszczać. Jakbym im coś zawdzięczał. Podczas gdy to mój tata wykladał kasę na ich bibliotekę.

Cameron przeczesuje palcami włosy, a ja zastanawiam się, ile może kosztować taka biblioteka. Chłopak potrząsa głową.

– Kiedy zacząłem się zadawać ze „stypendialnymi”, bo tak ich tam nazywano, dyrekcja wezwała mnie na dywanik. Na pogadankę o złym wpływie. Żeby mnie upomnieć, że proszę się o kłopoty.

– Prosiłeś się? – Podoba mi się, że się tym nie przejął. Podoba mi się, że nie żałuje.

Kiwa głową.

– Może trochę. Ale nie mieli prawa pouczać mnie, z kim mam trzymać. Poprzestawiali mi nawet plan lekcji. Zrobiło się totalnie do dupy. A potem dziekan, czy raczej Kapitan Wredota, bo tak go nazywałem nawet w jego obecności, powiedział, że jeśli jeszcze raz zobaczy mnie z Marcusem i resztą paczki, to mnie zawiesi.

– Mógł to zrobić?

– Zrobił.

To nie w porządku. Kto im dał prawo mówić Cameronowi, z kim ma się kumplować? Nagle uświadamiam sobie, że mnie także zaliczono by do osób, od których powinien się trzymać z dala.

– A więc cię zawiesili? – pytam.

– No.

– Dranie – mówię. Wpatruje się we mnie intensywnie, oboje mamy przyspieszony oddech.

– Dranie – powtarza cicho, jakby spodobało mu się, że to powiedziałam.

Jeżeli się pochylę w jego stronę, pocałuje mnie? Tak na mnie patrzy, jakby mógł. Ale równie dobrze mogłoby się to przerodzić w jedną z tych prawdziwie niezręcznych chwil zgrozy, wlokących się jak w zwolnionym tempie. W jakiegoś przytulasa. W mylne rozpoznanie sygnałów. Cholera. Znow przebinam z analizowaniem.

– To jak to się stało? – pytam, starając się ponownie skłonić go do mówienia.

– Co spowodowało, że postanowiłeś zdemolować tamtą szkołę?

– Chciałem się wyrwać. Próbowalem porozmawiać z tatą, przekonać go, żeby zabrał im swoją kasę. Nie zgodził się. Był przekonany, że to dobra szkoła. Ale pieprzyć to! Uległem złym wpływom i zrobiliśmy włamanie.

– Słaby charakter? – mówię.

– Na to wygląda.

– Sto tysiaków?

– No. Zdemolowaliśmy biura administracji, połamaliśmy od cholery sprzętów i zniszczyliśmy archiwa. – Spuszcza wzrok na swoje kolana. – Nasikałem Kapitanowi Wredocie do dzbanka do kawy.

– Ohyda.

Teraz patrzy mi w oczy.

– Bez tego szczegółu pewnie mogłabyś się obejść. – Kiwam głową na potwierdzenie. – Byliśmy po prostu wściekli – dodaje.

– Myślę, że potrafię zrozumieć złość.

Uśmiecha się.

– Też myślę, że to rozumiesz.

– Chociaż trochę przesadziliście – rzucam.

– Mówi to dziewczyna, której wystarczył ołówek, żeby kogoś dźgnąć.

– Miałam mocny powód.

– Ja też.

– Można by dyskutować.

– No tak – przyznaje. – Wtedy ten pomysł wydawał mi się świetny. Gdybym mógł cofnąć czas, może inaczej bym to rozegrał. Możliwe, że nie rozpieprzyłbym wszystkiego. Ale do dzbanka zdecydowanie bym nasikał.

– Boże jedyny.

– Sorki.

Odchylam się w tył, opieram na szeroko rozstawionych rękach.

– A gdzie się podziali ci ze złym wpływem na ciebie? – pytam. – Co się stało, że nie trafili do Brooks Academy?

– Wynieśli się do Kalifornii.

Rozdziawiam usta.

– Mają na karku policję?

– Nie – zaprzecza Cameron. – Wziąłem wszystko na siebie, a mój tata zapłacił za szkody. Najadł się wstydu. No bo jak, on to największy dobroczyńca szkoły, a tu jego popierdolony synek demuluje budę. Temat na kilka rodzinnych obiadów w napiętej atmosferze.

– Wyobrażam sobie. Znienawidził cię?

– Co takiego? Nie, to przecież mój ojciec. – Po jego tonie poznaję, że uważa to przypuszczenie za jakieś wariactwo. Widać, że nie zna mojego taty. I nigdy nie pozna.

– Powiedz mi jeszcze – mówię – czy zawsze sprawiałeś kłopoty?

– Tak. Nie słyszałaś? Za pieniądze nie kupi się szczęścia. Jedynie całkiem fajne samochody.

– Chyba obilo mi się to o uszy.

Cameron wzdycha.

– Mój tata planował, że zostanę prawnikiem – opowiada. – Ale to nie dla mnie. Ja lubię robić to, na co mam ochotę. – Szczerzy zęby w uśmiechu. – Wiesz, spotykać dziewczyny pod 7-Eleven i kupować im lizaki.

– To ze mnie szczęściara.

– Szczęściara – potwierdza.

– Dlaczego nie pojechałeś do Kalifornii ze swoimi kolegami? – pytam, chociaż cieszę się, że tego nie zrobił.

– Mój tata bywa bardzo przekonujący. – Milknie. – Czeka, Sutton, próbujesz się ode mnie uwolnić?

– Nie – odpowiadam ze znacznie większą powagą, niż zamierałam.

– Nie?

Powinnam się prosto, powiedzieć coś, co przykryłoby wyznanie, że chcę mieć go blisko siebie, mimo to nie wykonuję żadnego ruchu. Wtedy Cameron wyciąga się na łóżku, od niechcenia splatając ręce za głową i praktycznie zapraszając, bym na niego weszła. Jest cholernie spokojny.

Palce mnie świerzbią. Nic nie mówimy, ale wpatrujemy się w siebie, zastanawiając się może, które z nas wykona pierwszy ruch. Korci mnie, żeby położyć się obok niego, ramię przy ramieniu.

– Może zostaniesz na kolację? – proponuje Cameron. Mówi to tak naturalnie, jakbyśmy byli parą i całe dni spędzali razem.

– Mam swój dom – odpowiadam. – I pewnie tego jeszcze o mnie nie wiesz, ale to ja w nim jestem szefem kuchni.

– Serio?

– Lubisz makaron z serem? – pytam.

Powstrzymuje uśmiech.

– Tak trochę.

– A parówki?

Śmieje się.

– Nie.

– To fatalnie. Moje parówki z serem nie mają sobie równych w mieście.

– Łał – mówi, jakby był pod wrażeniem. – To... Cóż, to brzmi diabelnie nieapetycznie. Zdecydowanie powinnaś zostać. Możemy zamówić pizzę. Poza tym... naprawdę by mi to pomogło. Moja mama chciałaby uwierzyć, że się zaaklimatyzowałem.

– A to prawda?

– Nie – śmieje się. – Nienawidzę szkoły. I tylko z tobą się tam kumpluję, więc co ty na to? Będę ci winien przysługę.

Kumple Camerona wyjechali z miasta bez niego. Skoro chce ze mną gadać, na pewno dokucza mu samotność. Nie palę się, żeby wracać do domu... chyba więc też czuję się samotna.

– No dobra – mówię mu. – Zostanę na kolację, tylko niech nie będzie dziwnie.

Szeroko się uśmiecha i siada, opierając łokcie na kolanach.

– Zaskakujesz mnie.

– Już się robi dziwnie.

W jego oczach pojawia się błysk – to mina zapowiadająca nieuchronny pocałunek. Szybko rozwiewam tę nadzieję.

– A więc pizza?

– Właściwie – marszczy nos, jakby ze skruchą – to cię okłamałem. Nie jadamy pizzy, bo tata jej nie znosi.

– To jakiś potwór.

Słysząc trzask zamykanych drzwi i oboje spoglądamy w stronę korytarza.

– Cameron? – woła z przedpokoju kobiecy głos. Na drewnianej podłodze stukają obcasy.

Zapiera mi dech i chwytam Camerona za ramię. Spogląda na biceps, za który go złapałam, a potem powoli podnosi wzrok i patrzy mi w oczy. Ten dotyk mnie pali, więc cofam rękę.

– Tu jestem, mam – woła Cameron, ale nie odrywa ode mnie oczu.

– Będzie się wściekać?

– O co? – Chłopak marszczy brwi.

– O mnie. Że jestem tu sam na sam z tobą?

– Wolno mi zapraszać koleżanki do swojego pokoju – odpowiada.

Robi mi się tak głupio, że opuszczam oczy. Koleżanki. Nie zamierzał się do mnie przystawiać – znacznie wcześniej dał mi to już do zrozumienia. Żle

zrozumiałam sytuację.

Drzwi się otwierają.

– Oo – Mama Camerona patrzy to na mnie, to na niego. – Przepraszam, nie wiedziałam, że masz gościa.

Wpatruję się w nią, spodziewając się, że mnie wywali. Ona jednak uśmiecha się ciepło i nic już nie rozumiem.

– Mów mi Kendra. – Wyciąga rękę i podchodzi do mnie. Stoję jak kolek, obarczona poczuciem winy. Czuję się prawie tak, jakby mnie przyłapała na igraszkach z Cameronem.

Witam się z nią.

– Savannah – mówię, ale jakoś szeptem. Co mi się, do cholery, zrobiło z głosem? Przecież nic nie nawywijałam.

– Miło mi cię poznać. – Kendra jest śliczna jak na matkę. Ma długie do ramion, jasne włosy z podwiniętymi końcówkami, pachnie kwiatami.

– Savannah chodzi ze mną do klasy – wyjaśnia Cameron z za moich pleców. Kiedy zapraszał mnie, żebym została na kolację, nie brałam pod uwagę tej sceny. Sceny, gdy jego rodzice się dowiedzą, że ja też należę do trudnej młodzieży.

– Naprawdę? – Kendra opiera dłonie na biodrach, jakby odkryła we mnie coś ciekawego. – Co takiego zrobiłaś, kochanie?

– Dźgnęła swojego byłego – śmieje się Cameron.

Kendra kręci głową.

– Przestań – strofuje go, klepiąc po ramieniu. – To nie było zabawne.

Cieszę się, że mu nie uwierzyła, ale i tak go zabiję. Kendra odwraca się do mnie.

– Zostaniesz na kolację? – pyta.

– Och, ja... – Zamierzam się wycofać, ale Cameron już staje obok matki i uśmiecha się, jakby wiedział, że gotowa jestem się rozmyślić. Naprawdę chce, żebym została? Żebym zjadła kolację z jego rodzicami? Jakiś psychopata z niego?

Mam jeszcze masę czasu, żeby zdążyć do domu przed Evanem. Wystarczy, że stąd wyjdę.

– Zostaniesz? – pyta Cameron, tak po prostu.

I widzę, że naprawdę chce, żebym została, bez żadnych podtekstów. To jest autentyczne. Szczerze. Postanawiam więc wyświadczyć mu tę przysługę. Zresztą zobowiązał się odwdziaczyć. Kto wie, może Retha i ja wkrótce znów będziemy potrzebowały samochodu, żeby skądś zwiać.

– Mój braciszek wraca o szóstej – zastrzegam. – Muszę już wtedy być w domu.

– Doskonale. – Kendra klaszcze w dłonie. – Lubimy wczesne kolacje. Zamówimy coś kantońskiego.

– Savannah uwielbia kantońskie dania – mówi Cameron, uśmiechając się do

mnie. Jest podekscytowany tym, że zostaję. To takie chłopięce i cudne, może też odrobinę zadziorne.

– To wspaniale – zwracam się do Kendry, choć nie mam pojęcia o kantońskiej kuchni.

– Savannah, zechciałabyś mi pomóc? – pyta kobieta, gestem wskazując kuchnię.

– Aha... Dobrze – odpowiadam. Nie jestem pewna, w czym miałabym pomagać. Wydawało mi się, że Kendra chce zamówić jedzenie z dostawą do domu.

– Cameron – ogląda się przez ramię na syna – zadzwoń do taty i spytaj, kiedy wróci.

– Bardzo śmieszne – odpowiada chłopak.

Kiedy wyjmuję telefon, żeby zadzwonić, Kendra przysuwa się do mnie.

– Miło wiedzieć, że Cameron znów się z kimś koleguje – szepcze do mnie.
– Martwiłam się o niego.

Rusza przodem, prowadząc mnie do kuchni. Jeszcze raz ukradkiem zerkam na Camerona. Rozmawia z tatą, wyraźnie zirytowany, ale chyba czuje, że na niego patrzę, bo się ogląda. Zaczyna się uśmiechać, a ja czuję ten uśmiech w sercu. Aż do bólu.

Odwracam się więc i idę w ślad za jego mamą do kuchni.

ROZDZIAŁ 9

Kantońskie jedzenie przyjeżdża nie w papierowych torbach, a na fikuśnych plastikowych tackach, gotowych do podania. Mimo to mama Camerona prosi mnie o pomoc w wyłożeniu go na porcelanowe talerze, zanim dania powędrują na stół.

Jadalnia jest naprawdę przytulna, z szafką pełną lśniących szkieł, krzesłami o wysokich oparciach i zawieszoną nad stołem instalacją świetlną. Stół był już nakryty, kiedy weszłam; zastawa stoi na nim nawet wtedy, gdy nikogo nie ma w domu.

Cameron zajmuje przy stole miejsce naprzeciwko mnie, co oznacza, że przez całą kolację będę musiała na niego patrzeć. Jego ojciec wrócił koło czwartej i teraz on i Kendra siedzą po przeciwnych krańcach stołu. Jest trochę dziwnie, bo wyglądamy jak jakaś rodzina z telewizyjnego serialu.

Marcel, ojciec Camerona, w niczym nie przypomina typowego bogatego bubka. Jest wielki jak futbolista, ma długie, ciemne, zaczesane do tyłu włosy. Jest przystojny, ale w sposób bardziej wyrazisty niż Cameron. I ma na sobie ciemnoniebieski garnitur. Nawet do kolacji zasiada w garniturze. To chyba trochę robi z niego bubka.

– Powiedz, Savannah – zwraca się do mnie Marcel między jednym kęsem a drugim – masz może rodzeństwo?

Tego pytania zawsze się obawiam, bo choć czuję, że ludzie powinni wiedzieć o niepełnosprawności Evana, nie powinni patrzeć na niego pod jej kątem. Jest świetny taki, jaki jest. Nie chcę, żeby go żałowano. Nie potrzebuje takiej litości.

– Mam brata – mówię, przesuwając jedzenie po talerzu. Cameron to kumpel z klasy, słyszał więc już o Evanie. To jednak wcale nie ułatwia mi opowiadania o braciszku.

– Brata – powtarza Kendra. – Młodszy od ciebie?

– Tak. Ma siedem lat.

Matka Camerona wydaje odgłos, który uznać można jedynie za oznakę radości, a ja nabieram ochoty, żeby sobie pójść. Ramiona mi tężeją i już się głowię, jak się wywinąć od tej rozmowy.

– To słodko – mówi Kendra. – Uczę w McKinleyu trzecioklasistów. Do której szkoły on chodzi?

Oczy mnie szczypią. Ludzie przestali mi już zadawać takie pytania. Zapomniałam, jak się na nie odpowiada.

– Do Tomlinsona – wyjaśniam. Do jedynej szkoły specjalnej w okolicy.

– To porządna szkoła – mówi ostrożnie mama Camerona.

Marcel podnosi kieliszek i upija łyk wina, unikając mojego spojrzenia.

Kendra chyba chciałaby się dowiedzieć czegoś więcej, wie jednak, że niegrzecznie byłoby wypytywać.

– Jak ma na imię? – zaskakuje mnie pytaniem Cameron.

– Evan.

– Uroczo – stwierdza Kendra.

Patrzę na Camerona, bo podniósł mnie na duchu – tym, że zapytał o imię mojego brata. Mogłoby się wydawać, że jest jedyną na tym świecie osobą, która mnie rozumie, choć tak naprawdę wiem, że tak nie jest. Bo i czemu miałoby być?

Spuszczam wzrok na talerz, bo nagle czuję, że brakuje mi Evana, i mam poczucie winy, że bez niego jem takie pyszności.

– Jest u naszej cioci Kathy – mówię, choć nikt o to nie pytał. – Co tydzień ciotka bierze go do siebie na kilka dni.

W jadalni robi się cicho i duszno. Już nie jestem głodna. Marzę, żeby Kathy odwiozła Evana do domu i żebym mogła go uściskać. On wymaga ode mnie wielkiej odpowiedzialności, ale jest mój. Bez niego czuję się pusta.

Cameron wybucha nagle śmiechem, jakby coś sobie przypomniał. Spoglądam na niego, a on uśmiecha się szeroko i odwraca do matki.

– Savannah zaciekał nasz basen – mówi. – Doszliśmy do wniosku, że powinienem urządzić nad nim imprezę.

Rozdziawiam usta, a Kendra śmieje się, jakby wiedziała, że Cameron (jak zwykle) żartuje.

– Naprawdę? – pyta Marcel. – W takim razie powinienem ci podziękować, Savannah. Cameron od miesiący nie korzystał z basenu. To wspaniały pomysł.

Robię wielkie oczy.

– Ale ja nie...

– Może w sobotę – przerywa mi Cameron. – Pasuje ci? – Stara się być miły i taki jest, ale w tej chwili już na to za późno. Rozmowa o Evanie przypomniła mi o moim własnym życiu. O moich ograniczeniach.

Milczę, wpatrując się w swój makaron. Mowy nie ma, żebym pojawiła się na imprezie Camerona. Nie wiem, jacy ludzie na nią przyjdą, ani co o mnie pomyślą. Zwłaszcza jeśli będzie tam ktoś z prywatnego liceum Langston. Dla nich będę co najwyżej jakąś „stypendialną”.

– Zamówię jedzenie – cieszy się Kendra. Zaczynają z Marcelem układać plany, rozmawiają o cateringu.

Pod stołem stopa Camerona uderza w moją i delikatnie na niej spoczywa. Podnoszę na niego wzrok, akurat gdy pakuje sobie do ust porcję ryżu. Żadne z nas nie daje po sobie poznać, że się dotykamy. Serce bije mi nieco szybciej i wracam do jedzenia.

* * *

Po kolacji widzę, że już prawie szósta, proszę więc Camerona, żeby odwiózł mnie do domu. Żegniam się z jego rodzicami, raz jeszcze dziękując za posiłek. Kendra wydaje się zasmucona tym, że muszę już iść. Cameron podaje mi buty, a mnie wprost trudno uwierzyć, jak swobodnie czuje się ze mną w obecności rodziny. Dotąd dobrze dogadywałam się tylko z rodzicami Rethy.

Nie pada, więc Cameron ogląda sobie moje sąsiedztwo w całej okazałości. Mnę w dłoniach pasek leżącego przy moich nogach plecaka. Wstydzę się, tym bardziej że widziałam, jak on mieszka. Nasz zaniedbany biały dom wydaje mi się teraz bezpańską rudera. Nienawidzę tego, że muszę tam wrócić.

Na podjeździe stoi samochód taty, zerkam więc na zegarek, zaniepokojona, że Evan mógł wrócić przede mną. Ale nie ma jeszcze szóstej.

– Dzięki za karmienie przez cały dzień – mówię, spoglądając na Camerona.

– Nie ma sprawy – odpowiada. – Dzięki za umożliwienie mi udawania, że się z kimś kumpluję.

– No tak, za to. Naprawdę nie masz kumpli?

Marszczy brwi.

– Wydaje ci się, że nie mam?

– Sama nie wiem. To znaczy... Po prostu odpowiedz. Masz?

– Oczywiście, że mam. Nie jestem jakimś tam fajfusem. Po prostu nie miałem żadnych kolegów w Brooksie. Przynajmniej do teraz.

– Jestem pewna, że bez problemu znalazłbyś sobie ich więcej. – Nie podoba mi się ten pomysł, ale wiem, że to prawda. Ze swoim wyglądem i pieniędzmi Cameron zakumplowałby się z każdym.

– Wątpię, czy byliby tak interesujący jak ty – mówi.

– Też jesteś poniekąd interesujący – mruczę pod nosem. – Jak na trudną młodzież.

Uśmiecha się i odchyła głowę na oparcie.

– Na pewno musisz już iść? – pyta. – Moglibyśmy jeszcze trochę tu posiedzieć. Pogadać.

Jego cichy głos tuż przy moim uchu sprawia, że całe ciało mnie mrowi. Gdyby sprawy wyglądały inaczej, gdyby ze mną było inaczej, zostałabym z nim. Nawet pojechałabym z nim na koniec świata. Ale nie mogę.

– Jeszcze raz dzięki – mówię i ciągnę za klamkę.

Kiedy wysiadam, jego ręka ociera się na siedzeniu o moją, może przypadkowo, a może ją do mnie wyciągnął. Mimo to zatrząskuję drzwiami i biegnę podjazdem, próbując uspokoić oddech.

Przed domem słyszę, że Cameron opuszcza szybę.

– Hej – woła. – Gdybyś była zainteresowana, wiem, gdzie w ten weekend szykuje się odjazdowa impreza przy basenie.

Odwracam się i trochę cofam, żeby stanąć twarzą do niego.

– Pomyślę o tym – odpowiadam.

– Dobrej nocy, Sutton.

– Wzajemnie.

Po wejściu do domu opieram się o drzwi i zamykam oczy. Owszem, Cameron uznał mnie za interesującą, ale nie zna ani mnie, ani mojego życia. Nie widział świrującego Evana, nie słyszał wrzasku mojego ojca. I nie pozwolę, żeby do tego doszło. Nie dopuszczę do tego, żeby poznał tę część mojego życia. Przyciskając rękę do piersi, wspominam tę chwilę, kiedy mnie dotknął. I żałuję, że nie mogłam zostać w jego samochodzie choć odrobinę dłużej.

– Gdzie się podziewałaś? – Głos mojego taty zaskakuje mnie. Ojciec siedzi w dużym pokoju. Zastłony są zaciągnięte, a poblask z telewizora obrysowuje jego sylwetkę. Wiem, że Evana nie ma w domu, bo przybiegłby do mnie, gdy tylko otworzyłam drzwi.

– Tu i tam – odpowiadam i szybko się prostuję, gotowa go ignorować.

– Savannah – mówi i tym razem w jego głosie słychać wahanie, jakby chciał ze mną porozmawiać. Momentalnie wzbiera we mnie lęk.

– Co? – pytam, zatrzymując się w drzwiach pokoju. – To nie twoja sprawa, gdzie byłam.

– Jestem twoim ojcem.

– Tak, i co z tego?

Obraz na ekranie telewizora migocze, oblewając tatę sinym światłem. Ojciec nie wygląda dobrze. Odczuwam nawet cień współczucia, zaraz jednak przypominam sobie, jak beznadziejnym jest człowiekiem.

– Rozmawiałem dzisiaj z prawniczką – mówi cicho. Serce mi staje i przytrzymuję się ściany, pod którą stoję. – Kathy opłaciła adwokata rodzinnego. Mają mocne podstawy do odebrania mi opieki.

To dla mnie szok, że moja ciotka posunęła się aż do tego.

– Ale powiedziałaś im, że się nie zgadzasz, prawda? – upewniam się.

– Powiedziałem im, że muszę to przemyśleć.

– O czym tu myśleć? – Wchodzę do pokoju i staję przed nim. – Po prostu nie oddaje się swoich dzieci.

– Wiesz, że to nie jest takie proste.

– A może jest – mówię. Mierzę go wzrokiem, marząc, żebym to ja miała prawnika i żebym to ja walczyła o przyznanie mi Evana. To ja kocham go najbardziej. Zrobiłabym dla niego wszystko. Nasz ojciec nie może tego o sobie powiedzieć.

– Tato, powiedz im nie. – Odwracam się do niego plecami i ruszam do swojego pokoju. – Albo będziesz walczył o swojego syna, albo, przysięgam na Boga – zatrzymuję się w drzwiach – nigdy ci nie wybaczę.

Po tych słowach wchodzę do swojego pokoju. Dusi mnie strach. Prawniczka.

Tym razem Kathy przegięła. Byłam głupia, że pozwoliłam jej na dodatkowy dzień z Evanem. Teraz mam za swoje.

Staję tuż za drzwiami, rozglądam się po pokoju. Myślę wracam do Camerona – do tego, jak naturalnie się z nim dziś czułam, chociaż było totalnie dziwnie. Nabieram nawet ochoty na wybranie się na tę jego durną imprezę w weekend. Nigdy jeszcze nie kąpałam się w basenie wewnątrz budynku.

Desperacko pragnąc zająć czymś myśli, dopadam do swojej szafy i szukam kostiumu kąpielowego. Kiedy go znajduję, podnoszę do góry, próbując stwierdzić, czy jeszcze będzie pasował. Ale gdy przyglądam się wyblakłej czerwieni materiału, marzenia dopada skrzecząca rzeczywistość. Ciskam kostium na szafę i obracam się, ogarniając wzrokiem mój pokój ze starymi meblami i spraną pościelą. Siadam na łóżku i patrzę na swoje niedopasowane skarpety, bojąc się nawet sobie wyobrazić, że wszystko może jeszcze przyjąć lepszy obrót.

* * *

Evan jest w dobrym nastroju, kiedy Kathy go przywozi. Czekam na niego na ganku i serdecznie ściskam, gdy tylko go widzę. Mój braciszek opowiada, że nie ma żadnych ubytków, co uznaję za swoją wyłącznie zasługę. To ja co wieczór pilnuję, żeby umył zęby.

Kathy wysiada ze swojego minivana, a we mnie na jej widok wzbiera złość. Zmuszam się do uśmiechu i spoglądam na Evana. Podnosi do góry plastikowy woreczek z nową szczoteczką do zębów i tubką pasty.

– Powinieneś pójść pokazać tacie, co dostałeś od dentysty – mówię.
– Z chęcią posłucha, jak wspaniale ci poszło. Za chwilę do ciebie przyjdę.

Evan kiwa głową i wbiega do domu, podniecony, że przyniósł do domu prezenty z gabinetu stomatologicznego. Jego radość prawie mnie roztkliwia, ale gdy widzę Kathy wspinającą się po stopniach ganku, lodowacieję.

– Adwokatka? – warczę. – Kathy, wynajęłaś pierdoloną adwokatkę?

Wydyma wargi, zniesmaczona moim językiem. Lepiej ode mnie panuje nad temperamentem.

– To adwokatka Evana – wyjaśnia. – Chcę dla niego jak najlepiej.

Krzywię się.

– Taa, jasne. Akurat. A skoro tak się składa, że to ty jej płacisz, chyba już wie, co jest dla niego najlepsze. To wredne – mówię, robiąc krok w jej stronę. Oczekuję, że się cofnie, ona jednak tego nie robi. Nie ucieka wzrokiem.

– Chcę tylko, żeby miał dobry dom – mówi.

– Ma mnie. Ja jestem jego domem.

Mruga, jakby poruszona moim stwierdzeniem. Może nawet zawstydzona. Ale ja nie dam jej się zwieść, nie oddam opieki nad moim bratem. Wynajęła adwokatkę, wiedząc, że mnie na to samo nie stać... Już jej nie ufam. Chce iść do

sądu, suka. I tak nie dostanie Evana.

– Już go nie będziesz widywać – oświadczam, krzyżując ręce na piersi.

Oczy Kathy pałają złością. Zaraz się jednak hamuje.

– W myśl prawa – oznajmia – nie możesz mi tego zabronić, Savannah.

Czeka, aż te słowa we mnie zapadną, rujnując moje argumenty.

– Tak więc – dodaje, wyraźnie pewna siebie – będę tu w czwartek. Życz Evanowi ode mnie dobrej nocy.

Wie, że ma rację, moja opinia nie obroniłaby się w sądzie. Musiałby mnie wesprzeć ojciec, a do niego właściwie już nic nie dociera.

Gdy wchodzę do środka, zastaję Evana i tatę w dużym pokoju. Evan nawija o dentyście, o tym, że było strasznie, ale że doktor powiedział mu, że on ma wesołe oczy.

Tata nawet się śmieje, co mnie porusza, tak jakbym już uwierzyła, że zawsze będzie okropny. Choć w pewnym sensie jest trudniej, kiedy taki nie jest.

Oparta o framugę czekam, aż skończą rozmawiać. Nie widziałam Evana od czterech dni i nie mogę się doczekać, kiedy znów będzie ze mną, ale daję im tę chwilę.

Kiedy mój braciszek kończy opowieść, przywołuję go do siebie gestem i tulę. Nasz tata wychodzi na podjazd popracować przy furgonetce.

– Nieznośny był ten weekend bez ciebie – mówię Evanowi, biorąc go w ramiona. – Wiesz, jaki nudny i niemądry bywa tata. – Evan śmieje się swoim zaraźliwym śmiechem, który rozświetli każdy pokój. – Wesoło było u cioci Kathy? – pytam, siadając z nim na kanapie. Ciekawa jestem, czy rozmawiał z prawniczką, czy ciotka już go w to wciągnęła. Mój brat jednak o niczym takim nie wspomina, a wiem, że nie potrafi kłamać.

– Murdock polizał mnie po twarzy – mówi Evan, robiąc wielkie oczy, i jest już gotów opowiedzieć mi wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Murdock, pies ciotki, to wielka biała bestia. Uwielbiałam się z nim bawić. Teraz czuję zazdrość, bo choć chcę, żeby Evan dobrze się bawił – chcę tego najbardziej w świecie – pragnę też, żeby przeżywał to ze mną. Żałuję, że na takie proste chwile muszę pracować tak ciężko.

– To dobry psiak – Evan brzmi zupełnie jak nasz wuj Donavon. – Ale nie może jeść brokułów. – Wyobrażam sobie, jak braciszek, kiedy tylko może, podkarmia go swoimi warzywami.

Siedzę na kanapie i słucham, jak Evan opowiada mi resztę swoich weekendowych przygód, obejmującą też wyprawę do galerii handlowej po nowe buty i do kina. Nigdy nie słyszałam o bajce, którą obejrzał, zresztą jeśli o to chodzi, to nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam w kinie; prawdopodobnie z Patrickiem.

Kiedy braciszek kończy opowieść, proszę go, żeby zabrał się do odrabiania

lekcji. Zadania domowe ma tak dopasowane, żeby rozwiązywał je sam, jednak nigdy mu się to nie udaje. Pomagam mu przy lekcjach, a gdy przychodzi pora spania i Evan tuli się do mnie na dobranoc, rozczesuję jego przydługie włosy i czytam mu bajkę – kolejny raz tę samą. Słucha, cichy i słodki. Gdy już prawie odpływa, odnoszę go do jego pokoju, a on szepcze, że mnie kocha. I ja mówię mu, że go kocham.

ROZDZIAŁ 10

Nie wierzę, że byłaś w domu Camerona Ramseya – mówi Retha, oglądając się na mnie z przedniego siedzenia. Słońce świeci jasno tego ranka i to prawie podnosi mnie na duchu. – Ale jeszcze większą zbrodnią – dodaje – jest to, że nie poleciałaś na jego seksowne ciało.

– Ty naprawdę myślisz to, co mówisz? – pytam, uśmiechając się słodko.

– Absolutnie tak. Savvy, to przystojniaczek.

– Hej – odzywa się Travis, odrywając oczy od drogi, żeby na nią spojrzeć.

– Ups... Sorki, kochanie. – Retha nachyla się do niego i robi dzióbek. – Chodziło o to, że to przystojniaczek według standardów Savvy.

– Faktycznie – mówi Travis. Każde z nas wie, że Cameron to przystojniak bez względu na standardy. Ale kiedy Travis się do mnie szczerzy, zauważam ciemne kręgi pod jego oczami i bladą cerę. Miałam nadzieję, że jednodniowy wyjazd pomoże mu choć odrobinę się ogarnąć, ale wprost przeciwnie, wygląda jeszcze gorzej.

– A tak w ogóle, hmm... – zagajam. – Jak było wczoraj?

Retha patrzy na Travisa, a potem odwraca się do okna. Czuję, jak atmosfera w samochodzie gęstnieje.

– Kiepsko – mówi cicho.

Nie jestem pewna, czy chodzi jej o rozprawę, czy o to, że Travis dał sobie w żyłę. Możliwe, że o jedno i drugie. Z Rethą mówimy sobie prawie wszystko, ale jeśli chodzi o uzależnienie Travisa... nie potrafimy rozmawiać o tym wprost. Mimo to wkurza mnie, że nie wiem, co się dzieje.

– Znowu bierzesz? – pytam Travisa, patrząc mu w oczy w lusterku. Czuję, że Retha odwraca się do mnie, zapewne zaskoczona, że wyszłam z tym pytaniem.

Travis przełyka ślinę i kręci głową.

– Nie zaczynaj sesji anonimowych ćpunów, Savannah – mówi. – Po prostu mam kurewskiego doła. Mój ojciec wraca do domu w tym tygodniu. – Milknie i wbija wzrok w przednią szybę. – Czyż nasze sądownictwo nie jest wspaniałe?

– Travis, ja...

– Jestem czysty – przerywa. – Przyrzekam.

Zerka na mnie i uśmiecha się, a mnie palą policzki. Poprzednim razem też przyrzekał. Tymi samymi słowami. Po plecach chodzą mi ciarki, gdy Travis skupia się na drodze. Przyglądam się jego rękom, ale są osłonięte długimi rękawami. Dławię w sobie strach i czekam, aż serce się uspokoi. Aż dotrze do mnie, że zaprzeczył.

Kiedy podjeżdżamy pod szkołę, wszyscy troje znów żartujemy, choć trochę na siłę. Retha snuje plany, jak zeswatać mnie z Cameronem. Odkąd wie, czemu

trafił do Brooksa, choć bez bardziej osobistych szczegółów, lubi go jeszcze bardziej. Stał się jednym z nas.

Kiedy wchodzimy do klasy, moja przyjaciółka ledwo sobie radzi z ukryciem podniecenia.

– I wiesz co, wybiorę się z tobą na tę imprezę – oznajmia, potrząsając głową tak, jakbym miała się z nią o to pokłócić. Ale ja się cieszę, że będzie tam ze mną. To znaczy... jeśli w ogóle się tam wybiorę.

Travis niewiele mówi i idzie prosto do swojego stolika. Odprowadzam go wzrokiem, a potem zauważam, że nie ma Camerona. Zastanawiam się, gdzie może być.

– Mam odpowiednie bikini – kontynuuje Retha. – Te wymuskane chłopaczki nie będą wiedzieć, co ze sobą zrobić.

Uśmiecham się.

– Chyba jednak obie wiemy, co takiego ze sobą robią. – Parskamy śmiechem. – Poza tym jeszcze nie wiem, czy powinnam pójść – dodaję. – Nie pasuję tam.

– Bzdury – odpowiada Retha. – Idziesz na tę imprezę. Zaslugujesz na to, by być szczęśliwa, Savvy. Nie próbuj tego schrzanić.

– Po prostu chcesz się pokazać w swoim kostiumie.

– Jasne, że chcę. Więc mi tego nie zepsuj. – Wiem jednak, że żartuje. Chce dla mnie tego, co najlepsze. A jeśli sama też się pobawi, jeszcze lepiej.

Wszyscy jesteśmy deczko zaskoczeni, kiedy do klasy wchodzi pan Jimenez ze skórzaną torbą i kładzie ją na biurku. Trochę liczyliśmy na to, że będzie zastępstwo, a może nawet znowu skrócą nam lekcje.

– Siemka, panie Jimenez – woła Gris. – Jak poszło na ławie przysięgłych? Załapał się pan na tę fuchę?

– Niestety nie – odpowiada nauczyciel, zdejmując okulary, żeby je przetrzeć.

Wydajemy z siebie jęk rozczarowania. Zasiadanie w ławie przysięgłych to prawie powód do sławy. Przynajmniej w tej okolicy.

– Dlaczego nie, chłopie? – dopytuje Gris. – Idealnie się pan nadaje. Przecież, kurde, pracuje pan tutaj.

Pan Jimenez wkłada okulary z poważną miną.

– Właśnie w tym problem – mówi. – Znałem oskarżonego.

Wszyscy milkniemy, a ja w duchu robię przegląd ludzi, którzy odeszli z naszej klasy od początku roku. Ich twarze się zamazują i następuje zderzenie z rzeczywistością. Nieważne, o kogo chodzi, bo to mógł być każdy z nas.

Retha idzie na swoje miejsce, chwilę później w drzwiach pojawia się Cameron, a mnie serce podskakuje. Mamrocze do mnie coś na powitanie, tak po prostu, jakbyśmy zeszłego wieczoru nie jedli kolacji z jego rodzicami. Nie jestem pewna, czego się po nim spodziewać.

Pan Jimenez patrzy na Camerona, a potem na resztę klasy. Klaszcze w dłonie.

– Ale jest i dobra nowina – ogłasza nasz nauczyciel. – Pora na wycieczkę.

Niektórzy wiwatują, ale pan Jimenez szybko tłamsi nasze nadzieje.

– Nie ekscytujcie się za bardzo – mówi. – Wybieramy się tylko do pracowni komputerowej.

Jęczę. Pracownia komputerowa jest do dupy. Połączenie z internetem mamy przez szkolny serwer, który blokuje wszystkie najlepsze strony. Korzystamy z niego wyłącznie wtedy, gdy czeka nas poważniejsze zadanie lub przygotowanie do straszliwego egzaminu.

Zostajemy podzieleni na dwie grupy i oczywiście trafiam do tej co Gris, a nie Retha, Travis czy Cameron. Dzień się dłuży i zaczynam klikać w przypadkowe okienka, byle szybciej mieć test z głowy. Przyłożę się dopiero do prawdziwego testu końcowego.

Pod koniec dnia wszyscy jesteśmy zmęczeni, a kiedy wracam do klasy, Camerona już nie ma. Jestem trochę zawiedziona. A jeśli rozmyślił się co do imprezy? A jeśli rozmyślił się też co do mnie?

Retha i Travis zaczekali na mnie i wychodzimy we trójkę. Travis mówi, że zawiezie nas na sobotnią imprezę; sam nie zabiega o zaproszenie, choć jestem pewna, że Cameron nie miałby nic przeciwko jego obecności. Taki właśnie jest Travis – nie ciągnie go do ludzi. Zastanawiam się, na ile mu się to jeszcze pogłębi, gdy jego ojciec wróci do domu.

– Później podrzucę ci zapasy – mówi do mnie Retha, gdy wysiadam z samochodu.

– W porządku. Dziękuję. – Odjeżdżają, a ja zatrzymuję się przy krawężniku, by zaczekać na autobus Evana.

* * *

Evan nie ma nic zadane, pozwalam mu więc rysować, a sama idę do kuchni robić kolację. Jeśli chodzi o jedzenie dla mojego brata, nie udało mi się kupić tyle, na ile liczyłam. Retha podrzuci mi torbę zapasów zdobytych dla mnie przez jej mamę. Pełną płatków i konserw. Na razie otwieram puszkę rosółu z makaronem – z dodatkowym makaronem – i podgrzewam go w rondelku.

Z szafki wydaję ulubioną miseczkę Evana, tę niebieską, i drugą, obłupaną, dla siebie i napełniam je. Biorę obie, a potem zanoszę do dużego pokoju. Stawiam je na niskim stoliku i zbieram kredki Evana, żeby włożyć je do pudełka. Brat marszczy nos i krzyżuje ręce na piersi. Kiedy to robi, wygląda zupełnie jak ja.

Martwi się czymś, ale nie chcę się nad nim rozczulać i pogarszać sprawy. Ignoruję początki napadu złości i siadam na podłodze, przed kanapą. Zupa jest jeszcze gorąca, mówię więc Evanowi, żeby uważał. Sama też przed każdym łykiem

dmucham na łyżkę.

– Nie chcę tego jeść – płacze Evan. – Chcę parówki z serem.

– Nie starczyło mi na parówki – mówię. – Tylko to teraz mamy.

– Savannah – Evan podnosi głos. – Chcę parówki z serem.

– Przestań. – Podsuwam mu jego miseczkę. – Powiedziałam ci, że nie ma cholernych parówek. Co mam zrobić?

– Parówki z serem! – krzyczy Evan, kopiąc nowymi butami w stolik.

– Uspokój się! – wrzeszczę, odwracając się do niego. Kładę mu rękę na kolanie, ale on znów wierzga i przewraca swoją miseczkę z zupą. Gorący płyn spływa mi na dżinsy. Zrywam się na równe nogi.

– Cholera jasna! – krzyczę i strzepuję makaron ze spodni. Mój brat zaczyna się rzucać na kanapie, wyciągam więc ręce, by chwycić go za ramiona. – Evan, dość tego.

Wyrywa mi się, a jego ręka zakreśla łuk i wali mnie w usta, rozkwaszając wargę o zęby.

– Kurwa – mówię do siebie. Dotykam wargi, a kiedy odsuwam palce, widzę, że krwawię. Momentalnie odzywają się wyczerpanie, dawne siniaki i poczucie osamotnienia. Łzy zamazują mi wzrok i tylko stoję, a Evan zsuwa się z kanapy na podłogę, zapłakany i nieszczęśliwy. Woła naszą mamę.

Cofam się z twarzą zalaną łzami. Mój braciszek będzie dziś prawdopodobnie płakał, dopóki nie zaśnie. Ja pewnie też.

Ocieram policzki i idę do kuchni, żeby przyłożyć do warg kostkę lodu. Gdy stoję przy lodówce i dotykam zimną bryłką ust, krzywię się.

Ktoś puka do drzwi wejściowych. Szybko przebiegam przez korytarz, żeby otworzyć, mijając przy tym Evana, wciąż płaczącego na podłodze. Z ulgą odkrywam, że na ganku czeka Retha z brunatną torbą z zakupami. Za nią stoi Travis.

– Jezu – mówi moja przyjaciółka, widząc mnie z lodem przy wardze. – Wszystko w porządku?

– Tak – mówię i przytrzymuję drzwi, żeby weszli. Retha zatrzymuje się przede mną, ogarniając w mgnieniu oka sytuację.

– Ten dupek, twój ojciec, jest w domu? – pyta.

– Nie.

– I dobrze. – Retha wchodzi do środka i stawia zakupy na stole w kuchni. – Przyniosłam też parówki. – Idzie prosto do kanapy i siada koło leżącego na dywanie Evana. Travis zajmuje krzesło naprzeciwko niej, jednym butem opierając się o skraj stolika, z dala od rozlanej zupy.

Retha zaciska zęby; wiem, że nie znosi oglądać Evana w takim stanie, ale mogłaby to staranniej ukrywać. Lepiej jej wychodzi odgrywanie groźnej.

– Co tu się dzieje, Evan? – pyta go. – Znowu uderzyłeś siostrę?

Braciszek pociąga nosem i podnosi oczy na Rethę. Ona przekrzywia głowę, dając do zrozumienia, że z nią nie ma żartów.

– Tak – mówi cicho mój brat. Słysząc, że mu przykro, odkładam więc lód, żeby nie podsycać poczucia winy.

– Dlaczego? – pyta go Retha.

– Chciałem parówki – odpowiada Evan. Znowu zbiera mu się na płacz.

– Nie – ostrzega Retha, unosząc w górę palec. – Żadnego płakania. Musisz przeprosić Savannah. Natychmiast.

Evan nie jest w stanie powstrzymać płaczu, ale spogląda na mnie.

– Przepraszam, Savvy – mówi cienkim głosikiem.

– Już w porządku, młody. – Te przeprosiny łamią mi serce. – Ale więcej tak nie rób.

Kiwa głową, a Retha wyciąga do niego rękę.

– Chodź tutaj – mówi. Evan momentalnie gramoli się na kanapę i tuli do Rethy. Dziewczyna całuje go w czubek głowy.

– Hej, Evan – odzywa się Travis, pochylając się do niego. – Coś ci przyniosłem.

Braciszek wyciera nos rękawem.

– Co? – pyta.

Travis wyciąga z kieszeni kurtki małą paczkę babeczek Hostess, a mój brat dosłownie wyrywa się z ramion Rethy. Jest na tyle szybka, że powstrzymuje go, łapiąc za koszulę.

– Nie tak prędko – mówi. – Najpierw musisz posprzątać bałagan, którego narobiłeś.

Evan już wysuwa dolną wargę i obawiam się kolejnego napadu złości, jednak Rethy słucha się bardziej niż mnie. Klęka na dywanie, a ja pomagam mu pozbierać makaron do przewróconej miseczki, podczas gdy Travis przynosi z kuchni ścierkę, żeby wytrzeć rosół.

Kiedy mamy już posprzątane, Evan czeka cierpliwie na kanapie, machając nogami, bo nie sięgają podłogi. Retha przygląda mu się, udając, że się zastanawia, czy zasłużył na babeczki. Potem prosi o nie Trávisa.

– Dostaniesz jedną – mówi Evanowi.

– Właśnie tak – dodaję. – Drugą odłożymy na jutro, okej?

– Okej – odpowiada natychmiast mój brat, zbyt zaaferowany, by już teraz rozważać konsekwencje czekania.

Retha wręcza mu babeczkę, a potem ona, ja i Travis ruszamy do kuchni rozpakować zakupy. Wstawiam wodę i wyjmuję parówki oraz makaron z serem, żeby zrobić kolację.

– Rozpuszczasz go – mówi Retha, siedząc przy stole na krześle taty. Travis wstawia do szafki pudełko płatków.

– Nie wydaje mi się – odpowiadam. Oblizując dolną wargę, czuję smak krwi. Travis podchodzi do kuchenki i pyta, czy może spojrzeć. Przygląda się mojej wardze, a potem orzeka, że obejdzie się bez szwów. Żartujemy, że od szwów jest rzeczywiście ekspertem, bo zakładano mu je tyle razy, że już nie sposób zliczyć.

Chyba jednak wyglądam żałośnie, bo Travis bierze mnie w ramiona i przytula. Jego kurtka pachnie skórą, dymem i smarem. To jego osobiste perfumy. Prostuję się i dziękuję mu. W takich chwilach nie można się za bardzo poddawać emocjom. Potem trudno się człowiekowi z nich wygrzebać.

Przyjaciele czekają, aż zrobię kolację, a ja dzielę się z nimi swoją porcją. Wszyscy siedzimy przy stole jak jedna rodzina – dysfunkcyjna, ale jednak rodzina. Evan, patrząc na nas, uśmiecha się.

A ja myślę sobie, że może wszystko się ułoży. Kiedy jest tyle miłości, wszystko musi się jakoś ułożyć.

ROZDZIAŁ 11

Tydzień mija szybko. Cameron od czasu do czasu żartuje ze mną w klasie, informując na bieżąco o przygotowaniach do imprezy basenowej. W czwartek pozwałam Kathy wziąć Evana, nie zamieniając z nią przy tym nawet słowa.

To także dzień, kiedy do domu wraca tata Trávisa. O tym jednak nikt z nas nie ma ochoty rozmawiać. Ale nie oznacza to, że się nie martwię. Gdzieś w sobie noszę nadzieję, że to ostatni raz, kiedy ojciec Trávisa wychodzi – że przy następnej okazji zatrzymają go w więzieniu. Na razie wygląda na to, że prawo ingeruje w nasze życie tylko po to, żeby je niszczyć.

Do soboty zadrapania z kukurydzianego pola zdążyły się zagoić i przybył mi tylko jeden nowy siniak, który będzie się świetnie komponował z moim kostiumem kąpielowym.

Wczesnym rankiem dzwoni telefon, rzucam się więc, żeby odebrać. Boję się, że to Kathy i że coś się stało Evanowi. Podnoszę słuchawkę, drugą ręką rozczesując splecione włosy.

– Słucham? – odzywam się chrapliwie, jeszcze zaspana.

– Savvy – łka Retha. Płacze, a ja zaciskam palce na słuchawce, w serce wkrada mi się lęk.

– Coś się stało? – pytam. – Co się dzieje? – Jest niedobrze. Retha nigdy nie płacze. Jasne, że czasem zbiera jej się na płacz, ale nigdy nie szlocha. Prędzej w coś przywali ze złości.

– Chodzi o Trávisa – mówi. – Ma nawrót.

Gdy docierają do mnie jej słowa, wargi zaczynają mi drżeć. Tracę równowagę i objam się o ścianę pokoju. Wiedziałam. Wiedziałam, że Travis znów bierze, mimo to go nie powstrzymałam. Nie zmusiłam do pogadania o tym. Jestem załamana, zakrywam dłonią oczy. Kiedy zeszłego wieczoru nie wybieraliśmy się nigdzie razem, myślałam, że spędzi go z Rethą.

– Co się stało? – mamroczę.

– Po tym jak mnie odwiózł – mówi Retha – wdał się w bójkę ze swoim tatą. Drań znów prawie złamał mu rękę. Wierzyć się nie chce, że ciągle wychodzi na warunkowe.

– O kurwa – szepczę, a mój głos się łamie. – Kto mu dał towar?

– Wyszedł z domu i odszukał tych fiutów, z którymi się kiedyś kumał, tych ze State Street. Załatwili mu działkę. Siedział u nich na chacie i ładował sobie to gównu w żyły. – Retha zaczyna się sypać, ale znów bierze się w garść. – Kiedy jego brat znalazł go dziś rano na trawniku, myślał, że to trup. Te ćpuny wywaliły go tam, zamiast zawieźć do szpitala. – Przerywa, żeby wziąć oddech. – Tym razem przedawkował, Savvy. Stało mu serce.

Targa mną fizyczny ból i całe moje ciało sztywnieje, szykuje się na szloch.

– Powiedz mi, że już z nim dobrze – szepczę. – Retho, powiedz mi, proszę, że już z nim dobrze. – Tylko nie Travis. Boże, proszę, nie zabieraj nam Trávisa.

Retha pociąga nosem, jakby moje rozklejenie się pomogło jej się pozbierać.

– On żyje, Savvy. Jakiś czas jeszcze nie będziemy wiedziały, na ile to było poważne. Ale zawieźli go do szpitala i teraz stan jest już stabilny. W ramię wdało się paskudne zakażenie.

– Do którego szpitala? – Strzelam oczyma na boki, myśląc, jak mogłabym do niego dotrzeć. Namierzam kluczyki ojca wiszące koło drzwi i ruszam w tamtą stronę.

– Już tam nie leży – odpowiada Retha. – Odesłali go do ośrodka odwykowego w Cleveland. Jest na izbie chorych, pod kluczem. Zero odwiedzin.

Zaciskam w rękę kluczyki taty, czuję metal wpijający się w dłoń.

– Na jak długo? – pytam.

– Musi spędzić tam przepisowe dziewięćdziesiąt dni. A jeśli tym razem coś spierdoli, cofną mu warunkowe i pójdzie siedzieć. To jego ostatnia szansa.

Milknę na dłuższą chwilę, a jej zawziętość łagodnieje z każdym łapanym z wysiłkiem oddechem.

– Tak okropnie wyglądał w tym szpitalu – szepcze. – Zupełnie jakby to nie był on. Ja nigdy... – Znowu zanosi się płaczem. – Nie mogę żyć bez niego, Savvy.

Jej łkanie szybko ustępuje miejsca łomotowi, odgłosom uderzeń pięści. Może w ścianę. Albo w stół.

– Przestań – mówię jej, choć wiem, że nie posłucha. – Zaraz przyjadę. Możemy...

– Zbieram się, Savvy – oznajmia Retha. – Już prawie jadę.

Żołądek mi się ściska i energicznie ścieram łzy z policzków.

– Co takiego? Dokąd jedziesz?

– Do Cleveland, do mojej babci, poczekam tam na niego. Adwokat powiedział mi, że za kilka tygodni powinien móc już przyjmować gości. Muszę tam być ze względu na niego. Travis mnie potrzebuje.

Wpuszczam z ręki kluczyki ojca, a potem podchodzę do ściany i opieram się o nią, powoli osuwając się w dół, aż siadam na wytartym dywanie. Nie znajduję słów, które by cokolwiek zmieniły na lepsze. Narkotyki znowu wygrały z Travisem. Nie skończy szkoły w tym roku. Retha też nie. A kiedy Travis wróci, będziemy czekać, czy znowu nie przyćpa. Bo tylko czekanie nam pozostaje. Narkotyki niszczą nas wszystkich.

– Nie mogę z tobą jechać – mówię żałośnie. – Nie mogę zostawić Evana.

– Wiem – odpowiada. – I Travis to zrozumie. Ja mu pomogę. Postawię go na nogi i przywiozę do domu. Przrzekam.

To słowo doprowadza mnie do płaczu. Travis też przrzekał. Natychmiast

osaczają mnie strach, lęk i samotność, zakrywam twarz dłonią.

– Kiedy ruszasz? – pytam, starając się w miarę możliwości opanować głos.

– Mój wujek już po mnie jedzie – informuje.

– Co ja bez was zrobię? – pytam. Poza Evanem mam tylko Rethę i Trvisa.

Nie wyobrażam sobie, że mogłabym ich stracić.

– Dasz sobie radę – mówi Retha. – Twarda sztuka z ciebie, Savvy – śmieje się. – Przebiłaś dłoń futboliście pieprzonym ołówkiem i przywaliałaś lasce na kukurydzianym polu. Nie muszę się o ciebie bać.

Chichoczę przez łzy, wiedząc, że wcale nie jestem tak silna, jak się innym wydaje. Wiedząc, że bez Rethy i Trvisa czuję się samotna i bezbronna.

– Już za wami tęsknię – mówię.

– Daj spokój – odpowiada moja przyjaciółka, starając się, by zabrzmiało to lekko. – To tylko trzy miechy. Za trzy miechy wrócę.

Tyle że trzy miesiące to szmat czasu. I wolę nawet nie myśleć, że ich nieobecność mogłaby się przedłużyć.

– Evanowi będzie smutno – mówię, oglądając się na zamknięte drzwi do pokoju brata. Jak mu to wyjaśnię? On uwielbia Rethę.

– Przekaż mu ode mnie, że jeśli nie będzie się grzecznie zachowywał, po powrocie złoję mu dupkę.

– Retho – mówię jeszcze.

– Co takiego?

– Pospiesz się, okej?

– Tak zrobię.

– A Travisowi powiedz, że go kocham i że też ma się pospieszyć.

– Obowiązkowo.

Czekamy jeszcze chwilę, a potem Retha żegna się i rozłącza. Zostaję na podłodze, nadal roztrzęsiona.

Wiedziałałam. Nienawidzę siebie, bo wiedziałałam, że z Travisem jest coś nie tak, i temu nie zapobiegłam. Dlatego, że przyrzekał. Wszystko przez to pieprzone przyrzekanie. Za bardzo się przejmowałam jego prywatnością, zamiast domagać się szczerzej odpowiedzi. Równie dobrze mogłam sama włożyć mu tę igłę.

Znowu zacznę płakać, bo dociera do mnie prawda. Jestem. Całkiem. Sama.

Zza drzwi pokoju ojca słychać hałasy, muszę się więc pozbierać, zanim on wstanie. Ocieram oczy i powoli się podnoszę, wspierając ręką o ścianę.

Życie Trvisa to koszmar. Ma tatę, który go katuje, a jego mama nie żyje. To nie w porządku, że niektórym z nas los tak dopieprza. Nie w porządku, że kogoś tak pięknego jak Travis dręczy nałóg. Że po Recie ludzie zawsze spodziewają się najgorszego, chociaż jest najlepszą przyjaciółką, jaka mogła mi się trafić.

Przynajmniej mam Evana. Niezależnie od tego, za jak bardzo gówniane

uważam swoje życie, mam brata. Zawsze będę go miała. Jest najtrudniejszą, ale i najlepszą częścią mojej codzienności. Bo kiedy Evan jest szczęśliwy, to ja też. Gdybym tylko znalazła sposób, by na zawsze zapewnić mu szczęście. Jak jednak to zrobić w tak okropnym miejscu, jak to, w którym żyjemy?

Wlokę się do swojego pokoju i zamykam drzwi. Opieram się o nie, całkowicie podłamana, i widzę na szafie swój kostium kąpielowy.

Basenowa impreza u Camerona.

Retha tak strasznie chciała na nią iść; nawet mnie do tego przekonała. To miał być dla niej gwóźdź tygodnia, podpuszczanie napalonych bogatych koleśków, paradowanie przed nimi w bikini tak, żeby się ślinili.

Teraz jednak, przypatrując się swemu nędznemu życiu, wiem, że się łudziłam. Oto moje życie. Oto wszystko, co mam. I żaden wypad na głupią imprezę tego nie zmieni. Dławię płacz i dopadam do komody. Zmiotam z niej na podłogę wszystko – mój strój kąpielowy i ramkę, którą zrobił dla mnie Evan. A potem padam na łóżko i ryczę.

ROZDZIAŁ 12

Nie ma mnie na imprezie Camerona.

W poniedziałek w szkole czuję się nieszczęśliwa bez Rethy i Trávisa. Udało mi się w domu uzbierać tyle drobnych, żeby podjechać do szkoły autobusem, ale żeby jeździć przez resztę tygodnia, będę musiała znaleźć więcej. Siedzę w klasie, od czasu do czasu oglądając się na stolik Trávisa, i za każdym razem, kiedy widzę, że stoi pusty, serce mi się łamie. Retha po przyjeździe do Cleveland podała mi numer telefonu do babci. Żałuję, że nie możemy teraz pogadać.

Do klasy wchodzi Cameron, a ja nie jestem pewna, czego się właściwie spodziewałam. Raczej nie tego, że będzie mnie ignorował. A to właśnie robi. Włosy spadają mu na twarz, a kiedy zdejmuje kurtkę, jego czarny T-shirt w przeciwieństwie do dżinsów wydaje się ciemny i świeżo wyprasowany.

Czekam, aż Cameron usiądzie, ale on nadal się nie odzywa. Wyjmuje telefon i zaczyna esemesować, jakbym nie siedziała metr dalej wpatrzona w niego. Policzki mnie odrobinę pieką i spuszczam wzrok na stolik. Pan Jimenez się spóźnia.

Mija pięć minut. Wariuję z niepokoju. Cameron jeszcze się do mnie nie odezwał, znów się w niego wpatruję, praktycznie błagając go, żeby mnie zauważył. Nie mam nerwów na takie cyrki. W końcu się poddaję.

– Przepraszam, że nie dojechałam na twoją imprezę – mówię.

Jego kciuki zamierają nad telefonem, ale nie podnosi oczu.

– Nie było cię? – pyta. – Nie zauważyłem.

Auć.

– Fajnie było?

– Wypas.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Nie sprawia wrażenia *wściekle* wściekłego, co jest niepokojące, bo w jakimś sensie chciałam, żeby tak właśnie zareagował. Chciałam, żeby zażądał wyjaśnień. Chciałam mieć pretekst, żeby opowiedzieć mu o Recie i Trávisie – a przecież za nic nie zdradziłabym mu spraw moich przyjaciół.

Cameron powinien być na mnie zły za to, że wrobiłam go w zorganizowanie imprezy, a potem się na niej nie pokazałam. Zamiast tego wraca do esemesowania.

Pan Jimenez jest już dziesięć minut spóźniony, co nie wygląda fajnie. Wiemy, że budżet szkoły prawie uniemożliwia zastępstwa. Ale... liczymy na niego. Owszem, dajemy naszemu wychowawcy popalić, ale na tyle, że to znosi. Liczymy na to, że wróci.

Gris i Lucinda wstają, zamieniając między sobą kilka słów, a potem razem wychodzą. Najwyraźniej są parą, co ani trochę mnie nie dziwi. Choć szczerze

mówiąc, mogłaby trafić lepiej. Odwracam się do stolika Rethy, żeby jej o tym powiedzieć, a to, że nie widzę tam mojej przyjaciółki, jest jak zimny prysznic.

Brakuje mi ich – Rethy i Trávisa – tak bardzo, że ledwie mogę o nich myśleć. Chciałabym po prostu mieć ich tu przy sobie jak zwykle. Ale Travis potrzebuje pomocy i w Cleveland ją otrzyma. Tylko to się liczy. Na to warto czekać.

Ich nieobecność przepelnia mnie żarem, budzi odwagę. Ze względu na nich muszę być silna. Muszę im pokazać, że daję sobie radę. Spoglądam na Camerona.

– Z kim piszesz? – pytam go. To bezczelne pytanie i już żałuję, że je zadałam. Patrzy na mnie z ukosa, ale nie odpowiada.

Możliwe, że pisze z dziewczyną – może z którąś z jego imprezy. Założę się, że to blondynka, śliczna, radosna blondyneczka. Gryzie mnie zazdrość.

– Nie wydaje mi się, żeby dziś były lekcje – mówi Cameron. Wsuwa telefon do kieszeni džinsów. – Ja stąd spadam.

– Powodzenia – mruczę. Gdyby życie mi się całkiem nie spieszyło, może wybrałabym się na tę imprezę. I z całą pewnością żałuję, że tego nie zrobiłam. A teraz on ma już na oku kogoś innego. Nie czekał długo. Widocznie nie byłam aż tak interesująca.

Wstaje, zbierając swoje rzeczy. Czuję się odtrącona, ale w połowie drogi do drzwi Cameron zatrzymuje się i spogląda na mnie.

– Idziesz czy nie? – pyta.

Podnoszę oczy, zaskoczona.

– Co? Dokąd?

– Nie wiem. Ale na pewno będzie niesamowicie. Powyjawiamy sobie tajemnice i takie tam bzdety.

Chce, żebym z nim pojechała. Jednak mnie nie znienawidził. A ja czuję się samotna i przerażona. Potrzebuję odskoczni, żeby przetrwać czas do powrotu Rethy i Trávisa. Taką odskocznią może być Cameron.

– Okej – mówię. Chłopak czeka na mnie, a potem razem wychodzimy.

Po drodze do jego samochodu niewiele mówimy i mimo że zapytał, czy z nim idę, atmosfera jest gęsta. Dlatego, gdy tylko wsiadamy do auta, odwracam się do niego.

– To ma być zemsta? – pytam.

– Za co?

Przychodzi mi do głowy, że znów przesadzam z interpretacją. Może naprawdę nie zauważył, że nie było mnie na jego imprezie.

– Nieważne – mówię.

– Nie, serio pytam, Sutton. Za co miałbym się na tobie mścić? – naciska Cameron. – Za fakt, że moi rodzice wypożyczyli stoły i krzesła? A może za to, że moja mama pomyślała, że uwielbiasz kantońską kuchnię, i taki właśnie catering

zamówiła? – Jego mina robi się bardziej zasadnicza. – Albo może za to, że warowałem przy drzwiach, co kilka minut wyglądając, czy nie stoisz tam i się nie peniasz, zamiast wejść?

– Tak. Za to wszystko. – Chociaż czuję się okropnie, jednocześnie cieszę się, że to przeżywa. Podoba mi się to, co w tej chwili czuję. – Naprawdę czekałeś na mnie przy drzwiach? – pytam cicho.

– Nie.

– Czekałeś, prawda? – pytam.

– Przez jakąś sekundę. – Cameron macha ręką, jakbym robiła z igły widły. – A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie. Nie zamierzam się na tobie mścić. Ja tylko... Moglibyśmy gdzieś razem posiedzieć.

– Tak naprawdę nie lubię kantońskiej kuchni – mówię. – Może więc dobrze, że nie rozczarowałam twojej mamy.

Wybucham śmiechem.

– Może.

Jego za to rozczarowałam. Ta myśl mnie otrzeźwia i spuszcza głowę.

Czuję, że Cameron mnie obserwuje.

– Czemu nie przyszedł na imprezę? – pyta. W jego głosie wyczuwam wahanie, jakby bał się mojej odpowiedzi.

– To... – Mam już powiedzieć mu, że to nie jego sprawa, ale zamiast tego w oczach mam łzy, a serce mnie kłuje. Bo nie mam komu się zwierzyć. Nikogo innego by to nie obeszło.

– Savannah? – mówi Cameron i delikatnie dotyka mojego ramienia.

Zaciskam powieki, starając się wziąć w garść.

– Travis przedawkował. Wysłali go na odwyk. Retha jest tam z nim. – Opowiadam to jak najprościej, starając się odrzeć wszystko z emocji, ale kiedy znów patrzę na Camerona, po policzku spływa mi łza. Szybko ją ścieram. – O mało nie umarł – dodaję.

– Cholera – mówi Cameron. – Tak mi przykro.

Dziękuję mu kiwnięciem głowy. Jestem wdzięczna, że w jego współczuciu nie czuję politowania.

– Zabrać cię gdzieś? – pyta. Chce mi pomóc, wiem o tym. Ale wiem też, że nie jest w stanie rozwiązać moich problemów.

– Może pojedziemy do mnie? – proponuje. – Tam będziemy mogli porozmawiać.

– Nie powinnam – odpowiadam.

– To może chcesz zaprosić mnie do siebie?

– Zdecydowanie nie. – Robię wielkie oczy.

– Hmm... No to wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na McDonalda. Jesteś głodna?

– Właściwie to nie.

Cameron bierze głęboki oddech.

– Strasznie to utrudniasz.

– O jakie *to* ci chodzi? – Spoglądam na niego. – Bo może tego nie widzisz, ale z mojego życia zrobił się syf. – Kłopot w tym, że on mi się podoba, ale wiem, że nie mogę mu tego powiedzieć. Wiem, że jeśli nawet ja też wpadłam mu w oko, nie będziemy mogli być razem. Jak miałabym sobie pozwolić na chłopaka, kiedy muszę się opiekować Evanem? Priorytetem jest mój brat. Nie jakiś tam chłopak. Nawet Cameron.

– Owszem, zauważyłem. – Podnosi ręce w górę. – Ale i tak chcę być twoim przyjacielem. Czemu tak mi to utrudniasz?

– Ty chcesz być moim przyjacielem? – Chciałam, żeby zabrzmiało to wrednie, ale się nie udało. Zbyt wiele było w tym nadziei.

– Kimś w tym rodzaju. Jeśli przestaniesz być taka niemiała.

Przyglądam mu się przez chwilę i pomimo oporów, wybucham śmiechem.

– To będzie trudne – ostrzegam.

– Wierzę w ciebie – mówi. – No to jak sądzisz? Przyda ci się nowy przyjaciel?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– No, może trochę – przyznaję.

Uśmiecha się do siebie, a potem kieruje wzrok na przednią szybę.

– To w takim razie do mnie?

– Pewnie. – No, i proszę. Nagle dorobiłam się przyjaciela, i to z czystym kontem. To mi się podoba. Podoba mi się ta sytuacja. On też mi się podoba.

* * *

– Przed trzecią muszę być w domu – mówię, gdy wchodzimy do jego domu. Zsuwam buty, dumna, że tym razem mam skarpetki do pary.

– Dlaczego przed trzecią? – pyta Cameron.

– Bo wtedy przyjeżdża autobus mojego brata. Nie mogę się spóźnić. – Rozglądam się po domu, spodziewając się, że zobaczę pozostałości po imprezie.

– Mogę go poznać? – dopytuje Cameron.

– Kogo? – Gwałtownie odwracam się do niego. – Mojego brata? – Evan to nie jakiś miły zwierzaczek, którego wyprowadzam, żeby można się było z nim pobawić.

Cameron wygląda na zbitego z tropu.

– Tak... Nie kumam. Chciałbym go poznać. To coś złego?

– Nie poznasz – mamroczę, odwracając wzrok. Nie trzeba było tu przychodzić, nie trzeba było opowiadać mu o Travisie, bo teraz sobie wyobraża, że

możemy się dzielić takimi sprawami. A nie możemy. Wystarczy wspomnieć, co Patrick powiedział o moim bracie. Nie dopuszczę, żeby to samo zdarzyło się z Cameronem.

– Hej – mówi chłopak, dotykając mojego ramienia. Podskakuję, a on szybko cofa się o krok i przeprasza.

Nie za dobrze nam idzie. Na pewno jestem trudna, ale nie bardzo wiem, jak mam taka nie być. Obserwuję go, ale nie palę się do wyjaśnień. Nie chcę go rozczarować. I nie chcę, żeby on mnie rozczarował.

– Śniadanie? – pyta, jakby starał się zmienić temat.

– Nie, dzięki.

– Ale będą płatki Lucky Charms. – Nadal jest jakiś nieswój, jakby moja odmowa przedstawienia mu brata zdołowała go. – Kto nie lubi charmsów?

– Ja nie lubię – informuję. – Ale ty sobie nie żałuj.

– A co z tobą? Po prostu posiedzisz ze mną?

– Tak. – Przewracam oczami. – Niczego nie pragnę bardziej niż po prostu siedzieć i patrzeć.

– Łał, Savannah – mówi, wpychając dłonie w tylne kieszenie dżinsów. – Trochę to perwersyjne.

– Rany boskie. Weź się zamknij.

– Na coś jeszcze chciałabyś popatrzeć?

– Lepiej spadaj. – Śmieję się, skępowana, ale i zachwycona jego poczuciem humoru. Nie dopuszcza, żebym traktowała siebie zbyt poważnie.

– No to pozwól, że zaproszę cię na przedstawienie – mówi Cameron, gestem wskazując kuchnię. Walę go w ramię i idę za nim.

* * *

Kończy się na tym, że oboje wcinamy charmsy, bo Cameron miał rację, kto odpuściłby sobie te płatki? Siedzimy po przeciwnych stronach stołu, nie rozmawiając. Cameron zjada dwie michy, a kiedy kończy, odsuwa od siebie naczynie i rozpiera się na krześle, wpatrując się we mnie.

– O co chodzi? – pytam.

– Chcesz porozmawiać ze mną o Recie i Travisie?

Kręcę głową.

– Nie mogę – odpowiadam i momentalnie milknę. Temat jest zbyt świeży. Za bardzo boli. Na razie oszczędzę sobie tego bólu. Inaczej zaraz bym się rozsypała.

– Okej – godzi się Cameron. – A co powiesz o swoich rodzicach? Jacy oni są?

– Jezu, zadajesz mnóstwo pytań.

– To dlatego, że nie dzielisz się chętnie informacjami – wyjaśnia.

– Może powinieneś wysnuć z tego jakieś wnioski.

Uśmiecha się, omiatając wzrokiem moją twarz.

– To jacy są twoi rodzice? – pyta znowu.

Z jakiejś nieznaney przyczyny zastanawiam się, czy mu o nich nie opowiedzieć. Jednak nie.

– Są niesamowici.

– To super. Twoja mama jest ładna?

– A co to, kurwa, za pytanie?

Podnosi ręce na znak przeprosin.

– Po prostu jestem ciekaw.

– Stale jesteś ciekaw. – Wstaję, bo nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Mojej matki nie widziałam od dawna. Nie mam pojęcia, czy nadal jest ładna.

Cameron zabiera obie miski i niesie je do zlewu. Odwraca się, opiera o blat.

– Co chciałabyś teraz robić? – pyta. Nie ma w tym nic z flirtu. To pytanie bez podtekstów, a mnie marzy się trochę świntuszenia. Przynajmniej nie udawalibyśmy, że nie ma między nami żadnej chemii.

– Da się tu robić coś fajnego? – pytam.

– Na dole mam stół bilardowy.

Rozdziawiam usta.

– Masz stół bilardowy?

– No.

– Bogaty z ciebie skurczybyk.

– Czy to oznacza, że masz ochotę zagrać? – pyta.

– Zagram.

Chyba go to ucieszyło.

– No to chodźmy.

Podchodzi do znajdujących się w kącie kuchni schodów i kieruje się do piwnicy. Rozglądam się wokół, zaskoczona, że czuję się tutaj tak swobodnie. Może dlatego, że mamy tu co robić, ale wiem, że przede wszystkim ze względu na niego. To dzięki niemu tak się czuję.

Przeczesałam palcami włosy, przyglądając je i udając, że tutaj pasuję. Schodzę po schodach i widzę, że Cameron stoi już przy stole, układając bile. Spogląda na mnie.

– Twój brat ma rude włosy? – pyta.

– Nie.

Moją uwagę przykuwa piwnica – nisko zawieszona lampa, dająca bursztynowe światło, staroświecki klimat. Jest tu bar, drewniane boazerie i jebity stół bilardowy.

– Chcesz rozbić? – pyta, podając mi kij.

Potrząsam głową przecząco. Cameron nachyla się nad krawędzią stołu,

celując w białą bilę. Przesuwa kij między kostkami palców. Wygląda skandalicznie seksownie, gdy się koncentruje. Kiedy rozbija trójkąt, słyhać głośny stuk, który wyrywa mnie z zapażenia.

– Dla ciebie połówki – mówi, obchodząc stół w poszukiwaniu najlepszego kąta dla następnego uderzenia.

– Aha.

Przymierza się.

– Pewnie ty powinnaś grać pierwsza – mówi.

– A to dlaczego?

Wykonuje uderzenie.

– Ponieważ ja jestem w tym diabelnie dobry.

– Skąd wiesz, że ja nie?

Zerka na mnie.

– A jesteś? – pyta, jakby w to nie wierzył.

– Możliwe. – Absolutnie nie jestem.

Cameron celowo psuje następny strzał.

– No to zobaczmy – mówi. – Twoja kolej, Sutton.

Przechodzi na moją stronę stołu, zatrzymując się trochę za blisko. Podaje mi swój kij bilardowy. Włosy opadają mu na oczy i chciałabym je odgarnąć. Miałabym też ochotę się z nim całować. Zamiast tego biorę od niego kij.

– Dzięki – szepczę, wycofując się i okrążając stół.

– Jeśli chcesz, mogę nauczyć cię uderzać – proponuje Cameron, odprowadzając mnie wzrokiem.

– Nie, już załapałam. – Nawet nie mam pojęcia, jak się w to gra. Staram się jednak naśladować sposób, w jaki chłopak trzymał kij między kostkami palców. Ten jednak nieustannie się ześlizguje i przy pierwszej próbie nie trafiam w bilę. Twarz pali mnie ze wstydu.

Cameron śmieje się.

– Wiesz co – mówi. – Pozwól, że pokażę ci jedną rzecz. – Wyciąga rękę, a ja podaję mu kij. Pokazuje mi, jak go trzymać. – A teraz ty spróbuj.

Szczerze mówiąc, nie przyjrzałam się. Próbuję, ale nie do końca mi wychodzi. Cameron zbliża się i staje za mną. Kładzie dłoń na mojej, ustawiając kij między palcami. Opiera podbródek na moim ramieniu i pomaga mi wycelować. Miło się czuję w jego ramionach.

Stoimy tak o chwilę za długo, żadne z nas się nie rusza. Cameron na pewno czuje, że serce mi wali, albo przynajmniej dostrzega, że rwie mi się oddech.

– Teraz uderz w tę bilę – mówi cicho, puszczając mnie i odsuwając się.

Biorę oddech, kij drży mi w ręku, a nogi mam jak z waty. Z całej siły walę kijem w białą bilę i sprawiam, że mknie po stole i z powrotem, mijając wszystkie inne kule.

Cameron się cieszy.

– Nieźle – mówi. – Idę o zakład, że rozłożyłabyś wszystkich typków w salonie bilardowym.

– A jeszcze istnieją salony bilardowe? – pytam.

Cameron wzrusza ramionami.

– Za cholerę nie wiem.

Oboje się uśmiechamy, bo tamtą chwilę mamy już za sobą. Moment ściskającego żołądek podniecenia odszedł w przeszłość i mogę się rozluźnić. Tak jest okej. Dobrze, że będziemy takimi właśnie przyjaciółmi – skorymi do lekkiego flirtu. To mnie nie zrani. I miałam rację – on jest doskonałą odskocznią.

Podnoszę kij, pozwalając sobie stanąć bliżej Camerona niż zazwyczaj.

– Twoja kolej, mądrało – mówię.

– Tak mi mów, Sutton. – Cameron, sięgając po kij, muska opuszkami moje palce. – Masz szczęście, że nie zasugerowałem rozbieranego pokera.

Rzeczywiście mam. Bo w karty gram jeszcze gorzej.

ROZDZIAŁ 13

Cameron i ja czekamy przed moim domem, siedząc w jego beemce. Paru sąsiadów, przechodząc obok, obcina wzrokiem brykę, on jednak chyba wcale się tym nie przejmuje. To dziwne. Gdybym to ja parkowała tutaj bmw, pozamykałabym drzwi od środka.

– O której przyjeżdża ten autobus? – pyta.

Patrzę na zegarek.

– Za jakieś dziesięć minut.

– To chyba jednak nie musiałaś mnie tak poganiać?

Wcześniej Cameron zapytał, czy mógłby się zdrzemnąć. Powiedział nawet, że mogłabym do niego dołączyć i że byłoby to totalnie niewinne. Oświadczyłam jednak, że moglibyśmy zasnąć. Nie, że bym rzeczywiście myślała, że to możliwe. Wiedziałam za to, że leżenie razem na jego łóżku może skończyć się całowaniem. A całowanie może oznaczać też inne rzeczy, takie, na które nie mogę sobie pozwolić.

Zmusiłam go, żebyśmy wyjechali od niego godzinę wcześniej, niż było trzeba, a teraz siedzi tu ze mną i czeka. Nie mam pojęcia, dlaczego to robi. Nie pojmuję też, dlaczego mu na to pozwalam.

– Twoja mama nie mieszka z wami, prawda? – pyta Cameron.

Odwracam się do niego, czując się niepewnie.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie wspominasz o niej. Poza tym... – Zagryza wargę. – Wygląda na to, że to ty opiekujesz się bratem.

Przełykam gulę tkwiącą w gardle, próbując patrzeć mu w oczy, ale nie daję rady. Wbijam wzrok w przednią szybę. Zawstydzona.

– Nie – przyznaję. – Moja mama nie mieszka z nami.

– W takim razie gdzie jest?

Szczipię mnie oczy i marszczę nos, żeby powstrzymać płacz.

– Nie wiem.

Cameron przez chwilę milczy. A potem...

– Co się stało?

Chciałabym sfajczyć go wzrokiem i powiedzieć, żeby się odpieprzył, ale nie mogę. Czuję natomiast, jak ogarnia mnie ciemność, dusząc tak, że ciężko mi oddychać. Cameron zmusza mnie do zagłębiania się w tematy, których pragnę unikać. Zmusza mnie do dłubania w ranie.

– Pewnego dnia obudziłam się, a jej już nie było – mówię ściszym głosem.

– Zniknął samochód. Ciuchy. Pieniądze na czynsz. Zabrała wszystko.

– A nie zabrała ciebie – mówi Cameron tak, jakby w życiu nie słyszał

niczego tragiczniejszego. – Dlaczego odeszła?

– Nie wiem. Może przez mojego tatę. Może przez Evana. Albo przeze mnie. Jest w czym wybierać.

– Nie przez ciebie.

Chciałabym w to wierzyć. Chciałabym wierzyć, że moja mama mnie kocha. Że się po prostu załamała, ale teraz nienawidzi siebie za to, że odeszła. Kiedyś wierzyłam, że może wróci do domu. Tak się jednak nigdy nie stało. A teraz jest już za późno, żebym jej wybaczyła.

– Zostawiła mnie – mówię. – Zostawiła Evana. Potrzebowaliśmy jej, a ona miała to gdzieś. Nie wiem, czy kiedykolwiek było inaczej.

– Tak mi przykro – szepcze Cameron.

– Mnie też.

– Od dawna jej nie ma?

– Dwa lata.

– Tak długo? – Słyszę w głosie Camerona ostry ton i to mi się podoba. Podoba mi się, że potrafi ze względu na mnie czuć złość. – Jak mogła was tak porzucić?

– Bywa ciężko – odpowiadam, patrząc prosto przed siebie, zła, że się do tego przyznaję. – Evan jest czasem naprawdę trudny. Są dni, kiedy nie wiem, co robić, i wtedy mam ochotę uciec, tak jak ona to zrobiła. Mam ochotę zniknąć. – Urywam. Powinnam się zamknąć; ucieczka nie wchodzi w grę. – Nieważne.

– A twój tata?

– Mój tata? – pytam. – Rozpił się, gdy zaczęły się problemy z Evanem. A tuż po tym, jak mama odeszła, jeszcze mu się pogorszyło. Tracił pracę za pracę. Nigdy nie nadawał się na ojca roku, ale nie zawsze był taki. Nie zawsze tak żyliśmy.

– A teraz?

– Teraz? Teraz go nie trawię. On chce oddać mojego brata. To jego rodzony syn, a on chce go oddać na wychowanie mojej ciotce Kathy. Ale nie uda mu się. Evan jest też mój.

– Czemu miałby to zrobić? – pyta Cameron.

– Mówi, że nie daje sobie z nim rady, ale to ja robię wszystko. Wszyscyutko. I dalej będę to robiła, bo Evan to mój brat. Kocham go. – Spoglądam na Camerona, pragnąc, żeby mnie poznał. Pragnąc, żeby wiedział, w co się pakuje. – Został mi tylko on.

Odgarniam włosy z twarzy i patrzę na Camerona. Na to jak marszczy brwi, zatroskany. Jakby przejął się moimi problemami.

– Czasami myślę, że gdyby mama z nami została, Evanowi by się poprawiło – mówię. – Że byłoby okej. Za to jej nienawidzę. Nienawidzę jej za to, co mu zrobiła.

– Współczuję – mówi Cameron. Przesuwa kciukiem po moim policzku,

opiera go na mojej brodzie, podtrzymując mi głowę. Płaczę. Cholera. Rozryczałam się na jego oczach. Nachyla się do mnie.

Odwracam się i gapię w okno. Chciał mnie pocałować. Prawie mu na to pozwoliłam. Niepotrzebnie opowiadałam mu o mojej rodzinie. Nie powinien wiedzieć takich rzeczy. Nie mogę sobie na to pozwolić.

– Hej – szepcze Cameron, ale nie patrzę na niego. – Gdyby twoja mama miała dzbanek do kawy, nasikałbym do niego.

Odwracam się do niego, śmiejąc się.

– Zrobiłbyś to?

– Bezapelacyjnie.

I oto wpatrujemy się w siebie, znajdując w tym nową dla nas pociechę. Bliskość, jaką może dać tylko podzielenie się tajemnicami. Spokojną, kojącą.

– A skoro już się zaprzyjaźniliśmy – odzywa się – chciałabyś, żebyśmy chodzili do kina czy coś takiego?

– Nie chodzę do kina z przyjaciółmi.

– Nie? – dziwi się.

– Nie.

– To co w takim razie robicie? – Wygląda na rozbawionego, ale i zadowolonego, że pozwoliłam mu nazwać nas przyjaciółmi.

– Jeździmy do 7-Eleven – mówię. – Ganiamy się ze świrniętymi sukami po kukurydzianym polu.

– Nie mam nic przeciwko przygodom – przyznaje. – Myślałem jednak, że moglibyśmy spróbować czasem czegoś mniej gwałtownego. Może takiego z popcornem i podłokietnikami.

Jest uroczy. Prostuję się na siedzeniu i patrzę na swój dom.

– Muszę iść – mówię, choć tak naprawdę tego nie chcę.

– Wiem. – Żadne z nas się nie rusza.

– Dzięki za... podwózkę i za płatki, i w ogóle – mówię.

– Nie ma sprawy. Dzięki, że dałaś mi się ogrzać w bilard.

– Burak z ciebie – stwierdzam. – Tym razem już na serio idę. Widzimy się w szkole.

– Na pewno nie chcesz wybrać się ze mną do kina?

Chcę. Chcę być dziewczyną, która siedzi w kinie z fajnym facetem, wcina popcorn i całuje się w ostatnim rzędzie.

– Nie mogę – odpowiadam. – Mam dzisiaj Evana.

– Też może iść.

– Nie.

Cameron wzdycha, kręci głową.

– Może więc kiedy indziej. Do widzenia, Sutton.

I tyle? Nie zamierza bardziej nalegać?

– Okej... Cześć – żegnam się i otwieram drzwi. Czuję się odtrącona, chociaż to ja odmówiłam. Chociaż to ja go od siebie odpychałam.

Idę na ganek i siadam na schodach, czekając, aż Cameron odjedzie. Szkoda, że nie mogłam się zgodzić na to kino.

Zza rogu wyjeżdża autobus Evana, podrywam się więc, żeby wybiec na spotkanie. Zerkam na Camerona, który wciąż jeszcze czeka w aucie.

Kiedy żółty autobus podjeżdża, Evan siedzi na swoim miejscu, z twarzą przyciśniętą do szyby. A gdy drzwi się otwierają, zbiega po stopniach.

– Savannah! – woła zaaferowany. Patrzę na kobietę kierującą autobusem, ale ona wzrusza ramionami na znak, że przez całą drogę był taki podekscytowany. Cieszę się, widząc go w takim nastroju.

– Co tam, młody? – pytam, podniesiona na duchu jego delikatnym dotykiem, gdy biorę go za rękę.

– Coś dla ciebie zrobiłem. Mam tutaj w torbie. – Podnosi plecak, o mało się nie przewracając z zaaferowania.

– Dzięki – mówię, poprawiając mu zapięcie kurtki. Postanowiłam nie mówić mu o wyjeździe Rethy i Trávisa. Mógłby sobie przypomnieć o naszej mamie.

– Kto to? – pyta Evan, wskazując ulicę.

Kiedy się odwracam, widzę, że bmw Camerona nadal stoi przy krawężniku. Widząc, że go zauważyłam, chłopak robi wielkie oczy i odpala brykę, jakby miał odjechać. Strasznie jest ciekawski.

– To mój przyjaciel – mówię Evanowi. – Ma na imię Cameron.

– Cześć, Cameron! – krzyczy Evan, machając.

Widzę przez przednią szybę auta, jak Cameron rozdziawia usta ze zdziwienia, a potem odpowiada machaniem. Evan uwielbia być w centrum zainteresowania.

– Chcesz go poznać? – pytam, kucając przy moim bracie i odgarniając mu z oczu jasną grzywkę. Należałoby ją przyciąć; wstyd mi, że tak go zaniedbałam. – Jego samochód jest naprawdę fajny.

– Mogę się przejechać? – pyta Evan z wytrzeszczonymi oczami.

– Nie, ale możemy podejść go obejrzeć, jeśli chcesz.

Evan ciągnie mnie za rękę w kierunku beemki. Cameron opuszcza szybę w oknie od strony pasażera i gasi silnik.

Evan wlecze mnie za sobą po chodniku, ale gdy dochodzimy do drzwi, puszcza moją rękę, wsadza głowę w okno i piszczy z zachwytu.

– Savannah! – krzyczy do mnie. – On tu ma telewizor.

Uśmiecham się. Mówi o GPS-ie, ale nie zamierzam go poprawiać. Staję za nim i schylam się, opierając dłonie na kolanach. Cameron na moment spotyka się ze mną wzrokiem, a potem znów patrzy na mojego brata.

– Cześć, Evan – odzywa się tonem całkowicie pozbawionym wyższości. To

mi się podoba. Zazwyczaj ludzie, którzy widzą niepełnosprawność mojego braciszka, mówią do niego jak do głupka.

– Cześć, Cameron – odpowiada Evan. – Masz naprawdę fajny samochód.

– Dzięki.

Patrzy na mojego brata tak normalnie, że aż mnie boli w środku. Bo nie pragnę niczego innego, jak tylko tego, żeby ludzie traktowali Evana w taki właśnie sposób.

– Lubisz gry wideo? – pyta Cameron. Evan połową ciała wisi już w oknie, przyciskając różne guziki na desce rozdzielczej.

– Tak! – woła młody, choć nigdy dotąd w żadną nie grał.

– Super. – Cameron kiwa głową. – Ja też. Ale po tym, jak narobiłem sobie kłopotów, mama nie pozwala mi już w nie grać.

– Savannah też narobiła sobie kłopotów – mówi mój brat. Te słowa mnie dobijają. Wolałabym, żeby Evan nie musiał o tym wiedzieć. Ale przynajmniej nie zna szczegółów.

– Mogę pograć w gry wideo? – pyta.

– Pewnie. Chciałbyś mnie odwiedzić? – proponuje Cameron.

– Tak!

– Nie – mówię prawie równo z nim. Cameron natychmiast załapuje.

– Wiesz co, chłopie – mówi. – Pożyczę ci swoją konsolę. Ale będziesz musiał bardzo na nią uważać.

Evan z zapalem kiwa głową, a potem odwraca się, łapiąc mnie za skraj koszulki.

– Cameron da mi pograć w swoje gry!

– Słyszałam – odpowiadam, zaglądając do samochodu. – Co za fajny facet. Ciekawe, czemu miałby być taki hojny. – Mrużę oczy, a Cameron otwiera usta i dotyka piersi, jakby urażony, że oskarżam go o jakieś nieczne intencje.

– Dlatego, że jest twoim przyjacielem – oznajmia Evan, kręcąc głową. – Przyjaciele są fajni. Retha jest fajna.

Na wzmiankę o Recie kłuje mnie w piersi, ale zmuszam się do uśmiechu.

– Tak – przyznaję. – Retha jest fajna. – Znow zaglądam do samochodu. – Cameron też bywa fajny. Kiedy nie jest cholernym manipulantem.

– Hej – protestuje Cameron. – Bez takich słów przy bracie.

– Weź się zamknij – mówię.

– To też nie było miłe.

– Tak – przyznaje Evan. – To nie było miłe, Savannah.

Tłumię w sobie chęć pokazania Cameronowi faka i zamiast tego wtykam głowę przez okno.

– Naprawdę przywieziesz mu konsolę? – szepczę. – Bo on strasznie bierze do siebie takie obietnice. Jeśli to więc tylko takie pierdolenie...

– Zamierzam mu przywieźć mojego xboxa. Już go nie używam.
– Wyrosłeś z gier wideo czy jak? – pytam.
– W życiu. Ale kiedy mama postanowiła mi go zwrócić, miałem już nową konsolę.

Kręcę głową.

– Ty burżuju. – Odwracam się do Evana i widzę, że z niepokojem i podnieceniem obserwuje Camerona. Martwi mnie i przeraża, że chcemy za wiele.
– Nie musisz się nade mną litować – mówię Cameronowi.

– To nie litość – odpowiada z powagą. – I nie chodzi o ciebie. To dla Evana.

Na chwilę milknę, świadoma, że mój braciszek zasługuje na taką frajdę. Mnie nie byłoby stać na zapewnienie mu jej. Kiwam więc głową, że się zgadzam.

– Będę mógł podjechać później i podrzucić konsolę? – pyta Cameron. Rękę trzyma na siedzeniu dla pasażera, wnętrzem dłoni do góry, tak jakby miał nadzieję, że po nią sięgnę.

– Hmm... Za jakąś godzinę wraca mój tata – mówię. – On nie lubi gości.

Z twarzy Camerona znika napięcie, a ręka wraca na jego kolana.

– A jeśli po prostu ją podrzucę? – pyta jeszcze. – Bez żadnego wchodzenia.

– Savannah – odzywa się Evan, uwieszając się na mojej koszulce i rozciągając ją. – Ja chcę gry wideo.

Wpatrujemy się w siebie z Cameronem i wiele się między nami dzieje, chociaż nie pada żadne słowo. On zaczyna otaczać mnie opieką, a ja się na to godzę. Chcę się na to godzić, chociaż i jestem z tego powodu wdzięczna, i na samą myśl o tym robi mi się niewyraźnie.

Gdybym mogła, chwyciłabym Evana i wskoczyła z nim do bryki Camerona. Kazałabym mu wywieźć nas jak najdalej stąd.

Tego jednak nie mogę zrobić. Nie mam dokąd uciec.

Uśmiecham się czule do Camerona.

– Jeśli masz ochotę mi ją podrzucić, wyjdę przed dom o ósmej.

Kiwa głową, a potem patrzy gdzieś za mnie.

– Hej, Evan. Jeszcze się zobaczymy, okej?

– Okej, Cameron. Pa pa!

Evan jest szczęśliwy, że poznał kogoś nowego. Chciałabym tulić go do siebie, przedłużając tę chwilę na wieczność. Tę niewinną ekscytację. Tylko on i ja.

Cameron odjeżdża, a my oboje się temu przyglądamy, aż wreszcie czujemy, że rączka brata wsuwa się w moją dłoń.

– Ma fajny samochód – powtarza Evan.

– Tak – przyznaję, spuszczać wzrok. – I dobry z niego chłopak. Nie taki, jak większość dupków, którzy się tu wcześniej kręcili, prawda?

Evan kręci głową.

– To nie było miłe słowo, Savannah.

Uśmiecham się.

– Masz rację – mówię, prowadząc go w stronę domu.

ROZDZIAŁ 14

O wpół do ósmej kładę Evana spać i sprzątam kuchnię. Dzwoniłam do Rethy po nowiny, ale jeszcze nie udało jej się zobaczyć z Travisem. Mój tata w dużym pokoju pije piwo. Nie wolno mi sprowadzać ludzi do domu. Wyjątek stanowi Retha i to tylko dlatego, że onieśmiela mojego ojca. Nawet Travis nie ma tu wstępu. Wykradam się przez tylne drzwi.

Już na ulicy siadam na krawężniku i czekam. Wiem, że nie można wykluczyć, że Cameron nie zjawi się ponownie. Nie byłby pierwszy. To, że jest bogaty, nie oznacza wcale, że pragnie wspomagać biedaków.

Jestem wściekła, że dopuszczam do siebie takie myśli.

Ulicę rozświetlają światła samochodu, ale nie ruszam się z miejsca, póki nie będę miała pewności, że to on. Kiedy samochód zwalnia, już go widzę. Jestem szczęśliwa, że wrócił.

Cameron parkuje przede mną, akurat gdy zabieram nogi z jezdni. Gasi silnik, a ja otwieram drzwi od strony pasażera i wsiadam.

Szeroko otwiera oczy, zaskoczony.

– Łał – mówi. – Pierwszy raz nie musiałem cię wabić do samochodu łapówką.

– Nie do końca – śmieję się. – A konsola, zapomniałeś?

– Racja. – Kiwa głową.

Pięknie pachnie, jakby wybierał się na randkę. Jest fajnie ubrany, w porównaniu z nim wyglądam jak lump.

– Wybierasz się gdzieś? – pytam. Jestem odrobinę zazdrosna.

– Na chwilę. A co? Pojechałabyś ze mną?

– Nie. – To nie może być randka, skoro mnie zaprasza. Wiem, że to nierozsądne wymagać, żeby wciąż był singlem; w końcu ja ciągle mu odmawiam. Ale nie zawsze kieruję się rozsądkiem.

– Jest taka impreza – mówi. – Nic specjalnego.

– W poniedziałek?

– Nie taki odjazd jak 7-Eleven, ale też w porządku.

Śmieję się.

– Dzięki, ale nie sędzę, bym się dogadała z twoim towarzystwem.

Marszczy brwi.

– Czemu tak uważasz?

– Ci twoi koledzy są tak samo bogaci jak ty?

Cameron sprawia wrażenie urażonego tym pytaniem i nagle czuję się jak istna suka.

– Niektórzy pewnie tak – odpowiada. – Dlatego od razu zakładasz, że to

bubki?

– Nie zakładam, że to bubki – kłamię.

Przypatruje mi się przez chwilę, chyba niepewnie.

– Czymś cię uraziłem? – pyta.

Zaskakuje mnie tym pytaniem.

– Nie.

– To czemu uważasz, że ludzie, wśród których się obracam, będą cię źle traktować?

– Nie uważam tak.

– Savannah, czy masz ochotę wybrać się ze mną na imprezę? – Wiem, że proponuje to po raz ostatni.

– Nie.

Głośno przełyka ślinę. Po chwili sięga na tylne siedzenie po płócienną torbę i kładzie mi ją na kolanach.

– Łatwo to podłączyć. – Unika mojego wzroku. – To tylko kilka kabelków.

Dałem mu dwie ściąganki i parę przygodówek.

– Dzięki. Kiedy chcesz je z powrotem? – pytam.

– Kiedy się nimi znudzi.

– On się nigdy nie znudzi.

– Może je trzymać, jak długo będzie chciał. – Cameron wydaje się zmartwiony, nawet trochę smutny. Mam ochotę usiąść mu na kolanach, pocałować go i powiedzieć mu, jak bardzo go lubię. Zamiast tego spuszczam oczy.

– To naprawdę miło z twojej strony – mówię. – Dziękuję.

– Polecam się.

Fatalnie się czuję, bo wiem, że Cameron liczył, że wybiorę się z nim dzisiaj na imprezę, bo coś nas łączy i możemy być razem. Nie mam jednak dla niego czasu. Nie, kiedy Evan śpi w swoim pokoju i mnie potrzebuje.

– Wiesz, że nie mam jak ci się zrewanżować – mówię. Pewnie, że wie. Tak tylko gadam, żeby jeszcze nie wracać do domu.

– Wystarczy mi twoja dozgonna wdzięczność – odpowiada.

– Może więc zacznę być dla ciebie miła albo coś w tym stylu – wypalam bez namysłu.

– Może zaczniesz.

– Postaram się – szepczę. Nachylam się, zdecydowana, że pocałuję go w usta. W ostatniej chwili jednak zmieniam zdanie i zamiast tego całuję w policzek. Zamykam oczy, nieruchomieję. Cameron dotyka delikatnie moich pleców, przygarniając mnie do siebie. Kiedy się odsuwam, patrzę w podłogę.

– Dobranoc, Cameron – mówię szeptem.

Wysiadam z auta, zamykam drzwi i ruszam do domu z płócienną torbą przewieszoną przez ramię.

Cameron odpala brykę, ale zanim ruszy, woła jeszcze:

– Savannah, pewnego dnia powiesz tak.

– Mam nadzieję – mówię do siebie i idę na tyły domu.

* * *

Evan kompletnie oszalał na punkcie gier wideo. Staram się ukrywać konsolę przed ojcem, odłączając ją przed jego powrotem do domu i powtarzając braciszкови, żeby dochował tajemnicy. To jednak prawie niemożliwe – Evan nie umie kłamać. Nie potrafi też przestać myśleć o grach.

W czwartek w nocy już prawie zasypiam, kiedy z dużego pokoju dociera do mnie tubalny głos ojca. Bluzgając, odrzucam kołdrę. Pewnie się nawalił – choć przecież wie, że nie wolno mu tego robić, kiedy Evan jest w domu.

– Skąd to masz, pytam? – krzyczy.

Serce podchodzi mi do gardła i potykając się o własne nogi, wypadam z pokoju. Już na korytarzu widzę, że w domu jest ciemno, tylko z dużego pokoju bije poblask pochodzący z telewizora. Słyszę szloch Evana i wpadam w furję, nie pytając nawet, co się stało.

Tata stoi przed telewizorem, którego ekran świeci na niebiesko, a Evan kuli się u jego nóg. Co za pieprzony drań.

– Zostaw go w spokoju – wrzeszczę, waląc obiema dłońmi w pierś ojca i odpychając go o kilka kroków. Natychmiast biorę braciszka na ręce.

– Nawet go nie dotknąłem – prycha mój ojciec. Jedzie od niego alkoholem.

– A nie wrzeszczałeś na niego? On ma siedem lat! – Kołyszę Evana na rękach, jego ciężkie łzy wsiąkają w rękaw mojej koszuli.

Światło bijące z telewizora pozwala mi zobaczyć, jak spojrzenie ojca przeskakuje na mojego brata – jakby żałował, zaraz się jednak odwraca.

– Połóż go spać – burczy. – A potem wracaj tu, bo mamy do pogadania.

– Nie – mówię. – Jutro mam szkołę. Nie mam czasu na twoje...

– Savannah, kurwa, połóż go spać! – krzyczy. Kulę się w sobie i mocniej obejmuję braciszka.

Robię, co kazał, otulam Evana kołdrą i całuję w czubek głowy.

– Tata jest na mnie zły – płacze mój brat. Muszę zdusić w sobie złość, żeby on był spokojny.

– Nie jest na ciebie zły – mówię. – On jest zły na mnie. Ty nie zrobiłeś nic złego.

– Zakradłem się do pokoju, żeby pograć. Przepraszam.

– Mówię ci, to nie twoja wina – szepczę. – Teraz śpij. Rano idziesz do szkoły, a potem jedziesz na weekend do cici Kathy. Tylko... nie opowiadaj jej o tym, okej?

– Okej – obiecuje i przewraca się na bok, podkładając pod policzek małą

rączkę. Od dawna już powinien spać; jutrzejszy dzień będzie dla nas wszystkich koszmarem.

Serce mi wali, kiedy wychodzę z jego pokoju, zamykam drzwi i wracam do ojca, który już ochłonął. Siedzi na kanapie, a światło pali się teraz w kuchni.

– Przysięgam, że jak jeszcze...

– Skąd wzięłaś tę grę? – pyta.

Wytrzeszczam oczy, zdezorientowana.

– Co?

– Tę grę wideo. Skąd ją masz? Bo mnie za cholerę na coś takiego nie stać.
– Pewnie myśli, że ją ukradłam.

– Od Rethy – kłamię czym prędzej. – Jej chłopak sprezentował jej nową, więc dała mi swoją. Pomyślałam, że Evanowi się spodoba. – Powołałam się na przyjaciółkę, bo wiem, że tata nie miałby na tyle jaj, żeby kazać jej zabrać xboxa. A nawet gdyby znalazł w sobie dość odwagi, to i tak nie wie, że Retha jest w Cleveland z Travisem.

Tata znów przygląda się konsoli, a potem wstaje, żeby wyłączyć telewizor.

– My nie przyjmujemy jałmużny – mówi.

Nawet nie ma pojęcia, że ja muszę ją przyjmować, ilekroć się zgadzam, by Travis postawił mi obiad, a także za każdym razem, kiedy Retha i jej mama dostarczają nam jedzenie. Nie – on nie zniży się do proszenia o jałmużnę. Nie pozwala mu na to duma, a przez to ja musiałam wyrzec się swojej.

– To był prezent – mówię, choć czuję wstyd, że go przyjąłem.

– Bez różnicy – odpowiada. Idzie do kuchni, gasi światło, zostawiając mnie w dużym pokoju samą. Jedynie z wątlą poświatą bijącą z telewizora.

* * *

Kiedy ojciec jest już w łóżku, dzwonię do Rethy i oddycham z ulgą, gdy odbiera.

– Jak on się czuje? – pytam natychmiast.

– Oddziałowa mówi, że jest poprawa – odpowiada, sądząc po głosie, zmarnowana. – Jest przytomny i rozmawia. Pytał o nas.

Zaciskając wargi, cicho płaczę.

– Wyjdzie z tego – zapewnia. – Tym razem wyjdzie z tego.

Cień na nasze poczucie ulgi rzuca to, na co w przyplýwie szczerości zwróciła uwagę. Tym razem.

– To kiedy będziesz mogła się z nim zobaczyć? – pytam.

– Nie powiedzieli, ale myślę, że jeśli będzie w takim tempie dochodził do siebie, to pod koniec tego tygodnia. Chociaż prawdopodobnie będzie się to odbywać pod nadzorem, jak widzenia w więzieniach.

– Upiecz mu ciasto z pilnikiem w środku – mówię, żeby ją rozśmieszyć.

– Wiesz, że kucharka ze mnie gówniana – odpowiada. – A jak tam mój malec? – pyta. – Jest grzeczny?

Mam ochotę jej opowiedzieć, co w nocy wyprawiał mój ojciec i jak nawrzeszczał na Evana. Ale to byłoby samolubne. Retha i tak ma mnóstwo problemów. Nie będę jej dowalać swoich. Nie tym razem.

– Spisuje się naprawdę świetnie – mówię. – Nawet... – zmuszam się, żeby zabrzmiało to lekko – poznał Camerona.

– Fiu fiu – komentuje Retha. – Myślę, że powinnaś zacząć od początku. Powiedz mi, proszę, czy w końcu do czegoś doszło?

Wybucham śmiechem, naprawdę czując się lepiej, i opowiadam jej o moim poniedziałkowym popołudniu, wyolbrzymiając to, co moim zdaniem najbardziej ją rozbawi. Kiedy kończę, spoglądam w okno i widzę, że za chwilę wstanie słońce.

– Powinnam kończyć – mówię. – W szkole naprawdę robi się syfiasto. Chciałabym, żebyście mogli dzielić ze mną tę niedolę.

– Masz rację, dziewczyno – odpowiada. – Razem pokonamy wszystko, zobaczysz. Przekimaj się choć trochę. Pozdrowię od ciebie Trvisa.

Dziękuję jej, rozłączamy się i wracam do swojego pokoju. Rozmowa z przyjaciółką postawiła mnie do pionu – dała mi oparcie.

Tęsknię za Rethą, ale jedyne, co mogę tutaj dla niej zrobić, to postarać się choć trochę zmienić swoje życie na lepsze, zanim oboje z Travisem wrócą do domu.

Budzik odzywa się godzinę później. Na dnie płóciennej torby, którą Cameron dał mi wraz z gramami wideo, znajduję jakieś drobne, na tyle dużo, by podjechać do szkoły autobusem. Ale już w piątek po południu nie mam kasy. Cameron chodzi na terapię z nakazu sądowego, nie ma go więc dziś w szkole i ciężko mi wytrzymać na lekcjach. Do tego nie mam podwózki. Nie mówiąc już o tym, że chyba chciałabym się z nim zobaczyć.

Ruszam po zajęciach do domu, myśląc o Travisie. Jestem już kilka przecznic od szkoły, gdy nagle słyszę, że ktoś za mną gwizdże jakąś melodię. Początkowo nic sobie z tego nie robię, ale kiedy staje się coraz głośniejsza, dociera do mnie, że to gwizdanie ma przyciągnąć moją uwagę.

Odwracam się.

– Hej, Sukon – zagaja Patrick. – Zabłądziłaś? To nie twoje rewiry.

Na głowie ma włóczkową czapkę, a ręce wetknięte w kieszenie kurtki. Wpadam w panikę. Co on kombinuje?

Kiedy ze sobą chodziliśmy, Patrick bywał palantem. Ranił moje uczucia. Nigdy jednak mnie nie uderzył. Teraz sprawy wyglądają inaczej. Pragnie sprawić mi ból. Wyczuwam tę nienawiść sączącą się wszystkimi porami jego skóry.

– Daj mi spokój – mówię, jakbym się nie bała. A boję się. Patrick stał się kompletnie nieobliczalny.

– Weź, nie bądź taką suką – woła. – Chcę tylko pogadać.

– Patrick, poważnie, odpiardol się ode mnie raz na zawsze. Nie mam ci nic do powiedzenia.

Zbliża się szybko, nie mogę odwracać się do niego tyłem. Nie chcę przecież, żeby powalił mnie kopem. Zaciskam ręce w pięści i czekam. Nawet jeżeli zaczną uciekać, i tak mnie dogoni. Muszę stawić mu czoło.

Patrick zatrzymuje się na chodniku tuż przede mną. Zachowuje się naturalnie, prawie zwyczajnie. Mnie za to rwie się oddech. Jestem pewna, że chłopak widzi mój strach.

– Daj spokój, Savannah. – Uśmiecha się. – Nie było nam ze sobą tak źle, pamiętasz?

– Nie.

– Auć – śmieje się. – Ranisz moje uczucia. Nikt cię tak nie umiał przelecieć. Rzygać mi się chce. Co za sukinyś.

– A potem robiłaś się coraz dziwniejsza – kontynuuje. – Nie łąziłaś już za mną jak kiedyś, cały czas zamartwiałaś się o swojego niedorozwiniętego bracholka... Dziwisz się, że zerwaliśmy?

Wbijam paznokcie w skórę dłoni.

– Jednak dupek z ciebie – mówię. I nie zdążam nawet zareagować, a już jego ręka wystrzeliwuje od przodu, łapie mocno moją twarz i Patrick przyciąga mnie do siebie. Opasuje mnie swoją wielką łapą, przyciskając mi ręce do boków. Napiera na mnie i przysuwa twarz pod mój nos, wbijając mi palce w policzki.

– Ty kurwo – szepcze chrapliwie, zionąc miętową gumą. – Trzeba cię nauczyć manier. – Próbuję się wyrwać, ale chwyta mnie jeszcze mocniej. Jego palce ranią mi twarz.

– Nie rycz. – Nachyla się, żeby powoli zlizać mi łzę z policzka. Czując wilgoć jego języka, zamykam oczy ze zgrozy. I z bezradności. Obejmująca mnie ręka Patricka zsuwa się niżej, prawie na mój tyłek.

– Przestań – wyduszam z siebie, bo ciężko mi mówić, gdy on trzyma mnie za twarz.

Patrick odchyła się do tyłu i szczyrzy zęby.

– No już, mała – mówi. – Powiedz mi, że przepraszasz. – Znów się nachyla, żeby otrzeć się wargami o moje usta. – Idę o zakład, że sprawię, że będziesz wykrzykiwała moje imię tak jak kiedyś.

Zaciskam mocno powieki, marząc, żeby padł trupem. Nienawidzę go. Nienawidzę jego dotyku. Nienawidzę jego ust tak blisko moich.

– Spierdalaj – mówię najdobitniej, jak potrafię.

Patrick wciska się palcami pod moje kości policzkowe tak, że boję się, czy nie przebije się przez skórę. Płaczę, szamoczę się, ale nie mogę się wyrwać z jego uścisku. Czuję za to, jak mu staje. To go podnieca.

Łzy lecą mi już ciurkiem i mogę jedynie czekać na to, co będzie dalej. Bo nie przeproszę. Nie mam za co.

Zaskakuje nas dźwięk klaksonu, a grupka czirliderek, siedzących w jetcie, która zatrzymała się na ulicy, wrzeszczy coś do Patricka. Jestem bliska wołania o pomoc, ale wiem, że nie mogę liczyć na te dziewczyny. Bo przecież one wszystkie marzą o tym, żeby napastował je król boiska. Patrick uśmiecha się, wciąż mnie trzymając, nadal pochylony tak blisko nad moją twarzą.

– Jeszcze nie skończyliśmy – szepcze i daje mi szybkiego buziaka, jakbym ciągle była jego dziewczyną. Klepie mnie po tyłku, a potem puszcza i rusza do samochodu pełnego dziewczyn.

Zostaję sama na chodniku. Policzki mnie boją, a gardło pali. Sплюwam na ziemię i rękawem kurtki ścieram z policzka jego ślinę. Nie życzę sobie kontaktu z nawet najmniejszą jego częścią.

Kiedy jetta odjeżdża, Patrick wychyla się z jej okna.

– Przemyśl to, co powiedziałem, Savannah. – Kiedy pokazuję mu faka, wybucha śmiechem.

Gdy tylko znika z mojego pola widzenia, z piersi wrywa mi się szloch. Oparta dłońmi o kolana płaczę. Przeklinam Patricka. Przeklinam siebie samą. A gdy znów łapię oddech, wracam do szkoły.

ROZDZIAŁ 15

Jak zdobyłaś mój numer? – pyta Cameron, kiedy wsiadam do jego samochodu. Choć minęło już pół godziny, ręce nadal mi się trzęsą, a głowę mam spuszczoną.

– Skorzystałam z telefonu w szkole, żeby zadzwonić do informacji – wyjaśniam. – Nie byłam pewna, czy już wróciłeś z terapii. Przepraszam.

– Daj spokój – mówi. – Nie musisz tego... – Po raz pierwszy odwraca się do mnie i wytrzeszcza oczy. – Cholera jasna, Savannah! Co ci się stało w twarz?

Ujmuje mój podbródek, obracając mi głowę tak, żeby się lepiej przyjrzeć. Zdziwiająca jest delikatność jego dotyku. Patrzą mu w oczy, gdy przygląda mi się z niepokojem.

– Jak to się stało? – pyta. – Masz czarno-fioletowe sińce.

Nie powiem mu. Tego byłoby za wiele. Wie już o Recie i Travisie, o mojej rodzinie, nie może się jednak dowiedzieć, że moje życie jest popieprzone pod wszystkimi względami.

– To przez hondę pełną wściekłych lasek – próbuję się uśmiechnąć. Cameron nie odwzajemnia jednak uśmiechu i cofa rękę.

– Nie wierzę ci – mówi.

Mój uśmiech blednie i odwracam się do okna. Czuję się upokorzona. Ale nie miałam do kogo zadzwonić. Kathy dostałaby zawału, gdybym to ją poprosiła o podwiezienie. Nie powinnam też podsuwać jej kolejnych powodów, by o mnie źle myślała.

– Kto ci to zrobił? – pyta z czułością Cameron.

Kręcę głową, odmawiając odpowiedzi. Nie chcę się przyznać, jak bardzo się boję.

– To był tamten dupek z furgonetki? – naciska. – Znasz go?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć, bo wybucham płaczem. Wciąż jeszcze czuję na twarzy oślizły język Patricka. Jego rękę na moim tyłku. Policzki boją. Retha i Travis wyjechali i nikt mnie przed nim nie obroni. On mnie zabije.

Cameron przygarnia mnie do siebie, żebym wyplakała się na jego piersi. Przeczesuje dłonią moje włosy, nie mówiąc ani słowa. Po prostu pozwala, bym dała upust emocjom, i tuli mnie, aż przestaję się trząść.

Kiedy mój płacz cichnie, Cameron wsuwa mi za ucho kosmyk włosów.

– Hej – mówi cicho. – Może zajrzemy na chwilę do mnie?

Uświadamiam sobie, że trzymam się go kurczowo, że zaciskam palce na jego koszuli. Ulegam, a nie powinnam się mu poddawać. Nie, kiedy mam tyle problemów.

– Po prostu odwieź mnie do domu – mówię, pociągając nosem i prostując się

na siedzeniu. Cameron nie protestuje.

Jedziemy do mnie, a kiedy zatrzymujemy się pod domem, ze zdziwieniem widzę na podjeździe porzewiałą furgonetkę taty. Jeszcze nie powinno go być w domu, rodzi się więc we mnie niepokój.

– To twojego ojca? – pyta Cameron, patrząc za moją głowę na tamten samochód.

Przytakuję.

– Chciałbym do was wejść – mówi. – Wpuści mnie?

Cameron jest śmiały. Patrzę na niego i widzę, że przygląda mi się inaczej. Nie tak, jak dotąd. Nie spojrzeniem mówiącym: „Jak uważasz, Sutton?”. To jest intensywniejsze. Bardziej wyczekujące, jakby znalazł coś, o co warto walczyć.

– Nie wpuści – odpowiadam cicho. Chcę, żeby Cameron znów mnie do siebie przygarnął. Chcę wtulać twarz w jego szyję, gdy będzie mnie gładził po włosach. Chcę, żeby mi powiedział, że będzie okej – i żebym w to uwierzyła.

– Powiniennem cię porwać – mówi Cameron. – Zabrać do siebie do domu.

– Chcesz mnie ratować?

– A pozwoliłabyś? – pyta, ruchem głowy wskazując przednią szybę. – Możemy zaraz jechać. W moim domu jest mnóstwo pokoi. Moi rodzice nieprędko cię odkryją.

Uśmiecham się do niego. Nie zdoła mnie uratować. Nie zdoła zmienić mojego życia. To tylko chłopak.

– Dzięki za podwiezienie, Cameron. Dzięki za wszystko. – Otwieram drzwi.

– Hej – woła. Odwraca twarz bokiem i stuka w policzek. Wyglupia się, ale to mi się podoba. Jest słodkie. Dlatego nachylam się i delikatnie całuję go w nadstawiony policzek.

Prostuję się i idę do domu, a kiedy dochodzę do drzwi i spoglądam za siebie, Camerona już nie ma.

Chciałabym z nim odjechać.

Wchodzę do dużego pokoju i widzę ojca w głębokim fotelu, popijającego piwo z puszki. Na jego białym podkoszulku widać smugi po smarze, a nogawki dżinsów są na dole wystrzępione. Odwracam się do niego bokiem, żeby nie zauważył sińców.

– Kto to był? – pyta tubalnym pijackim głosem. Widocznie wyglądał przez okno.

– Kolega – odpowiadam. – Co robisz w domu?

– To tak się zabawiasz, kiedy jestem w robocie? Spotykasz się z chłopakami? Takie rzeczy wyprawiasz w moim domu?

Przewracam oczami.

– Oczywiście, że nie. – Ojciec zachowuje się tak, jakbym pod jego nieobecność robiła wszystko, co najbardziej niestosowne i najokropniejsze.

Alkohol wpędza go w paranoję.

– Czemu nie jesteś w pracy? – pytam ponownie.

– Wylali mnie.

– Poważnie, tato? – jęczę. Przeczesując dłonią włosy, rozglądam się po pokoju. Nagle widzę, że coś zniknęło. A to sukinsyn. Gwałtownie odwracam się do niego.

– Gdzie to jest? – krzyczę. – Gdzie jest xbox?

Tata patrzy w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

– Sprzedałem.

Zatyka mnie.

– Jak to go... sprzedałeś? Nie należał do ciebie!

– Do ciebie też nie, Savannah. Ani do Rethy. Dzwoniła wcześniej i ją o to zapytałem.

Serce wali mi tak mocno, że ledwie mogę oddychać.

– Był dla Evana – mówię. Ledwie mogę sobie wyobrazić, jak bardzo zmartwi się mój braciszek, kiedy wróci do domu. Całkiem się załamie.

Ojciec pociąga długi łyk piwa, gapiąc się na mnie ze złością.

– To czyje to było? – pyta.

– Mojego kolegi. Natychmiast go oddaj!

– Czyje to było? – podnosi głos i po wszystkim, co dzisiaj przesłałam, to mnie przeraża. – Odpowiadaj, do cholery!

– Camerona – mówię, podnosząc ręce. – Mój kolega Cameron pożyczył tę konsolę Evanowi, jasne?

– Ten, z którym właśnie siedziałaś w aucie? – Wzmacnia te słowa bluzgiem i podnosi się, żeby do mnie podejść.

– Jesteś pijany – rzucam. Unikam bycia w domu, kiedy jest schlany; nie zamierzam siedzieć i słuchać, jak płacze za moją matką i obwinia nas o to, że odeszła. Ze względu na niego wolę zapomnieć wszystkie wredne rzeczy, jakie wygadywał tego ranka.

Wypadam z pokoju, po drodze do drzwi łapię leżący na stoliku portfel ojca. Wyławiam z niego dwudziestodolarówkę i wychodzę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Idąc ulicą, płaczę. W okolicach Broadwayu łapię taryfę. Podaję adres Camerona, a kierowca przygląda mi się, zatrzymując na dłużej wzrok na mojej szczęce – pewnie zauważył siniaki. Mimo to rusza.

Samochód Camerona stoi na podjeździe, odczuwam więc zarazem i ulgę, i strach, że jest w domu. Bo czemu tu przyjechałam? Pod wpływem impulsu, i to głupiego, a teraz nie mam kasy, by jechać gdziekolwiek indziej.

Płacę taryfiarzowi, a gdy ten odjeżdża, stoję na podjeździe, przyglądając się budynkowi. W głowie mi się nie mieści, że znów uciekłam do Camerona. Przecież on nie zdoła mi pomóc. Nie zmieni wszystkiego na lepsze. Mimo to... podchodzę

do drzwi, biorę głęboki oddech i pukam.

Początkowo słychać tylko ciszę i zaczynam się bać, że Camerona nie ma w domu. Pozostaje mi tu tkwić, może nawet doczekać na podjeździe chwili, gdy pojawią się rodzice chłopaka.

Pukam ponownie i nim zdążam opuścić rękę, drzwi się otwierają.

– Savannah? – dziwi się Cameron. Jest wyraźnie zaszokowany moim widokiem.

Chcę go przeprosić za to, że zawracam mu głowę, chcę sobie stąd pójść. Zamiast tego stoję na jego progu i wzruszam ramionami. Bo nie mam dokąd iść.

Spojrzenie Camerona łagodnieje i chłopak robi krok w bok.

– Wchodź – mówi. Spuszczam głowę i przechodzę koło niego.

Twarz mam wciąż obolałą, a ciuchy wydają mi się brudne po bliskim kontakcie z Patrickiem. Cameron zamyka drzwi i staje za mną.

– Co jeszcze się stało? – pyta.

– Gdzie twoi rodzice? – Ignoruję tamto pytanie.

– Nie ma ich. Savannah... Nic ci nie jest?

Wargi mi drżą. Cieszę się, że stoi za mną i nie widzi mojej twarzy.

– Mój ojciec zastawił twojego xboxa.

– Co? – upewnia się Cameron.

– Powiedziałaś mu, że mam go od Rethy. A kiedy odkrył, że to nieprawda, wziął go i sprzedał.

– Ale on był dla Evana – mówi ze złością Cameron. – Dałem go Evanowi, a nie temu dupkowi, twojemu ojcu.

– Wiem – zaczynam mówić, ale się rozklejam. Łzy ciekną mi po policzkach i zakrywam twarz dłońmi. I zaraz on jest przy mnie. Znowu. Bierze mnie w ramiona i mocno tuli, opierając brodę na moim ramieniu. Dużo w tym czułości, ale i pocieszenia. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek przedtem czuła taki dotyk, tak wolny od wszelkich podtekstów.

– Jak tu dotarłaś? – pyta.

– Czy to ważne?

– Po prostu jak zwykle jestem ciekaw.

Uśmiecham się i uwalniam z jego ramion, ocierając twarz z łez, zanim się do niego odwrócę. Na jego twarzy nie widać politowania; nie mówi mi, jak bardzo mu przykro, że moje życie to jedna wielka katastrofa. Bo w końcu rozmowa to tylko rozmowa. Podoba mi się, że Cameron to rozumie.

– Rąbnęłam tacie dwie dychy – wyjaśniam.

– I dobrze.

– No.

Przez chwilę milczy, a potem schyla się, żeby włożyć buty. Marszczę brwi, zastanawiając się, co kombinuje.

– Zapnij kurtkę – mówi. Staję jak wryta. Chce mnie odwiedzić do domu?

– Myślałam...

Wzdycha, jakbym stwarzała trudności, podchodzi bliżej, łapie u dołu poły mojej kurtki i ją zapina. Gdy kończy, jego palce zatrzymują się przy mojej szyi, a ja podnosząc wzrok, napotykam jego spojrzenie. Gdy się uśmiecha, robi mi się ciepło.

– Zabieram cię na pizzę – mówi.

* * *

W piątkowe wieczory Vince's Pizza w ofercie „jedź do oporu” ma skrzydełka. Kiedy przyjeżdżamy, parking jest już pełen i musimy stanąć przecznicę dalej, pod spożywczym. Jest dziś wyjątkowo zimno i jestem gotowa zgodzić się, żeby Cameron mnie objął i ogrzał. Zamiast tego sama otaczam się ramionami i wchodzimy pod markizę przy wejściu do restauracji.

– Nigdy tu nie byłam – mówię do Camerona. – Dobrze tu karmią?

Cameron marszczy nos, jakby nie był pewien, i przytrzymuje szklane drzwi, przepuszczając mnie przodem. Jestem onieśmielona. Lokal pracuje pełną parą – długie, podobne do piknikowych stoły ciągną się przez całą salę, zastawione talerzami skrzydełek. Głośno tu i tłoczno, kupa luda. Nikogo nie rozpoznaję, chociaż wszyscy wydają się być mniej więcej w moim wieku. Zapach pizzy i sosu do skrzydełek jest wszechobecny, zaczyna mi lecieć ślinka.

– Na dwie osoby, proszę – mówi Cameron dziewczynie za barem i odwraca się, ogarniając wzrokiem salę. Dziewczyna uśmiecha się szeroko i pręży cycki nad barem.

– Cameron? – mówi. – Cholera jasna, wieki cię u nas nie było.

Chłopak patrzy znów na nią, chwilę mu zajmuje skojarzenie, z kim ma do czynienia, a potem kiwa głową.

– No tak – przyznaje. – Trochę czasu minęło.

Wzrok dziewczyny odrywa się od Camerona i obcina mnie pospiesznie. Usta układają się w uśmiech i dziewczyna bierze dwie karty dań.

– Tędy – mówi, a potem prowadzi nas przez salę do niewielkiego, właśnie sprzątanego stołu.

Siadamy z Cameronem przy jeszcze wilgotnym blacie, a dziewczyna wręcza nam karty, dodając, że zaraz podejdzie kelner.

– Kiedyś często tu przychodziłem – mówi Cameron, gdy już jej nie ma. Przebiega wzrokiem menu, ale nie wydaje mi się, żeby je rzeczywiście czytał.

– Domyśliłam się. A ona chyba się za tobą stęskniła.

Uśmiecha się i podnosi głowę, jakby mu pochlebilo, że jestem zazdrosna. Chociaż nie jestem. To znaczy, nie tak całkiem.

– Miała pewnie nadzieję, że przyszedłem z Marcusem – wyjaśnia. – Na mnie

lecisz tylko ty, Sutton.

Śmieję się.

– Okropny z ciebie typ – mówię.

Przy stole pojawia się kelner, koleś o ściętych na krótko, czarnych włosach i z plamami od sosu na fartuchu. Wyciąga bloczek.

– Co podać? – pyta niecierpliwie. Na widok Camerona wyciąga rękę.

– O kurde. Co u ciebie, chłopie?

Przybijają sobie piątkę i śmieją się.

Spuszczam głowę, na wypadek gdyby Camerona krępowano, że jest ze mną widziany, on jednak wypowiada na głos moje imię. Przerazona, powoli podnoszę oczy.

– Savannah – mówi, wskazując kciukiem kelnera – poznaj Reggiego. Chodziliśmy razem do szkoły.

– No, dopóki tego pojeba nie wykopali – mówi Reggie z uśmiechem. – Masz u mnie przesrane, chłopie. Po twoim odejściu Kapitan Wredota zrobił się nie do wytrzymania. Słyszałem, że zmieniają patrona biblioteki.

– I dobrze – stwierdza Cameron.

Reggie mówi jeszcze, że miło mu mnie poznać – i wydaje się, że tak rzeczywiście myśli. Gdy gadają z Cameronem na wspólne tematy, ponownie rozglądam się po sali. Patrzę na tych ludzi i próbuję sobie wyobrazić Camerona pośród nich. Wcinającego pizzę i skrzydełka. Grającego w rzutki. Jakkolwiek bym nie próbowała, on mi tu nie pasuje. Może kiedyś było inaczej.

– Dobra – mówi Reggie. – Zaraz przyniosę wam skrzydełka. – Znów przybijają piątkę i chłopak się oddala. Gdy zostajemy sami, zerkam na Camerona.

– Czemu mnie tu zabrałeś? – pytam.

– Na pizzę.

– Chciałeś mi udowodnić, że twoi kumple to nie żadne bubki – sugeruję.

– Nieprawda. Nie wiedziałem, czy spotkamy dziś kogoś z moich znajomych.

Nie byłem tu, odkąd rozstałem się ze szkołą.

– Odkąd cię wylali – prostuję.

– Hej! Co się stało z obietnicą, że będziesz dla mnie miła? – oburza się.

– Powiedziałam, że może zacznę być dla ciebie miła.

– Racja.

Reggie podrzuca nam dwa napoje, a gdy zanurzam w swoim słomkę i pociągam łyk, Cameron opiera łokcie o stół. Przysuwa się bliżej i wpatruje we mnie badawczo.

– Spodobałoby się tutaj twoim przyjaciółom?

Wzmianka o przyjaciółach jest jak cios w pierś. Nie bardzo wiem, jak bez nich przetrwać – jak to wszystko ogarniać, dopóki nie wrócą. Ale muszę. Nie wydaje się, bym miała jakiś wybór.

– Owszem – informuję Camerona. – Pewnie by im się spodobało. Chociaż Retha mogłaby zaraz wziąć się z kimś za łąby.

Cameron nadal mi się przygląda.

– Mogę załatwić Evanowi innego xboxa, jeśli chcesz – mówi od niechcienia, tak że bym nie dostrzegła, że proponuje mi wsparcie. Mogłabym się założyć, że szykował się, żeby o to zapytać, odkąd pojawiłam się u niego w domu.

– Nie trzeba – mówię. – Poza tym tata też by go pewnie sprzedał.

Cameron zaciska szczęki, ale nie draży tematu. Nie mogę od niego przyjąć kolejnej konsoli, nawet ze względu na brata.

– Czy twój tata... – Waha się. – On cię nie bije ani nic takiego, prawda?

Patrzę mu w oczy. Tak bardzo się o mnie troszczy. Dotąd mogłam liczyć tylko na Rethę i Trvisa. Dlaczego Cameronowi tak na mnie zależy?

– Nie. – Kręcę głową przecząco. – Dziabnęłabym go, gdyby spróbował.

Cameron uśmiecha się nieznacznie.

– Wyobrażam sobie.

– Tata jest zmęczony – mówię. – Zmęczony życiem. Zmęczony Evanem. Zmęczony mną. Myśli, że gdyby nie narodziny mojego brata, mama by nie odeszła.

– Jestem pewien, że tak naprawdę go o to nie obwinia – zaprzecza Cameron.

– Nieprawda – mówię. – Obwinia. A kiedy dziś wrócę do domu, nadal będzie napruty.

– To nie powinnaś wracać – stwierdza Cameron.

– Pomysł super, ale nie marzy mi się sypianie na parkowych ławkach.

Reggie przynosi do naszego stołu srebrną tacę z wysoką stertą skrzydełek. Kiedy kładzie ją na stole, kilka sztuk spada na ceratowy obrus w kratkę. Zapach pikantnego sosu kręci mnie solidnie w nosie i nie mogę powstrzymać uśmiechu, kiedy Reggie podaje nam serwetki i życzy smacznego. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam skrzydełka.

Cameron od razu łapie jedno, a ja, akurat wtedy, gdy się w nie wgryza, widzę, jak otwierają się drzwi restauracji. Mój uśmiech gaśnie, coś zapiera mi dech. Cameron odkłada swoje skrzydełko.

– Co się dzieje? – pyta, ocierając usta.

Nie od razu odpowiadam. Bo w drzwiach stoi Patrick z trójką swoich przygłupich kumpli, żartując sobie z hostessą. Sińce na mojej twarzy zaczynają boleć, a skórę mrozi strach. Widziałam tę nienawiść w jego oczach, nie dopuszczę do tego, by znów mnie skrzywdził.

– Musimy wyjść – mówię szeptem do Camerona.

– Co takiego? Przecież dopiero co...

– Proszę – nalegam, kuląc się. To okropne, że tak się boję. Okropne jest też to, że Cameron będzie chciał wiedzieć, o co chodzi.

Przygląda mi się, ale kiwa głową.

– No, dobra – mówi, wyjmując portfel i rzucając na stolik kasę. – Ale wpadniemy na lody.

Zmuszam się do uśmiechu, mając nadzieję, że wyjdziemy, zanim Patrick mnie zauważy. Cameron spogląda tęsknie na skrzydełka, a potem odsuwa krzesło. Ale nim zdąży wstać, Patrick już rozgląda się po sali, zapewne w poszukiwaniu znajomych, i jego wzrok pada na mnie. Czuję się, jakby z pomieszczenia wyssano całe powietrze, i czym prędzej opuszczam głowę.

– Czy to...? – Wyraźnie słyszę pytanie rzucone głośno przez Patricka. Nie kończy zdania, ale wiem, że mówi o mnie. Cała tężeję, zaciskam szczęki, a także pięści pod stołem.

Cameron wstaje, ja jednak ani drgnę, nie chcąc bardziej zwracać na siebie uwagi. Zresztą i tak nie wyminęłabym Patricka. Już idzie między stolikami, wpatrując się we mnie z wściekłością.

– Patrzcie, co my tu mamy – mówi, udając rozbawionego. – Sukon wybrała się na randkę.

Cameron pospiesznie odwraca się do niego, a potem znów do mnie, na jego twarzy maluje się zdziwienie. Pragnę go przeprosić, choć wiem, że to przecież nie moja wina. Najpierw jednak musimy się stąd wydostać. Zaczynam się podnosić, ale przy stole staje Patrick, blokując mi drogę ucieczki.

Jego twarz mrocznieje.

– Powiedziałem ci, że jeszcze z tobą nie skończyłem.

– Skończyłeś definitywnie – mówi Cameron, przepychając się koło niego, żeby wziąć mnie za rękę i podnieść z krzesła. Chociaż Patrick jest od niego wyższy, postura Camerona powinna mu co najmniej dać do myślenia. On jednak wybucha śmiechem.

– Powodzenia – mówi do Camerona. – Sukon...

Tej obelgi jednak nie udaje mu się dokończyć, bo Cameron odsuwa go na tyle mocno, że Patrick wpada na stół. Błat się przechyla, skrzydełka i napoje leżą na podłodze. Słychać trzask kubków, szczękają sztucce.

Cameron schyla się, by postawić Patricka na nogi, ale podbiega Reggie i chwyta go za koszulę.

– Wyluzuj, chłopie – mówi, odciągając go od Patricka. Stojąc za Cameronem, obejmuje go oburącz na wysokości klatki piersiowej. Podbiega jeszcze jeden kelner i po drugiej stronie stołu pomaga Patrickowi wstać. Reggie nachyla się do ucha Camerona.

– Lepiej zmyjcie się stąd, zanim któryś z tych palantów zadzwoni na policję. Wiesz, jacy oni są.

Cameron ma w oczach szaleństwo, jakby mimo wszystko zamierzał się bić, ale Reggie szepcze jeszcze coś o warunkowym zawieszeniu. Cameron rzuca przekleństwem, a potem, jakby sobie właśnie przypomniał, że też tu jestem, ogląda

się. Nie wydaje się nawet trochę zakłopotany tym, że wszczął bójkę. Zamiast tego śmieje się i wyciąga do mnie dłoń.

Reggie puszcza go.

Biorę Camerona za rękę i szybko prowadzę nas do wyjścia, żeby Patrick i jego kumple nie zdążyli się przegrupować. Wolałabym uniknąć ich napaści, a już na pewno nie życzę jej Cameronowi.

Wychodzimy w chłód nocy i kierujemy się do jego samochodu. Upewniam się, czy nikt za nami nie idzie. Adrenalina buzuje mi w żyłach.

– Nie musiałeś tego robić – mówię do Camerona, gdy podchodzimy do auta.
– Mogliśmy po prostu wyjść.

– To był ten przypał z furgonetki, tak? – pyta Cameron. – Jeżeli tak, samo odejście by go nie odstraszyło. – Nieruchomieje, a do mnie dociera, że z całych sił powstrzymuje wybuch gniewu.

– To przez niego masz sińce na twarzy, zgadza się? – pyta.

Przepełnia mnie wstyd, dojmujący i bolesny.

– Nieważne – mówię, ciągnąc za klamkę, żeby wsiąść do auta. Zamknięte.

– To on? – pyta Cameron.

– Otwórz drzwi.

– Powiedz.

Uciekam w drwinę.

– Niby czemu? Żebyś skopał mu dupę i trafił do pierdła? Dzięki, ale nie, Cameron. Nie muszą za mnie mówić twoje pięści.

– Mogą mówić za nas oboje – proponuje.

Gapię się na niego, a potem pozwalam sobie na mały uśmiech.

– Masz jebitnie słabą wolę – mówię. – Nie powinienes ulegać gwałtownym odruchom.

– A on nie powinien wyskakiwać do ciebie z łapami – mówi poważnym tonem, jakby z głębi duszy, jakby go to bolało. No tak, mnie też boli. Mruganiem tłumię łzy, które szczypią mnie w oczy.

– Mówiąc ściśle, to ja dziabnęłam go pierwsza – przypominam.

– Należało mu się.

Wycieram nos, zanim zacznie mi z niego kapać, i odwracam głowę.

– Nie obiecywałeś lodów? – pytam, nie mogąc jeszcze na niego spojrzeć.

Cameron otwiera kliknięciem zamek w aucie, żadne z nas jednak nie wsiada. Czuję, że czeka na mnie, więc podnoszę wzrok.

– Jedziemy do mnie? – pyta. – Mamy lody. Nawet takie z najróżniejszymi dziwactwami typu żelkowe dżdżownice.

– Nie znoszę żelkowych dżdżownic.

– Mamy też czekoladę.

Zagryzam wargi, próbując powstrzymać uśmiech. Nie muszę do niego

jechać. Mogłabym zażądać, żeby odwiózł mnie do domu.

Ale tam też jeszcze nie chcę wracać. Nadal jestem wkurzona na ojca.

– Zjem te dziwactwa – mówię do Camerona i otwieram drzwi auta.

ROZDZIAŁ 16

Rodziców Camerona nie ma w domu, siedzimy więc przy stole w kuchni, na którym stoi pojemnik z lodami. Nie zwracamy sobie głowy przekładaniem ich do pucharków.

– Mówiłam poważnie – oznajmiam, przesuwając po języku zimną łyżeczką.
– Nie chcę, żebyś się przeze mnie bił. Masz dosyć własnych problemów.

– Zgoda – mówi.

Wytrzeszczam oczy.

– Tak po prostu „zgoda”? Bez dyskusji? Zawsze przecież dyskutujesz.

Jęczy.

– Jak nie chcesz, żebym się bił, to nie będę. – Nabiera łychę lodów i pakuje sobie do ust.

– Od tej chwili – oświadczam – nie załatwiamy naszych problemów pięścią. Stoi?

Jego ciemnobrązowe oczy odnajdują moje i dostrzegam tam coś z lekka niepokojącego. Upór. Ale podnosi łyżeczkę, jakby czekał, że przybijemy sobie łyżeczkową piątkę. Stukam więc swoją łyżeczką w jego i wracamy do jedzenia.

Cameron przerywa, przygląda mi się.

– Zdecydowanie powinnaś zostać tutaj na noc – mówi.

– Nie mogę.

– Czemu nie? To nie jest ławka w parku.

– A co z twoimi rodzicami? – pytam.

– Nie będą robić problemów. Przecież nic nie kombinujemy. Jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciele sypiają u siebie.

– Idiota.

– Chcesz tu zostać, prawda?

– Nieprawda. – Choć w sumie to chcę zostać. Nawet gdybym miała spać na dywanie w salonie, byłoby to lepsze niż powrót do mojego domu.

– Jeżeli moja mama poprosi cię, żebyś została, zgodzisz się? – dopytuje Cameron.

– Nie.

Oblizuje łyżeczkę, przyglądając mi się ironicznie.

– Okej.

* * *

Cameron pozwala mi skorzystać z fluidu Kendry, żebym zamaskowała siniaki na policzku. Za nic bym nie chciała, żeby jego rodzice je zobaczyli, bo dowiedzieliby się, w jakie bagno się wpakowałam.

Kiedy Kendra i Marcel wracają do domu, a więc godzinę później, Cameron podchodzi do swojej mamy i mówi jej coś prawie bezgłośnie. Ona momentalnie spogląda na mnie.

– Zdecydowanie powinnaś u nas przenocować, Savannah – mówi, jakbym się z nią spierała. – Skoro twój tata wyjechał, będę spokojniejsza, wiedząc, że jesteś tu z nami.

Mam ochotę przywalić Cameronowi w krtań, ale dopiero co uzgodniliśmy, że nie będziemy rozwiązywać naszych problemów siłowo.

– Nie mogę tu zostać – informuję uprzejmie Kendrę.

– Możesz – mruczy Cameron i siada na kanapie. – Tylko nie chcesz.

– To nieprawda – mówię.

– A więc zostaniesz? – pyta Kendra.

Gdybym teraz powiedziała „nie”, wyszłabym na straszną buraczkę, układam więc usta w uśmiech i mówię „tak”. Kendra uśmiecha się szeroko i pyta, czy jesteśmy po kolacji. Wymieniamy z Cameronem spojrzenia, nie chcąc wspominać o naszej wizycie w Vince’s Pizza, i Cameron oznajmia, że kona z głodu.

Wychodzi na to, że Kendra zamawia nam na kolację pizzę i tym razem mogę się najeść. Nie zawracam sobie głowy dzwonieniem do taty, żeby wiedział, gdzie jestem. Wątpię, czy zauważy moją nieobecność i czy się tym przejmie.

Po kolacji Cameron i jego tata oglądają razem końcówkę meczu koszykówki. Chłopak uprzedził mnie, że tata wciąż jest na niego wkurzony za zdemolowanie szkoły. Kiedy mój tata jest na mnie wkurzony, wrzeszczy. Albo wychodzi. Na pewno nie prosi mnie o podanie popcornu.

Ale choć znalazłam się w alternatywnej rzeczywistości z sitcomu, czuję się bezpiecznie. A nie czułam się tak od długiego czasu.

* * *

– Na pewno nie chcesz spać w moim pokoju? – pyta Cameron, rozkładając koce na kanapie. – Równie dobrze ja mogę tu zostać.

W pokojach gościnnych w domu Camerona, zwracam uwagę na liczbę mnogą, wymieniana jest wykładzina. A ten w piwnicy przechodzi remont, bo dodają kolejną łazienkę. Kolejną łazienkę. A mają już cztery.

– Nie – mówię, biorąc z szafy z pościelą poduszkę. – To twój dom. Ty powinieneś spać w łóżku.

– Ale...

– Nie. – Odwracam się do niego, gotowa się rozzłościć. Ale zamiast tego czuję kołatanie serca. Stoi bliżej niż myślałam, w piżamie wygląda na słodkiego śpioszka. Jak każdy – tylko seksowniej. Ja mam na sobie jeden z dresów Kendry, ciaśniejszy niż to, co zwykle noszę, ale tak miękki, że nie robi mi to różnicy.

Cameron obcina mnie wzrokiem i przez chwilę... Wydaje mi się, że mnie

weźmie w ramiona. Ale tego nie robi. Rusza do swojej sypialni.

– Dobranoc, Sutton – mówi. – Jeśli później poczujesz się samotna, bez krępacji włącz do mnie do łóżka. – Idzie krótkim korytarzykiem do swojego pokoju i zamyka za sobą drzwi. Już zza nich woła: – Rano będą naleśniki.

– Świetnie – odpowiadam, nie będąc w stanie ukryć uśmiechu. Kiedy zostaję sama w salonie, siadam na kocu, podnosząc w górę kolana i obejmując się rękoma. Już teraz powinnam iść do Camerona. Myślę, że tego chce. To nic trudnego.

Zerkam na jego drzwi, a puls mi przyspiesza.

– Kretynka – mruczę pod nosem i walę się na kanapę, zakrywając twarz ramieniem. Zniszczyłabym to, co mamy. A przecież nie chcę. To jest fajne. Tylko to mam teraz fajnego poza Evanem.

Na wspomnienie brata w serce wsącza mi się spokój, zamykam więc oczy i pozwalam sobie odpłynąć w sen.

– Savannah – w moje ucho wkrada się jakiś głos, widzę jakiś cień czy ruch. – Savannah.

Podnoszę powieki i tuż nad sobą widzę Camerona. Zrywam się i odpycham go, przez co ląduję na tyłku.

– Przepraszam – szepcze, podnosząc w górę ręce.

– Co ty odpierdalasz? – pytam zaniepokojona. Rozglądam się po pokoju i widzę, że jest jeszcze ciemno.

Wpatruje się we mnie przez chwilę, pogubiony.

– Ty... – Waha się. – Wołałaś mnie.

Twarz ma obrzękłą od snu, włosy zmierzwione.

– Wołałam? – upewniam się.

– Tak – potwierdza. – Głośno. Dobrze się czujesz?

– Dobrze. Po prostu... Krzyczałam?

Kiwa głową.

– Wołałaś mnie na pomoc. Brzmiało to tak, jakbyś się bała. Pomyślałem... sam nie wiem. Myślałem, że coś ci się stało.

Skóra lepi mi się od potu, koszmary sen czai się w zakamarkach pamięci. W nozdrzach czuję nadal zapach wody kolońskiej Patricka. Policzek boli.

Trę twarz dłonią, ale nie mogę się z tego otrząsnąć. Nie mogę się otrząsnąć z tego, jak Patrick mnie sterroryzował. Zaciskam powieki, a kiedy słyszę, że Cameron wstaje, wiem, że idzie do swojego pokoju.

Jestem zdezorientowana, wciąż jeszcze trochę przerażona. Cameron wraca, ciągnąc za sobą koc i poduszkę.

– Co robisz? – pytam. Rzuca pościel na podłogę koło mnie.

– Sutton, nie dyskutuj – mówi. – Po prostu śpij. – Kładzie się na dywanie i kuli tyłem do mnie.

– Ale...

– Tu będę spał – oznajmia.

Zamykam buzię na kłódkę, wpatrzona w jego plecy. Nie wiem, jak mu dziękować, bo nigdy jeszcze nikt nie poświęcał mi tyle czasu, co on. Chciałabym móc tak bardzo zmienić swoje życie, żebym mogła się z nim związać. Gdyby sprawy układały się inaczej, mogłabym być jego dziewczyną. Ale jest jak jest. I nie ma co się oszukiwać.

* * *

– Jak się spało? – pyta mnie przy śniadaniu Marcel. Nakłada masło na swoje naleśniki, a potem sięga po kawę. Jest wcześnie. Za wcześnie na rozmowy.

– Dobrze – mówię mimo to. Cameron siedzi naprzeciwko mnie, je śniadanie i od czasu do czasu uśmiecha się do mnie. Wydaje się dumny z tego, że skłonił mnie do zostania na noc.

Za pół godziny mamy być w szkole. Mam na sobie ciuchy Kendry. Te też są na mnie za ciasne, ale o wiele bardziej stylowe niż cokolwiek z tego, co normalnie noszę. Łącznie z *tą bluzką*.

– Masz jeszcze ochotę na sok, kochanie? – woła Kendra, stojąc przed lodówką. Nie wiem, czy to mnie pyta, ale gdy nikt inny nie odpowiada, chrząkam.

– Och, hmm... Nie, dziękuję. Musimy jechać do szkoły. – Patrzę na Camerona, a on wykrzywia wargi z niesmakiem, po czym odgryza kęs bekonu.

– Moglibyśmy sobie dziś odpuścić – sugeruje.

Jego tata z hukiem odstawia kubek.

– Co to ma znaczyć? – pyta. Nie wydaje się rozbawiony. Ciekawe, czy wie, jak często jego syn opuszcza lekcje.

Cameron przewraca oczami.

– Spokojnie, tato. Żartowałem.

– Lepiej, żeby tak było – mówi Marcel tak stanowczo, że czuję się niezręcznie. – Jeśli nie skończysz szkoły, nici z umowy.

Kendra opiera się o blat, patrzy na męża. Wydaje się zmartwiona, widocznie myśli o tym jakimś układzie, który jej mąż zawarł z synem.

Cameron spuszcza wzrok.

– Daruj już sobie, tato.

– Nie „daruję sobie”. Chcesz zmarnować sobie życie? Proszę bardzo. Najpierw jednak skończ szkołę średnią. O wiele nie proszę.

Cameron gapi się w talerz, na policzki wypełza mu różowy rumieniec. Ojciec zawstydzona go na moich oczach, budzi się we mnie lekka złość.

– Spadam stąd – mamrocze Cameron, odsuwając krzesło z głośnym szurgotem.

Bierze swój talerz i zanoszą go do zlewu. Szczęk wrzucanego naczynia sprawia, że podskakujemy do góry.

Cameron wychodzi, słyszę, jak otwierają się i zamykają drzwi wejściowe. Nie jestem pewna, co powinnam zrobić. Pogonić za nim? Napić się jeszcze soku?

– Savannah – odzywa się niespodziewanie Kendra. – Dopilnujesz, żeby dotarł do szkoły? Zrób to dla mnie.

– Tak – mówię. Ale przed wyjściem patrzę jeszcze na Marcela. – Nie powinien pan tego robić przy mnie. Zawstydził go pan. – Tata Camerona wydaje się zmieszany, opuszcza oczy.

Kendra podchodzi, by zabrać mój talerz, i patrzy na mnie.

– Dobrego dnia – mówi. W jej głosie słyszę czułość, wyciąga rękę, żeby odgarnąć mi z twarzy włosy.

Przez moment mam ochotę ją uściskać. Dorośli zwykle zwracają się do mnie inaczej – nie tak po matczynemu. Dziękuję jej i wychodzę poszukać Camerona.

Chłopak siedzi już w samochodzie, czekającym na jałowym biegu na pojeździe. Wsiadam, ciesząc się przynajmniej z tego, że w środku jest ciepło. Odwracam się do niego.

– Wesole rodzinne śniadanie – mówię. – Czemu twój tata tak się wkurzył?

– Przepraszam za to – odzywa się cicho.

– Nie przepraszaj. Mój ojciec zastawił twojego xboxa, więc...

Cameron zerka na mnie z ukosa.

– Powiedzmy, że tata nie jest tak skory do wybaczenia, jak mama. Wiesz, to w końcu sto tysięcy.

– Fakt.

– Będzie dobrze. Musiał wybulić kasę, ma więc prawo się złościć. Chociaż gdyby pozwolił mi wtedy rzucić szkołę, do niczego by nie doszło.

– Nie rozumiem – mówię. – Ja nigdy nie chciałam rzucić szkoły. Tylko dziabnęłam kogoś na matmie. Czemu właściwie tak strasznie chciałeś przerwać naukę?

– Bo chcę zmarnować sobie życie – uśmiecha się.

– Zawsze możesz uciec – sugeruję. – Choć w sumie nie jestem pewna, czemu miałbyś chcieć.

– Czego? W sensie uciec z domu?

– No.

– Nie, to nie w moim stylu.

– Jasna sprawa. A ta umowa, o której mówił twój tata? Co będzie, jeśli przestaniesz chodzić do szkoły?

– Okropnie jesteś dzisiaj ciekawska, Sutton.

– Widać zarażłam się od ciebie. To co z tą umową? – Tak naprawdę, to jestem zafascynowana. Im więcej dowiaduję się o Cameronie i jego niedoskonałościach, tym doskonalszy z niego facet.

– Tata powiedział, że jeśli nie skończę Brooks Academy, sam będę musiał

zapłacić za szkody. Musiałbym sprzedać samochód, wszystkie swoje rzeczy. W grę wchodziłyby jeszcze wszystkie pieniądze, jakie mam na kontach oszczędnościowych. Wszystko, co do tej pory uzbierałem. A i to by nie wystarczyło, jak twierdzi ojciec. Resztą długu zajęłoby się państwo. Zajęliby moje dochody. Rozumiesz, gdybym kiedyś znalazł sobie pracę. A ja... Naprawdę lubię swoją brykę. Więc zgodziłem się na warunki postawione przez ojca.

– Też naprawdę lubię twoją brykę – mówię. – Serio myślisz, że twój tata by tak zrobił?

– Mógłby. – Cameron bierze oddech. – Zdecydowanie mógłby.

– Lepiej niech się więc nie dowie, jak często opuszczasz lekcje.

– To będzie nasza tajemnica – szepcze.

Odchylam głowę na oparcie, obserwuję go.

– Ale czy to nie chore? – pytam. – Tak jak to, że dzień w dzień wzajemnie sobie dogryzacie?

– Niezbyt. To przecież mój tata, nie?

Przytakuję, ale dla mnie to nie ma sensu. U mnie w domu złości się nie ukrywa.

– Jeśli ci się nudzi, możemy zostać tu na podjeździe i się poprzytulać – mówi Cameron, wrywając mnie z rozmyślań. Śmieje się z mojej miny.

– Nie tym razem – odpowiadam, rumieniąc się. – Poza tym lepiej będzie, jak dotrzesz dzisiaj do szkoły. Podoba mi się jeżdżenie po mieście w twojej beemce. Wkurzyłabym się, gdyby ci ją zabrali.

– Miło, że troszczysz się o moje dobro.

– I pewnie jesteś już bliski wyczerpania limitu nieobecności.

– Mam jeszcze jeden dzień w zapasie – mówi. – Zrobimy sobie wagary?

– Nie. Nie ruszam swojego limitu na wypadek, gdyby Evan mnie potrzebował.

Cameron patrzy we wsteczne lusterko i wycofuje samochód z podjazdu. Gdy zmienia bieg, nachylam się i całuję go w policzek. Nie mogłam się powstrzymać. Nie mogłam patrzeć, jak siedział w domu taki smutny i upokorzony.

Kiedy się prostuję, drżą mi ręce. Usta Camerona układają się w uśmiešek.

– Sutton, ty lepiej uważaj – ostrzega, wpatrując się w drogę. – Bo jeszcze skończy się tym, że się we mnie zakochasz.

ROZDZIAŁ 17

Pod nieobecność Rethy i Trávisa nie mam transportu do szkoły i z powrotem. Boję się chodzić pieszo, za duże ryzyko, że gdzieś dopadnie mnie Patrick. Już nie udaję, że sama dam sobie radę. Nie proszę, ale Cameron i tak po mnie przyjeżdża, a potem odwozi do domu. Cieszę się, że obyło się bez proszenia, bo nie jestem pewna, czy bym się na to zdobyła. Podoba mi się, że tak naturalnie wpadliśmy pod tym względem w rutynę. I to, że on po prostu wyczuwa, czego potrzebuję, i to, że w zamian zawsze otrzymuje ode mnie zwykłego całusa w policzek.

Po szkole Cameron parkuje pod moim domem i czeka za mną na autobus Evana. Prosiłam, żeby tego nie robił, ale stawia na swoim. Jest bardzo przekonujący z tym głupim uśmiechem.

- Piątek dzisiaj – zagaja, nie patrząc na mnie.
- Bosko – mówię bez entuzjazmu.
- Chciałabyś się gdzieś ze mną wybrać?
- Nie mogę. Evan jest dziś ze mną. Kathy ma jakieś spotkanie – śmieję się.
- Moja ciotka ma więcej z życia niż ja.

– Co ty na to, żebyście z Evanem wpadli do nas? – pyta. – Moja mama chętnie go pozna.

– Nie możemy. – Ale gdy o tym myślę, wiem, że Evan byłby zachwycony, mogąc zobaczyć dom Camerona. Może miło byłoby też Kendrze, gdybym pozwoliła jej się nad nim trochę porozczulić.

– Savannah, zgodziłabyś się, żeby Evan przyjechał dziś do nas na kolację? – pyta Cameron łagodnie. – Zaraz potem odwiozę was do domu.

Czuję w piersi ciężar, bo wiem, że mu na mnie zależy. Chciałabym zrewanżować się tym samym, ale nie rozumiem, czemu on pragnie się w coś takiego angażować.

- Dlaczego? – pytam. Chyba się pogubił.
- Dlaczego co?
- Dlaczego chcesz, żebyśmy przyjechali?

Cameron milczy, patrzy w górę ulicy.

– Tak po prostu chcę.

I ta odpowiedź też jest prosta. To nie wyznanie miłości ani żart; to oznacza coś więcej. Czuję, jak bardzo chce, żebym przyjechała. I żeby Evan przyjechał. Czuję się... kimś szczególnym. Autobus brata skręca w naszą ulicę.

- Jest już Evan – mówię.
- Cameron opuszcza głowę.
- Do zobaczenia.

– Hej. – Klepię go po udzie. – Przyjedziemy na tę kolację czy co to tam będzie.

Uśmiecha się, jakby wiedział, że tamto dopytywanie oznaczało zgodę.

– Zaczekam tutaj.

Przewracam oczami i wychodzę, żeby zdążyć zanim przyjedzie autobus Evana. Braciszek będzie zachwycony. Spotkanie się z ludźmi zawsze go uszczęśliwia.

– Cameron przyjechał! – krzyczy Evan, pędząc do samochodu. Boję się, że liczy na nową konsolę, w zastępstwie za tę, którą nasz tata sprzedał. Kiedy do niego dobiegam, on już wisi w oknie beemki.

– Naprawdę? – mówi. Odwraca się do mnie, robi wielkie oczy. – On chce mnie zabrać na przejażdżkę swoim samochodem!

– Wiem – potwierdzam. – Usiądziesz z tyłu i zapniemy pasy.

Evan tak się wierci i popiskuje, że siadam z nim.

– Czuję się jak szofer – stwierdza Cameron. Jedziemy do niego.

– Szkoda, że tu nie ma takiej szyby, którą mogłabym zasunąć, żeby cię nie słyszeć – odpowiadam. Evan wybucha śmiechem.

– Hej – Cameron ogląda się na niego – myślałem, że ty trzymasz ze mną.

– Ja trzymam z Savannah.

– Dziękuję ci – mówię i przytulam go do siebie.

Kiedy w lusterku patrzę Cameronowi w oczy, sprawia wrażenie zadowolonego. A gdy chcę odwrócić wzrok, mruga do mnie.

* * *

Nie jestem pewna, czy Evan da się namówić do powrotu do domu. Kendra weszła na najwyższe obroty, pieką razem brownie i robią prace plastyczne. Obserwuję to z niezmiernym podziwem. Jej cierpliwość to coś pięknego. Bije Kathy na głowę.

– Sutton – mówi Cameron. Stoję przy zlewie i oglądam się na niego przez ramię.

– Co?

– Chcesz pograć w bilard? – pyta.

– Nie. Robi się późno. Powinniśmy wracać.

– A może basen? Moja mama pożyczy ci kostium.

– Nie. Może innym razem.

Uśmiecha się lekko.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś miała ochotę.

– Zamknij się. – Odwracam się, żeby jeszcze przez chwilę popatrzeć na brata.

Evan chichocze i coś koloruje. Jest taki szczęśliwy, że marzy mi się, żeby

mógł właśnie tak dorastać. Z mamą, w ładnym domu, nawet z tym głupim basenem. To nie w porządku, że ma tylko mnie. Dobra, ma też Kathy. Ona jednak w niczym nie przypomina Kendry. Moja ciotka wykasowała mnie ze swojego życia, nie czekając na wyjaśnienia. Poza nią nie miałam nikogo, kto mógłby się o mnie zatroszczyć. W jakim świetle ją to stawia? Z pewnością nie nadaje się na matkę. Przynajmniej nie w moich oczach.

– Hej – mówi cicho Cameron.

Pociągam nosem.

– Co znowu?

Staje przede mną, żeby przyjrzeć się mojej twarzy, i widzi, że zebrało mi się na płacz. Nie komentuje tego ani słowem, jedynie odwraca się i podchodzi do stołu.

– Mamo – mówi. – Przykro mi, że przerywam wam zabawę, ale Evan musi już wracać.

Kendra szturcha go w biodro.

– Oj, ale my się tak świetnie bawimy. – Skupia teraz uwagę na moim braciszku, mierzwi jego jasne włosy. – Evanie – mówi. Mały podnosi na nią rozradowany wzrok. – Bardzo miło było mi cię poznać.

– Mi też było miło. – Ale ani drgnie.

– Mam nadzieję, że wkrótce znowu nas odwiedzisz – mówi Kendra, nie dostrzegając tego.

Zalewa mnie fala mdłości. Mój brat się rozpłacze. Tutaj. Teraz.

– Evan – mówię spokojnie. – Czas do domu, młody.

Braciszek odwraca się do mnie, mina mu rzednie.

– Nie chcę iść.

Zerkam szybko na Camerona, ale on też jeszcze nie kuma.

– Evan – powtarzam, podchodząc do brata. – Musimy już iść. Czas wracać do domu.

Evan wpatruje się we mnie, w jego krystalicznie błękitnych oczach wzbierają łzy.

– Ale ja chcę zostać.

Kendra się prostuje. Klękam przed braciszkiem i kładę dłonie na jego ramionach.

– Musimy wracać – szepczę.

Evan niemal natychmiast zaczyna łkać. Gwałtownie, niepoohamowanie.

– Nie! – wrzeszczy.

Czuję się upokorzona i zła na siebie, że do tego dopuściłam. Nie należało go tu przywozić. Nie powinnam pokazywać mu takiego życia. To nie nasz świat.

– Chodź już – mówię, podnosząc się.

Wrzeszczy, zmiata kredki ze stołu. Czym prędzej się schylam, zbieram je

i kładę z powrotem na stole. Kipi we mnie złość. Evan musi przestać. Wyjść stąd.

Kendra i Cameron trzymają się z boku i jestem im za to wdzięczna. Ludzie przeważnie postępują inaczej. Próbują pocieszać Evana lub pouczają mnie, jak mam nad nim zapanować, a to tylko wszystko pogarsza. Biorę oddech, żeby się uspokoić, starając się nie stracić kontroli nad sytuacją. Evan ryczy i jęczy wniebogłoso.

Z dużego pokoju nadchodzi Marcel i zatrzymuje się w drzwiach, wybałuszając oczy na tę scenę.

– Evan, wstawaj – mówię, nie podnosząc głosu, i biorę brata za rękę.

– Ja. Nie. Pójdę!

Zgarniam go więc z podłogi, choć wierzga. Przytrzymuję mu rękę i bez słowa wynoszę go aż na zewnątrz, by poczekać tam na samochód Camerona. Nie cierpię tak go poskramiać. Nie cierpię też, gdy inni widzą go właśnie takiego. Bo nie jest wtedy sobą. Nie to jest w nim ważne.

Przygarniam Evana do siebie, kołyszę przy piersi. Żałuję, że mój braciszek nie ma mamy, która stale by go tak traktowała. Szepczę mu we włosy:

– Nie płacz. Proszę, już nie płacz.

– Chcę tu zostać – szlocha.

– Ja też. – Mrugam i podnoszę oczy ku niebu. Trzaskają drzwi wejściowe i idzie do nas Cameron z kluczami do auta w dłoni i bardzo skruszoną miną.

Stoję przy samochodzie, płacz Evana zaczyna cichnąć. Spotykamy się z Cameronem wzrokiem nad dachem auta. Chłopak przełyka ślinę i otwiera zamki.

Evan leży mi na kolanach, to dygocząc, to kwiląc. Zaczynam popadać w otępienie. Gdy dochodzi do czegoś takiego, muszę być otępiała. Inaczej byłoby zbyt ciężko.

Gdy podjeżdżamy pod dom, na podjeździe nie ma furgonetki ojca. Chwała Bogu. Nie marzy mi się wyjaśnianie, gdzie byliśmy.

Cameron gasi silnik, wysiada i obchodzi samochód, żeby otworzyć nam drzwi.

Wyciąga rękę po Evana, ale kręcę głową i podsuwam mu łokieć, by mi pomógł przy wysiadaniu.

Poprawiam sobie Evana w ramionach, czuję, że zasnął.

– Savannah – mówi szeptem Cameron, ale teraz nie czas na rozmowę.

– Dzięki – ucinam, cokolwiek chciał powiedzieć. – Za kolację i wszystko.

Otwiera usta, jakby chciał dodać coś więcej, ale rezygnuje i tylko kiwa głową. Od początku wiedziałam, że dopuszczenie go tak blisko było głupotą. Moje życie na to nie pozwala. Zbyt wiele miejsca zajmuje w nim Evan. Dla Camerona nic nie zostaje.

Zaczynam iść w stronę domu, łzy muszą poczekać, aż znów będę sama. Evan przelewa mi się przez rękę, schodki na ganek wydają się wyjątkowo strome.

– Dobranoc, Savannah – woła Cameron. W jego głosie słyhać smutek.
Odpowiadam: żegnaj. Bo nie zostało mi już nic, co mogłabym mu dać.

* * *

Evan śpi ze mną w moim pokoju. Nie budzi go nawet mój płacz. Płacę z żalu, że sprawy nie ułożyły się inaczej. Że on nie jest inny. A potem siebie za tę myśl nienawidzę.

Rano, gdy wstaję, Evan śpi skulony pod kołdrą. Całuję go w czoło. Zamykam za sobą drzwi pokoju i idę do kuchni.

Robi mi się niedobrze.

– Gdzie byliście wieczorem? – pyta mój tata, siedząc przy stole. Ubrany jak szmaciarz, wyraźnie walczy z kacem. Świdruje mnie wzrokiem, a ja patrzę w bok; jest mi za niego wstyd.

– Pojechaliśmy z Evanem do znajomych na kolację. – Podchodzę do blatu i biorę dzbanek do kawy, żeby napełnić go wodą.

– Jak miło – mówi. – Nie pomyślałaś, że powinnaś zadzwonić?

Nie.

– Nie było cię w domu. Wróciliśmy wcześniej.

Słyszę, jak ze zgrzytem odsuwa talerz.

– Nie wiem, co w ciebie wstąpiło – oświadcza. – Co ty wyprawiasz?

Zaciskam szczęki i leję wodę do dzbanka.

– Nic nie wstąpiło.

– Serio? A przebicie komuś dłoni ołówkiem to coś normalnego?

– Czepiał się Evana.

– To mnie nie obchodzi, Savannah. – Ojciec podnosi się i przechodzi przez kuchnię, zatrzymując się przy zlewie. Cuchnie wczorajszą gorzałą. Przygląda się, jak wsypuję kawę do ekspresu.

– Nazwał go matolem – szepczę, pragnąc, żeby mnie zrozumiał.

– I co? – pyta tata.

Odwracam się do niego, bo aż się gotuję.

Bierze oddech.

– Nie jesteś jego matką. – Głos mu nieco łagodnieje. – Nigdy nie będziesz. Nie uda ci się go chronić do końca życia.

– Ale, do cholery, mogę próbować.

A mój ojciec wpatruje się we mnie. W jego oczach nie ma gniewu, lecz smutek.

– Savannah, rozmawiałem z Kathy – informuje.

Boże, nie. O mało nie upuszczam puszki z kawą. Gdy podnoszę na ojca wzrok, wargi mi drżą.

– Nie wierzę – mówię.

Potwierdza swoje słowa ruchem głowy, a w oczach wzbierają mu łzy. Stawiam puszkę na blacie.

Brakuje mi tchu.

– Co ty narobiłeś? – pytam, odsuwając się. – Co ty narobiłeś, tato?

– Dzięki niej on może mieć lepsze życie – próbuje wyjaśnić. – Może wreszcie mieć prawdziwą mamę.

– Ty przypale! – krzyczę, a głos mi się łamie. – Co zrobiłeś?

– Jeszcze dziś tu przyjedzie. Przepraszam. Nie wiem, co innego...

Ale ja już uciekam jak najdalej od niego. Ojciec zrzekł się opieki nad moim bratem. Nad swoim własnym synem. Kathy odbiera mi Evana.

Wpadam do swojego pokoju i rzucam się na łóżko, by podnieść Evana i przytulić go do siebie.

– Savannah – żali się mój braciszek. – Ja śpię.

Mimo to kołyszę go i zagryzam wargi, żeby płakać bezgłośnie. Przez mojego ojca właśnie wszystko przepadło. Pozbył się tego jednego, co ma dla mnie sens. Ja otaczam Evana opieką. Ja jestem całym jego życiem. A on moim. Co ojciec narobił?

Całuję Evana w główkę i modłę się, żeby ten koszmary sen już się skończył.

ROZDZIAŁ 18

Ojciec nie wchodzi do mojego pokoju. Domyślam się, że poszedł do salonu, żeby w samotności siebie nienawidzić. Dzwonię do Rethy, ale jak dowiaduję się od jej babci, poszła odwiedzić Trvisa. Fakt, że mój przyjaciel może już przyjmować gości, na moment podnosi mnie na duchu. Ale kiedy babcia Rethy pyta, czy ma coś przekazać, nie może mi przejść przez gardło, że utracę Evana. Jak miałabym coś takiego wyznać komukolwiek?

Tuż przed południem ubieram brata do wyjścia. Wszystko wydaje mi się nierzeczywiste. Jakbym utknęła w jakimś złym śnie.

– Przejdziemy się do galerii? – pytam braciszka.

Ten rozpromienia się.

– Tak! – Bo choć Evan uwielbia tę galerię, rzadko tam bywamy. Nie dość, że ciężko go tam upilnować, to jeszcze nie stać nas na zakupy. Być może ta wyprawa to zbyt duża atrakcja jak na zwykły dzień. Tyle że to nasz ostatni zwykły dzień razem.

– Ty i ja, młody – mówię. – Zjemy coś i sobie połazimy.

– I popatrzymy na gry wideo – dodaje.

– Tak – potwierdzam. Mam ochotę zadzwonić do Camerona, ale rezygnuję. Lepiej go teraz w to nie mieszać. Powinien się skupić na skończeniu szkoły i na planach na przyszłość. Spotykać się z kimś innym. Zamykam oczy.

– Smutno ci? – pyta Evan, dotykając dłońmi moich policzków.

– Nie. – Uśmiecham się. – Po prostu zgłodniałam. A ty jesteś głodny?

– Chcę frytki – oznajmia, wyrzucając do góry ręce.

– Nie ma sprawy.

Każę Evanowi zaczekać u mnie w pokoju, a sama przeczesuję dom. Niech sobie Kathy przychodzi po mojego brata, ale to ja spędzę z nim ten dzień. A oni wszyscy niech się pieprzą. Tata, jak widać, zasnął na kanapie, znajduję więc jego portfel i wiszące koło drzwi kluczyki. Zabieram jedno i drugie.

Biorę Evana za rączkę i cicho przekradamy się przez dom. Kiedy zamykam drzwi, nie skrzypią.

– Gdzie tata? – pyta mój brat, gdy pomagam mu wsiąść do furgonetki.

– Śpi.

– Leniuszek – mówi Evan, a potem chichocze.

– Tak – potwierdzam, poprawiając mu kurtkę. – Nie to, co my?

– Nie.

Jest uszczęśliwiony. Zupełnie nie ten dzieciak, który wczoraj wieczorem ryczał i wierzgał. To jest mój Evan. I nie chcę, żeby mi go odbierali. Należy do mnie.

Tata ma w portfelu prawie sto dolarów – kasę za xboxa. Gnojek. Wydam je wszystkie na mojego brata. Co do centa.

W galerii trwa remont, ale to nawet lepiej, bo jest praktycznie pusta.

Zaczynam od kupienia Evanowi dużych frytek i koktajlu truskawkowego. W trakcie jedzenia mały macha nogami pod krzesłem. Śledzę każdy jego ruch, starając się go zapamiętać. Głęboko dusząc w sobie żal, żeby braciszek nie widział, jak mi smutno.

Potem idziemy do sklepu ze zwierzętami, popatrzeć na szczeniaki i pogłaskać króliki. Jak tylko któryś króliczek się ruszy, Evan piszczy z zachwytu. To takie urocze, że poważnie się zastanawiam nad kupieniem mu jakiegoś. Ale jeśli Kathy nie pozwoli Evanowi go zatrzymać, będzie miał kolejny powód do rozpacz. Dlatego poprzestajemy na oglądaniu zwierzaków w ich klatkach.

Kupuję mu ciężarówkę i pluszaka. I słodycze. Kupuję wszystko, o co poprosi, a w głębi duszy czuję, że chciałabym już nie żyć. Ilekroć patrzę na zegar, marzy mi się śmierć, bo wiem, że Kathy czeka. Ojciec w końcu się zorientuje, że jego portfel i kluczyki znikły. Może nawet razem z ciotką powiadomią policję. A może po prostu już na mnie czekają.

– Muszę do toalety – oznajmia Evan, trzymając się w kroku.

– Ale tak nie rób – mówię, odsuwając jego rękę od spodni. – Już idziemy.

Maszerujemy szybko, znajdujemy odnawiany akurat korytarz, skręcający w stronę toalet. Część ścian zasłonięta jest folią, w powietrzu czuć zapach farby.

Zza moich pleców dolatuje cichy gwizd. Gdy słyszę go ponownie, żołądek mi się ściska. Kładę dłoń na potylicy Evana, liczę na to, że za rogiem natrafimy na kogoś z robotników budowlanych lub kogoś wychodzącego z toalety.

Idę szybko, ale kiedy mijam narożnik, nikogo nie ma. Za cholerę, nikogo. Jesteśmy sami.

– Sukon...

Kurwa.

– Pospieszmy się, Evan – mówię, biorąc brata za rękaw kurtki. Wstrzymuję oddech i oglądam się za siebie. Patrick już zaczyna biec w naszą stronę.

Pospiesznie ogarniam wzrokiem korytarz, ale jedyną szansę ucieczki daje toaleta. A to byłoby głupie. Bo głupio byłoby wpakować się w pułapkę na oczach Patricka. Przeszywa mnie paniczny lęk. Gdzie u diabła podziali się ludzie? Krzyżeć mi nie wolno – wystraszyłabym Evana. Muszę nas z tego wyciągnąć.

– Sukon – nuci ponownie Patrick za naszymi plecami.

Dochodzę do końca korytarza i zatrzymuję się. Serce mi wali, a palce drżą tak okropnie, że kurtka Evana wyslizguje mi się pomiędzy nich.

Prowadzę brata w kąt i klękam koło niego, żeby nasze oczy były na tym samym poziomie.

– Hej, młody – mówię szeptem. – Muszę porozmawiać z kolegą. Zaczekasz

tutaj? – Błagam, niech nie wyczuje w moim głosie lęku.

Chwilę wpatruje się we mnie, potem kiwa głową. Uśmiecham się.

– Usiądź – mówię, wskazując na podłogę. Osuwa się po ścianie, ani na moment nie spuszczając ze mnie wzroku.

Wstaję, a gdy się odwracam, Patrick już tam czeka z tymi swoimi wielkimi łapami skrzyżowanymi na piersi. Wychyla się w bok, żeby spojrzeć na Evana.

– Jak leci, matole? – pyta.

Mój strach zmienia się w gniew, żar uderza mi do głowy. Idę prosto na niego, żałując, że nie mam czym go dziabnąć.

– Chodź, chodź – drwi. – Chodź tutaj, Savannah. – Rozpościera ramiona. Zaciskam pięść, gotowa mu przywalić. I tłuc go, dopóki nie odejdzie.

Ale nie zdążam wykonać nawet zamachu ręką, a już mój lewy policzek eksploduje bólem od jego uderzenia. Lecę w tył, zbyt oszołomiona, żeby krzyczeć. Patrick chwyta mnie za nadgarstek wciąż jeszcze zaciśniętej ręki i obraca twarzą do pokrytej kafelkami ściany przy toaletach.

Zatyka mnie, a moje ramię przeszywa palący ból, od przegubu aż po pierś. Spomiędzy warg na białe kafelki bryzga krew. Próbuję złapać oddech, a Patrick wypcha mnie twarzą w ścianę, napierając całym ciężarem swojego ciała.

Jestem odwrócona w kierunku Evana, zmuszony jest więc widzieć, co się ze mną dzieje. Oczy ma szeroko otwarte i przestraszone. Ręka w nadgarstku kurewsko mnie boli, ale gdybym zaczęła krzyczeć, Evan by się przeraził. Kompletnie przestałby nad sobą panować. Staram się więc do niego uśmiechnąć, żeby wiedział, że będzie dobrze. Potem zamykam oczy i powstrzymuję łzy. Patrick jeszcze mocniej na mnie napiera, przyciskając do ściany tak, że trudno mi oddychać. Wargami dotyka mojego ucha.

– Jesteś bardzo agresywna. Wiesz o tym, Savannah?

Zaciskam powieki. Jego wolna ręka zsuwa się na mój tyłek i bezczelność tego obmacywania niemal mnie dobija. Zagryzam mocno wargi.

– Serio, potrzebna ci terapia – mówi Patrick. Jego oddech parzy mi ucho, czuję też, jaki jest podniecony. Jak bardzo to kręci tego chorego sukinsyna.

– Mam złamaną rękę – szepczę. Chłód kafelków dotykających twarzy jest dobry, bo nie pozwala zemdleć. Nie mogę otworzyć oczu. Nie chcę, żeby Evan je widział.

Patrick, rechocząc, wsuwa mi rękę między nogi.

– Mniam – mówi.

Łzy wymknęły mi się spod powiek, spływają po bolącym policzku.

– Przestań – mamroczę. Bezsilna. Tak kompletnie bezsilna. Cicho wyję, kiedy chwyta mnie za nadgarstek, żeby jeszcze bardziej się przysunąć. Ból złamanej kości staje się przez to jeszcze gorszy.

– Jesteś mi winna przeprosiny – mówi, dotykając językiem małżowiny

mojego ucha.

– Przestań, proszę... – To się nie dzieje naprawdę. Patrick chwyta mnie mocno przez dżinsy, a ja chrapliwie łapiąc oddech, próbuję się wyprostować. On jednak, wykręcając mi rękę, odciąga mnie od ściany i znów w nią popycha, całkiem pozbawiając mnie powietrza.

– Przepraszam – syczy i łapie mnie za kark.

– Przepraszam – mówię natychmiast. Ledwie przechodzi mi to przez gardło. Kiedy się z tego wykaraskam, zabiję go. Odstawię Evana do domu, a potem odnajdę i zabiję Patricka.

– Za co przepraszasz? – drąży.

Złamał mnie. Zgwałcił.

– Przepraszam cię, Patrick, za to że cię dźgnęłam.

Wydając jakiś nieartykułowany dźwięk, raz jeszcze na mnie napiera, żebym go poczuła. Już nie żyje. Zabiję go.

– Dobra dziewczynka – mruczy mi do ucha. – I co, takie to było trudne?

I nagle mnie puszcza. Nie ruszam się. Chłód na policzkach mówi mi, że są mokre od łez. Mam ochotę sięść i płakać. Ale najpierw Patrick musi sobie pójść.

– Trzymaj się, Savannah – mówi, jakbyśmy się właśnie mijali na szkolnym korytarzu. – Do zobaczyska, matole – woła do mojego brata.

Wciąż jeszcze się nie ruszam. Chciałabym przestać dygotać. Chciałabym zniknąć. Twarzą przywieram do kafelków, a ręka zaczyna mi drętwieć i bezwładnie zwisa u mojego boku. Patrick śmieje się pod nosem i wreszcie słyszę, jak jego buty, skrzypiąc, oddalają się w głąb galerii.

Kiedy ten odgłos cichnie, podnoszę powieki. Kleją się od łez, a kiedy odzyskuję ostrość widzenia, dostrzegam Evana.

Nadal jest tam, gdzie kazałam mu zostać. Siedzi jednak skulony, zasłania rączkami twarz i cicho płacze. Prząd spodni przesiąkł mu sikami, cały się trzęsie bez opamiętania. Zasluguje na kogoś lepszego ode mnie. Ja nie potrafię go ochronić nawet przed Patrickiem.

Evan zasługuje na o wiele więcej.

Trzymając rękę przy ciele, człapię do braciszka i klękam przed nim. Drzę i jest mi niedobrze.

– Evan – szepczę, dotykając zdrową ręką jego włosów. Usilnie pragnę się uspokoić, żeby go pocieszyć, ale mam z tym trudności. Bo się boję.

Płacz Evana jest cichy, nie taki jak podczas jego wybuchów. To coś innego. Coś o wiele gorszego.

– Evan – powtarzam, słysząc, jak głos mi się łamie. Nie podniosę go ze złamaną ręką. – Wstawaj – mówię z większą mocą. – Musimy stąd iść. Evan, wstawaj.

Powoli kręci głową, broniąc się przed spojrzeniem na mnie.

– Potrzebuję Camerona – mówię i sama jestem zaskoczona tymi słowami. Jakoś jednak przelitykam dumę i znów mówię: – Evan, musimy się skontaktować z Cameronem.

Nie wiem, gdzie indziej mielibyśmy jechać. Nie mogę oddać braciszka Kathy w takim stanie. Zabroniłaby mi się z nim widywać. Prostuję się i krzywię z bólu, gdy przypadkiem uderzam ręką o ścianę.

– Kurwa – szepczę.

– Savannah, to brzydkie słowo – mamrocze Evan zza swoich rączek.

Czuję ulgę.

– Młody? – zwracam się do niego. – Będziesz musiał mi pomóc. Zraniłam się w rękę i muszę iść do lekarza.

– Ja chcę do Camerona – mówi cicho.

Ja również.

– Okej. To poszukajmy go. Ale będziesz musiał sam iść. Nie dam rady cię nieść.

Mój braciszek w końcu powoli wstaje i choć twarz wciąż jeszcze ma zakrytą dłońmi, to pozostawił między nimi szczelinę, przez którą może wyglądać.

Ruszam powoli, czekając, aż do mnie dołączy. Ręka strasznie mnie boli i potrzebuję pomocy. Na sztruksach Evana, tam, gdzie je obsikał, jest ciemna plama, będziemy jednak musieli przejść przez galerię, żeby dotrzeć do furgonetki. Jak już nas do niej doprowadzę, będzie okej. Trwa to długo, ale kiedy wreszcie wychodzimy na parking, zachłystuję się chłodnym powietrzem, by stłumić ból. By zapomnieć o bolesnym dotyku tego drania, który nadal czuję między nogami.

Niełatwo jest otworzyć ciężkie drzwi furgonetki lewą ręką, ale daję radę. Evan wspina się do szoferki, a kiedy ja winduję się za nim, nadgarstek przeszywa mi ból. Z jękiem zatraskuję drzwi. Gdy się prostuję, dostrzegam w lusterku wstecznym swoje odbicie.

W kąciu ust mam zaschniętą krew. Uderzając o ścianę, rozciąłam sobie wargę. Wokół lewego oka zaczyna pojawiać się opuchlizna. Wpatruję się w siebie, nienawidząc tego widoku. Nienawidząc tego, że nie okazałam się wystarczająco silna, by odeprzeć atak Patricka. I tego, że nie wykazałam się sprytem. Z oczu ponownie tryskają mi łzy, a w całej furgonetce śmierdzi sikami.

Spieprzyłam to. Wszystko speprzyłam.

Evan pociąga nosem, a gdy na niego patrzę, wygląda przez okno. Chciałabym go przygarnąć, ale mam złamaną rękę.

– Kocham cię, Evan – mówię zamiast tego.

– Ja cię też kocham, Savannah – odpowiada tak cicho, że serce mi się kraje.

Udaje mi się uruchomić furgonetkę i posługując się tylko lewą ręką, powoli wiozę nas do Camerona.

ROZDZIAŁ 19

Kiedy podjeżdżam pod dom Camerona, czuję ogromną ulgę, widząc, że jego samochód stoi na podjeździe. Już prawie nie myślę; nie przychodzi mi do głowy, gdzie indziej miałabym pojechać. Potrzebuję pomocy.

Evan leży bezwładnie na siedzeniu i nie jestem w stanie go podnieść. Gaszę silnik, wyskakuję z furgonetki i biegnę do wejścia. Raz po raz naciskam dzwonek.

Drzwi otwierają się i Kendra na mój widok zakrywa dłonią usta.

– Savannah? – Wyciąga do mnie rękę. Kulę się, przytrzymując przed sobą ramię.

– W furgonetce jest Evan – mówię. – Nie... nie dam rady go podnieść. Boli mnie i...

– Savannah? – Cameron pojawia się za plecami matki, a jego twarz blednie.

– Chryste, co się stało?

Kendra wybiega z domu i szarpnięciem otwiera drzwi furgonetki, żeby wyciągnąć z niej Evana. Wzrok Camerona przesuwają się po mnie, usiłując ogarnąć wszystkie moje obrażenia.

Zwraca uwagę na to, jak trzymam rękę.

– Strasznie mnie boli – mówię szeptem.

Kiwa głową, oblizując wargi z ponurą miną.

– Widzę – mówi.

Kendra, niosąc Evana do domu, szepcze mu coś do ucha. Widząc, jak go tuli, od razu czuję się o wiele lepiej. Ta ulga jest niesamowita.

Lecę z nóg.

– Savannah! – Cameron łapie mnie, utrzymując w pionie, gdy świat wokoło wylatuje z orbity. Pękam.

– Zabierają go – zaczynam płakać. – Zabierają mi go.

Cameron ostrożnie bierze mnie w ramiona, a ja opieram głowę o jego bark. Nie jestem pewna, jak długo jeszcze dam radę je znosić. Znosić to moje życie.

– Evana? – upewnia się Cameron. – Kto go zabiera?

– Mój ojciec go oddaje. Oddaje go mojej ciotce. Kathy ma dziś po niego przyjechać, więc zabrałam go do galerii...

– Kto ci to zrobił? – pyta Cameron, gładząc mnie po włosach. Nadal stoimy przed jego domem. – Twój tata?

– Mam złamaną rękę.

– Właśnie. Jak to się stało?

– To Patrick – mamroczę. – Powinnam od razu przeprosić tego drania. Powinnam. – Przestaję panować nad łzami, bo za bardzo mnie boli, bym dała radę je w sobie dusić.

Cameron na wzmiankę o Patricku reaguje głuchym warknięciem i obejmuje mnie mocniej, choć równie ostrożnie. Chwilę milczy, a potem pociąga nosem. Zastanawiam się, czy i on się nie rozpląkał. Opiera się policzkiem o czubek mojej głowy.

– Myślę, że powinienem cię zawieźć do szpitala – mówi. – Musi obejrzeć cię lekarz.

– Pewnie tak.

– Hej – szepcze, nachylając mi się do ucha. Jego oddech jest ciepły i kojący. – Tylko wezmę z domu kluczyki, okej? Mama zajmie się Evanem, a ja zawiozę cię do lekarza.

Tyle że ja nie potrafię go puścić. Tak się go uczepiłam, że musi się delikatnie uwolnić z mojego uścisku. Odsuwa się, by na mnie spojrzeć, i nachyla tak, żeby widzieć moje oczy.

– Nie ruszaj się stąd – mówi. Jest na tyle blisko, że mógłby mnie pocałować. – Idę po kluczyki. – Przygląda mi się badawczo. Kiedy się niemal bezgłośnie zgadzam, szybko wbiega do domu.

Chciałabym być z Evanem, ale nie mogę pozwolić, żeby brat oglądał mnie w takim stanie. Jest mi słabo i opieram się o ścianę domu. Ból stał się tępy, za to ręka spuchła. Nawet nie jestem w stanie zgiąć palców. Wzrok mi ucieka. Muszę choć chwilę odpocząć.

– Już jestem – mówi Cameron, obejmując mnie ramieniem i prowadząc do beemki. – Mama przygotowała Evanowi kąpiel i pierze jego ciuchy. – Pomaga mi wsiąść do samochodu.

Siadam i wpatruję się w przednią szybę, uradowana, że Kendra zajmie się Evanem pod moją nieobecność. Przede wszystkim jednak czuję się winna, że naraziłam braciszka na całą tę sytuację. Drzwi od strony kierowcy otwierają się i do auta wsiada Cameron.

Wyciąga rękę, przesuwając palcami po mojej posiniaczonej twarzy. Nachyla się do mnie i delikatnie całuje w policzek. Próbuje się uśmiechnąć, bo to miłe. Jestem jednak zbyt zmęczona.

Cameron odpala silnik, a jego warkot mnie usypia. Zaczyna mnie boleć głowa; możliwe, że mam wstrząs mózgu. Zamykam oczy i odchylam głowę na oparcie.

– Nic się nie bój – mówi Cameron. – Ja się tym zajmę – dodaje. – Zajmę się tobą.

A ja nie daję rady nic odpowiedzieć, bo odpływam.

* * *

– Nie wróćcie dzisiaj do domu – mówi Cameron, siedząc na szpitalnym krześle obok łóżka. – Zostaniecie u nas.

– Nie. – Czekam w sterylnym białym pokoju, aż pielęgniarka przyniesie mi papiery. Patrick złamał mi rękę w nadgarstku i załatwił niezły wstrząs mózgu. Mam nadzieję, że do rana będzie trupem.

– Savannah?

– Nie potrzebuję twojej litości – mówię, nie patrząc na niego. Sama muszę się wykaraskać z tej sytuacji. Ze względu na rękę dali mi leki przeciwbólowe, ale ponieważ mam wstrząs mózgu, nie takie znów mocne. Coś tam jednak łagodzą.

Cameron wstaje i krąży po pokoju z dłońmi splecionymi na potylicy.

– Przez ciebie kręci mi się w głowie – mówię. – Zadzwoń lepiej do swojej mamy i sprawdź, czy z Evanem wszystko w porządku.

– Mama o niego zadba – odpowiada, zatrzymując się przede mną.

– Po prostu zadzwoń – ucinam, machając ręką. Ale nawet najdrobniejszy ruch przeszywa ją takim bólem, że jęczę.

– Hej – odzywa się Cameron. – Chwila. – Podnoszę na niego wzrok i widzę, że zaciska zęby. – Masz podbite oko – szepcze, delikatnie przesuwając pod nim palcem.

Od tego dotyku mam dreszcze. W porównaniu z tym, jak dotykał mnie Patrick, to sama subtelność. Czułość.

Serce mi pęka – cała pękam. Zaczynam się trząść.

– Ranił mnie – mówię – a ja nie mogłam go powstrzymać. Nie mogłam go powstrzymać, a Evan musiał na to wszystko patrzeć. – Całkiem się rozlatuję, kulę się na boku i płacę jeszcze bardziej z powodu bólu ręki.

Łóżka się ugina i Cameron jest już obok mnie. Emanują z niego niepokój i przygnębienie. Odgarnia mi włosy przyklepione do twarzy przez łzy.

– Będzie dobrze, Savannah – szepcze. – Obiecuję.

Nienawidzę tego słowa. Dlatego, że nikt nigdy nie dotrzymuje obietnic – to kłamstwa, które mówi się dzieciom, żeby poczuły się lepiej. Nie będzie dobrze. Nigdy już nie będzie.

– Ten drań złamał mi rękę – mamrocę w poduszkę. – Nienawidzę go. Tak strasznie go nienawidzę. – Chciałabym Patricka całego podziabnąć ołówkiem. Odebrał mi wszystko.

– Czy on... Czy jeszcze jakoś cię skrzywdził?

Zaciskam powieki, próbując wyprzeć to z pamięci.

– Wystarczyła mu tania satysfakcja – mówię. Wolę to bagatelizować. Bo Patrick zrobił coś o wiele gorszego. Okradł mnie z pewności siebie, z tego, kim jestem.

Cameronowi rwie się oddech, jakby zaczynał się dusić. Siada prosto, a gdy się do niego odwracam, widzę, że ociera twarz. Podnosi się, dysząc ciężko. Wydaje się uosobieniem złości, którą na moich oczach powoli opanowuje.

– Muszę wrócić do Evana – oznajmiam.

– Wrócisz – odpowiada Cameron, znów na mnie patrząc. – Ale nie chcę odwozić cię do domu w takim stanie. Zostańcie ze mną. Pozwól Evanowi przenocować u nas. Rano mama zrobi mu naleśniki, to będzie dla niego frajda. Potrzebujesz przecież pomocy. – Przy tych słowach krzywi się. – Mnie nie, o tym już wiem. Ale na moją pomoc musisz się zgodzić.

Zaciskam powieki. Czuję, jak wzbierają pod nimi łzy. Evan uwielbia naleśniki. A chodzi w końcu o niego. Tylko on się liczy.

– Okej – mówię. – Ale muszę zadzwonić do taty. Możliwe, że on i Kathy wciąż na mnie czekają. Ja w pewnym sensie... nawiałam.

Cameron rozdziawia usta, ale nic nie mówi. Wyjmuje telefon i pomaga mi wybrać numer, bo marnie mi idzie korzystanie z lewej ręki.

Ojciec jest wściekły. Kathy czekała u nas na mnie i Evana dwie godziny, odgrządzając się, że jeśli do jutra nie przywieziemy jej mojego braciszka, zawiadomi policję. Gotowa jest spełnić te groźby.

Nie mówię tacie o Patricku – i tak znalazłby powód, żeby mnie obwinić. Opowiadam, że poszliśmy do galerii i tam pośliznęłam się na kawałku lodu. Trzeba było założyć gips, a teraz jesteśmy z Evanem u przyjaciół. Odmawiam wskazania, u których. Rozłączam się i oddaję telefon Cameronowi.

– Zawieź mnie do siebie – mówię, choć mi głupio. – Chcę wrócić do Evana.

Do pokoju wpada pielęgniarka i podsuwa mi stertę dokumentów do podpisu. Moje myśli gdzieś błądzą, czuję się przymulona i lekko nieogarnięta.

A na policzku wciąż czuję chłód kafelków.

* * *

Gdy wracam do domu Camerona, Evan już śpi. Kendra rozłożyła w gabinecie Marcela nadmuchiwany materac ze stosem poduszek i ciepłych koców. Braciszek leży zwinięty w kłębek, policzki ma rumiane. Jakiś czas siedzę tam przy nim, wsłuchana w oddech świadczący o głębokim śnie. Panuje tu taki spokój, że kiedy przychodzi po mnie Cameron, ociągam się z wyjściem.

– A gdzie ty będziesz spał? – pytam, bo Cameron składa swoją pościel.

– Podobno na podłodze jest fajnie – odpowiada. Włazę na jego łóżko, a Cameron okrywa mnie kocem po samą szyję i opatula modelowo.

– Poważnie pytam. Gdzie będziesz spał?

Przesuwa wzrokiem po mojej twarzy.

– Chcesz, żebym został tutaj?

– Nie – odpowiadam automatycznie.

Kiwa głową, a ja natychmiast żałuję tej odpowiedzi.

– Wynoszę się na kanapę – mówi. – Doktor kazał co dwie godziny cię budzić, więc będę do ciebie zaglądał.

Nachyla się i całuje mnie w czoło. Jest dla mnie za dobry. Nie zasługuję na

to. Naprawdę nie.

Cameron podchodzi do drzwi, spogląda na mnie, a potem gasi światło i wychodzi.

Sen nie przychodzi łatwo. Ilekroć zamknę oczy, zaczyna mnie boleć ręka. Myśli też nie chcą się wyłączyć. Oddycham ciężko jak podczas ataku paniki. Powiedziano mi, że żebra mam całe, mimo to głęboko w piersi czuję ból. Lęk. Nie chcę, żeby zaczął się nowy dzień.

– Cameron? – wołam i dopiero wtedy łapię się na tym, co robię. Odpowiada mi cisza. Zerkam na zegarek i widzę, że dochodzi pierwsza. Wszyscy już prawdopodobnie śpią. Wszyscy, poza mną. Nagle nie chcę już być sama. Niespodziewanie ogarnia mnie przerażenie.

– Cameron? – powtarzam głośniej.

Zza drzwi, od strony salonu, dobiega jakiś hałas. Potem słyszę coś, jakby szuranie bosych stóp po drewnianej podłodze. Drzwi otwierają się i staje w nich Cameron, mrużąc oczy. Nie ma na sobie góry od piżamy, wygląda strasznie bezbronne.

– Wszystko w porządku? – Głos ma ochrypyły od snu.

– Nie. – Gapię się na niego. Sama nie wiem, czego chcę, poza tym, że nie chcę być sama.

Cameron powoli wchodzi do pokoju, wyglądając tak, jakby lada moment miał znów zasnąć. Staje przy łóżku.

– Posuń się – mówi.

Nie od razu to robię. Rzeczywiście chcę, żeby tutaj spał? Nie jestem pewna, ale uważając, by nie urazić złamanej ręki, odsuwam się tam, gdzie pościel jest jeszcze chłodna. Cameron wchodzi do łóżka, poprawia koce i kładzie się na boku.

– Dobranoc – mówi, patrząc mi w oczy.

Wpatruję się w niego, cała obolała, samotna. Cameron ciągle mruga, ale nie zamyka oczu. Wyciąga do mnie rękę.

– Przysuń się – mówi. A ja nie protestuję. Choć raz się z nim nie spieram. Przesuwam się powoli i wślizguję w ramiona chłopaka, opierając głowę na jego piersi. Goła skóra grzeje mnie w obolały policzek, ale zarazem działa kojąco.

– Dziękuję – szepczę, zamykając oczy.

– Śpij już – odpowiada Cameron ze śmiechem. – Jestem zmęczony.

Wtulam się w niego, podoba mi się to, jak pachnie i jak głaszcze mnie po włosach. Wsluchuję się w bicie jego serca, miarowe i mocne.

Nie mija dziesięć minut, a oddech Camerona pogłębia się i chłopak zasypia. Dotykam ustami jego ramienia, czekając, czy zareaguje, ale ani drgnie.

– Kocham cię – szepczę do niego tak cicho, że prawie bezgłośnie. Milknę, a gdy nie reaguje, zamykam oczy i zasypiam w jego ramionach.

ROZDZIAŁ 20

Budzi mnie śmiech Evana. Nie otwierając oczu, uśmiecham się, ale gdy w końcu uchylam powieki, dopada mnie przeraźliwy ból ramienia, klatki piersiowej i głowy. Z wysiłkiem łapię oddech, próbując usiąść, a to wcale nie jest takie łatwe, gdy ma się złamaną rękę.

Pokój Camerona tonie w słońcu, zasłony są rozsunięte. Chłopaka nie ma, druga strona łóżka jest pusta, drzwi zamknięte. Mój gips całym swoim ciężarem leży na pościeli, przyciąga mój wzrok.

Ból klatki piersiowej i żeber tak mi dokucza, że podciągam T-shirt i zaglądam pod niego. Cholera. Tam, gdzie pchnięta przez Patricka rąbnęłam o ścianę, widzę ciemnofioletowy siniec.

Zamykam oczy – na samo wspomnienie tego imienia robi mi się niedobrze. Ten jego zapach, to poczucie, że jest tak blisko mnie – wszystko to wręcz siedzi mi pod skórą. Jest niemal nie do zniesienia. Rozglądam się po pokoju i widzę obok łóżka telefon Camerona. Chwytam go i ponownie próbuję dodzwonić się do Rethy.

– Retho? – mówię zaraz po tym, jak odebrała. Przyjaciółka wyczuwa w moim głosie panikę.

– Savvy? – upewnia się. – Co się, kurwa, dzieje? Dzwoniłam do ciebie. Babcia powiedziała, że wydawałaś się czymś zmartwiona.

– Co tam u Trávisa? – pytam szybko.

– Dobrze – odpowiada, a po głosie można poznać, że to podniosło ją na duchu. – Serio tak jest. Mają tu nowy program, przynajmniej terapeuci nie sprawiają wrażenia totalnych dupków. Wszystko się ułoży – dodaje. – Serio.

Uśmiecham się, choć wszystko mnie boli. Powstrzymuję się, by jej o tym powiedzieć.

– Savvy – odzywa się zaniepokojona. – O co chodzi? Co się stało?

Chociaż chciałabym oszczędzić jej zmartwień, przestaję nad sobą panować.

– Jest źle – mówię cicho.

Po drugiej stronie linii słychać szelest i wyobrażam sobie, że Retha zrywa się z łóżka. Zawsze stała za mną murem i wiem, że teraz też tak by było.

– Złamał mi rękę, Retho – mówię. – Złamał mi cholerną rękę.

– Kto? – Kiedy zadaje to pytanie, jej głos brzmi jak głuchy pomruk.

– Patrick. Dorwał mnie w galerii... Chciał, żebyśmy przeprosiła.

– Opowiedz, co się stało. Opowiedz mi wszystko, żebyśmy mogła dokładnie zaplanować, jak go ukatrupię.

Tak właśnie robię. Relacjonuję Recie wszystko, nawet te szczegóły, których oszczędziłam Cameronowi. I wciąż stoi mi to przed oczami, nadal czuję wszystko, co mi robił. To jak kino grozy ze mną w roli głównej.

– A do tego – dodaje – on to widział. Evan to wszystko widział. Aż się zsikał, tak bardzo był przerażony, i to była moja wina. – Szlocham, szczęśliwa, że mogę sobie na to pozwolić; szczęśliwa, że Retha nie próbuje mnie pocieszać.

– Gdzie jesteś? – pyta cicho.

– U Camerona.

Milknie.

– Jest szósta rano. Spałaś tam?

– Tak.

– Cholerka, dziewczyno – mówi prawie bezgłośnie. – A teraz co do Patricka, psy już go zgarnęły?

– Nie powiadomiłam ich. I tak pewnie byłyby to te same dupki, które mnie aresztowały, jak go dziabnęłam. Jego słowo przeciw mojemu. Jak sądzisz, komu by uwierzyli?

– Fakt – przyznaje Retha. Panuje nad głosem, jak tamtego wieczoru na kukurydzianym polu. Jakby planowała coś poważnego. Zanim się znów odzywa, moje pęknięte serce krzyczy:

– Retho, Kathy zabiera Evana. Przejmuje opiekę nad nim.

– O nie – mówi przyjaciółka szeptem.

– Zabiera go dzisiaj. Odebrali mi go. – Do pokoju przenika śmiech Evana i spoglądam na drzwi, pospiesznie ocierając łzy. – Słuchaj – mówię do Rethy. – Teraz nie mogę o tym rozmawiać. Zadzwoń później, okej?

– Oczywiście – odpowiada. – Tak mi przykro, Savvy – dodaje po chwili milczenia.

– Kocham cię – mówię. Ona też mówi, że mnie kocha, i się rozłączamy.

Ledwie odkładam telefon, ktoś puka do drzwi.

– Proszę – wołam.

Drzwi otwierają się, a na mojej twarzy pojawia się uśmiech, bo oto Cameron wnosi na ramionach Evana.

– Dzień dobry – mówi Cameron, jakby to, że śpię w jego łóżku, było najzupełniej normalne. – Twój braciszek chciał cię odwiedzić. – Podchodzi z nim do łóżka, a potem odwraca się tak, żeby młody mógł się zsunąć z jego pleców.

– Obudziłaś się! – woła z radością Evan. Podnoszę do góry gips, a Evan wchodzi na mnie, żeby się przytulić.

– Co to? – pyta, wskazując na biały opatrunek.

– Gips. – Krępije mnie, że muszę to powiedzieć, staram się jednak uśmiechać, żeby nie wiedział, że mi wstyd.

Cameron przygląda mi się z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Jestem wściekła, że widział mnie wczoraj płaczącą.

– Dlaczego go masz? – pyta Evan.

– Złamałam rękę.

– Twój przyjaciel ci złamał – szepcze braciszek, przesuując palcami po gipsie.

Przełykam gulę tkwiącą mi w gardle.

– On nie jest jej przyjacielem – mówi Cameron, nie patrząc na mnie. – Przyjaciele się o siebie troszczą.

– Tak jak Retha? – pyta Evan.

– Tak. I tak jak ja. – Cameron wyciąga rękę, by poczochnąć Evanowi włosy. – Przewiozłem cię przecież na barana, pamiętasz?

Evan wybucha śmiechem. Cameron patrzy na mnie w zamyśleniu, może błagalnie – nie jestem pewna. Zaraz jednak dochodzę do wniosku, że muszę wyglądać żałośnie. W jego łóżku, posiniaczona, z opatrunkiem. Emocjonalnie rozwalona.

– Twoje oko wygląda już lepiej – mówi. – Jesteś głodna?

Potrząsam głową przecząco, a on robi taką minę, jakby wiedział, że kłamię.

– Evan – woła. – Załatwmy Savannah jakieś śniadanie. Uparciuch z niej.

– Uparciuch – powtarza Evan i chichocze. Zeskakuje z łóżka i łapie Camerona za rękę, ciągnąc go do kuchni.

Kiedy wychodzą, znów opieram się o poduszki. Tak powinno wyglądać moje życie. Mieszkałabym z moim bratem w wielkim domu, jadłabym naleśniki. Czemu życie jest tak cholernie niesprawiedliwe? Pod koniec tego dnia... nic mi nie zostanie.

* * *

– Chcesz, żebym pojechał z wami? – pyta Cameron, odprowadzając mnie do furgonetki taty. Kręcę głową. Nie pozwoliłabym na to nawet Recie. To mój koszmar, nikt inny nie powinien go ze mną przechodzić.

Evan idzie za nami, niosąc torbę z rzeczami, które dostał od Kendry. Smakołyki, kredki, kolorowanki. Uważa się za szczęściarza. Nie ma pojęcia, że dla dzieciaków posiadanie takich rzeczy to normalka. O ile ich rodzice nie są palantami.

Cameron otwiera drzwi Evanowi i stoi przy mnie, kiedy młody wsiada. Opuszcza głowę.

– Pozwól mi pojechać z wami – mówi cicho.

Już nie ukrywa swoich uczuć do mnie, ja jednak muszę to robić. Nie ma dla nas szans. Nigdy nie będzie. Jestem wcieloną katastrofą.

– Nie – odmawiam.

Kiwa głową, a potem zagląda przez okno do Evana.

– Do zobaczenia, koleżko. – Wysuwa pięść, mały stuka w nią swoją, a potem razem udają, że obie wybuchły. To Cameron musiał go tego nauczyć i jest to niesamowicie słodkie.

Cameron cofa się o krok i odwraca do mnie. Chciałby mnie dotknąć, wziąć w ramiona, przytulić. Widzę to w jego oczach. Ale nie robi tego.

– Zadzwonisz do mnie? – pyta.

– Nie – odpowiadam i uśmiecham się.

– A więc po prostu się pojawisz? Niezapowiedziana?

– Prawdopodobnie.

– Okej.

Nachyla się, jakby chciał mnie pocałować na do widzenia. Też bym tego chciała, ale uchylam się i każę Evanowi zapiąć pasy. Cameron podnosi rękę, żeby nam pomachać, a potem odwraca się i znika w domu.

Wsiadam do furgonetki i wypuszczam z płuc długo wstrzymywany oddech, a potem zerkam z ukosa na Evana. Jest uszczęśliwiony, tuli swoją torbę z prezentami, nie mogąc się doczekać, kiedy wróci do domu i pokaże je tacie. Nie powiedziałam mu jeszcze, że wyprowadza się do Kathy. Nie potrafię mu tego powiedzieć.

* * *

Ciemnoniebieski minivan Kathy stoi na podjeździe, a kiedy parkuję, widzę, że ciotka czeka na ganku. Ciekawe, od jak dawna tu jest. Ciekawe też, jak bardzo jest wkurzona.

– Ciocia Kathy! – piszczy Evan na jej widok. Odwracam wzrok i gaszę silnik, żeby wysiąść.

Obchodzę samochód, żeby otworzyć drzwi od strony Evana, ale nie zdążam nawet jeszcze złapać za klamkę, a Kathy już zbiega do nas ze schodów. Wyobrażam sobie, jak bardzo mnie za to wszystko nienawidzi. Evan wysiada i biegnie do niej.

– Ciociu Kathy – krzyczy. – Jadłem naleśniki.

– Cześć, skarbie – mówi ciotka tym swoim cichym, przepojonym cierpliwością głosem. Nie mam ochoty na nią patrzeć. Trzymając dłoń na klamce samochodu, wpatruję się w ulicę.

– A Cameron pozwolił mi pograć w bilard, a Kendra dała mi książki!

– To cudownie. Wygląda na to, że się dobrze bawiliście.

Ich głosy cichną, a ja nadal stoję do nich plecami, bojąc się odwrócić.

– Savannah – mówi Kathy. Spokojnym tonem, nie uniesie głosu przy Evanie, ale czai się w nim kontrolowany gniew. Biorę oddech i odwracam się. Przesuwa po mnie wzrokiem, obejmując z troską mojego braciszka. Przyznam nawet, że jest w tym geście coś matczynego.

– Wszystko w porządku? – pyta spokojnie.

– Tak – kłamię.

– A co z twoją ręką? – Wskazuje ją podbródkiem.

- Złamałam w nadgarstku.
- Kolejna bójka? – docieka, a na jej twarzy maluje się niesmak.
- Nie – zaprzeczam. – Wypadek.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę. Nie wierzy w moje słowa, ale może zbyt mało ją to obchodzi, żeby się ze mną kłócić. Zagryzam wargi, dopiero teraz naprawdę wrze we mnie lęk.

- Zamierzasz zakazać mi go widywać? – pytam szeptem.

Katy mruga kilkakrotnie, zwlekając z odpowiedzią. Spogląda na Evana, a ten ściska ją najmocniej, jak potrafi. On ją kocha. Powinnam czuć się szczęśliwa, że tak ją kocha, bo przecież on na to zasługuje – na to, żeby kochać kogoś, kto potrafi się o niego zatroszczyć. Ale to boli, bo jasno pokazuje, jak ja go zawiodłam.

– Evanie – mówi czule Kathy – na jakiś czas zamieszkasze ze mną, złotko. Okej?

- Okej. Savannah też? – pyta Evan.

Usta Kathy tworzą teraz cienką linię.

- Nie. Savannah nie może – odpowiada. – Musi chodzić do szkoły.

Evan pochmurnieje, czym prędzej więc go pocieszam.

– Tak będzie dobrze – zapewniam. – Poza tym wkrótce cię odwiedzę. – To nieprawda, ale teraz jeszcze nie potrafię zmierzyć się z prawdą. Nie mam pewności, czy po wyprowadzce Evana będę w ogóle w stanie oddychać. Już teraz ledwie się trzymam.

Kathy spotyka się ze mną wzrokiem i widzę w jej oczach odrobinę litości. Przełyka głośno ślinę i szturcha Evana w ramię.

- Pożegnaj się z Savannah – mówi cicho.

Te słowa okropnie bołą, ale jakoś sobie z tym radzę. Evan zatrzymuje się przede mną, sięgając do małej plastikowej torby, którą trzyma.

– Zrobiłem ci prezent – mówi i wyjmuje rulon papieru. Boję się, że on też to czuje, że on też czuje, że to już koniec. Wskazuję rulon ruchem głowy, nie będąc w stanie mówić.

Evan rozwija arkusz jak królewską odezwę i odwraca w moją stronę. Zbiera mi się na łzy, szybko jednak je dławię.

Narysował dom. Wielki, piękny, różowy dom.

- To dla mnie? – pytam, a łzy ciekną mi po policzkach.

– Już nie jest biały – oznajmia. – Chciałaś mieć różowy dom. Kendra mi pomogła.

– Dziękuję, Evan – mówię szeptem. Braciszek podaje mi rysunek, a ja, biorąc go, zerkam nad nim na ciotkę. Jej spojrzenie wcale nie jest tak zawzięte, jak sobie wyobrażałam. Jakby rozumiała, jak bardzo to dla mnie bolesne. Jakby potrafiła to docenić.

- Pojedziesz ze mną? – szepcze Evan. Zaciskam usta, żeby powstrzymać

drżenie warg.

– Nie mogę – mówię, przechylając głowę. Nigdy nie będę mogła.

– Dlaczego? – Głosik mi drży.

– Mam tu trochę roboty.

– Ale ja chcę być z tobą.

Odgarniam mu z czoła jasną grzywkę. Tak bardzo go kocham. Kocham go tak ogromnie, że ten ból mógłby mnie zabić.

– Ciocia Kathy potrzebuje tego, żebyś z nią zamieszkał – mówię. – To samotna starsza pani. Nie ma swoich dzieci, które by ją kochały. – Stojąca obok nas Kathy sztywnieje, ale nie żałuję swojego okrucieństwa.

– Ale ja chcę ciebie – mówi Evan, a jego oddech staje się coraz krótszy.

– Przyjadę cię odwiedzić.

– Kto mi będzie robił parówki z serem? – Evan zaczyna płakać, zakrywając rączkami twarz.

Ja też pękam. Całkiem się rozsypuję. Tu i teraz.

Zawsze sobie obiecywałam, że nigdy tego nie zrobię w jego obecności. Ale przegrywam z rozpaczą, bezsilnością i żalem. Padam na kolana i przyciągam braciszka do siebie. Trzymam go kurczowo, szlochając. Płaczę tak strasznie, że zaczynam hiperwentylować. Wtulam twarz w kurtkę Evana.

Nie mogę pozwolić mu odejść. Prędeż umrę. Umrę z powodu pękniętego serca.

– Savannah – dochodzi do mnie cichy głos ciotki, ale nie podnoszę głowy. Mam ochotę chwycić Evana i uciec. On należy do mnie.

Kathy znów wymawia moje imię.

Ostatkiem sił odsuwam się od braciszka. Moja twarz obrzmiała od łez. Odsuwam Evanowi rączki od buzi. Kiedy na mnie spogląda, dolna warga mu drży. Ściera mi łzy z policzków.

– Savannah, proszę, nie płacz – mówi, a oddech mu przyspiesza. – Ty nigdy nie płaczesz.

Śmieję się, wycierając nos.

– Dobrze mówisz. Bo ze mnie jest twarda sztuka, co nie? – Przytakuje, choć jest zasmucony. – No to pomóż mi się nie mazać – mówię mu.

Obiema rączkami ociera mi łzy z policzków.

– Już – mówi.

– Dziękuję – szepczę, wiedząc, że jak tylko odjedzie, zaraz znów się rozplaczę.

– Powinniśmy jechać – ciotka Kathy upomina Evana, zerkając na mnie.

– Wkrótce się zobaczymy – zapewniam braciszka, przytrzymując go za ramię. I jeszcze nie dając mu odejść, schylam się.

– Przytulisz się jeszcze raz? – pytam zdesperowana. Evan bez wahania

dopada do mnie i mocno ściska. Posiniaczona klatka piersiowa sprawia mi ból, ale mam to gdzieś. Zamykam oczy, starając się zapamiętać, jak to jest mieć go przy sobie. Bo gdy nadejdzie jutro, obudzę się bez niego, wiedząc, że już nie ja za niego odpowiadam. I że już nie do mnie on należy.

– Kocham cię – szepczę mu we włosy.

– Ja też cię kocham.

Odsuwając się od niego, jeszcze raz przyglądam mu się całemu, a potem zwracam się do Kathy.

– Będę mogła go jutro odwiedzić? – pytam.

Zagryza wargi.

– Może zadzwonisz i wtedy zobaczymy?

Kiwam głową. To znaczy nie.

– Chodźmy, Evanie – mówi łagodnie ciotka, biorąc go za rękę.

Patrzę, jak się oddalają i za każdym razem, kiedy Evan odwraca się do mnie, macham. Po chwili są już w samochodzie i odjeżdżają w głąb ulicy.

A ja zostaję przed domem, czując, jak wszystko we mnie umiera.

ROZDZIAŁ 21

Wchodzę do domu, zatraskuję za sobą drzwi do mojego pokoju i kładę się w poprzek łóżka. Zapłakana. Chora. Zdruzgotana.

Około piątej po południu słyszę przy drzwiach wejściowych ojca. Najwyraźniej się zmył, żeby nie być przy tym, jak Kathy zabiera Evana. Drań. Nie stać go było nawet na tyle przyzwoitości, żeby się pożegnać z własnym synem.

Zeskakuję z łóżka, rozsadza mnie nienawiść. Już nie muszę się hamować. Evan nie wróci. Tata, nie widząc mnie stojącej w korytarzu, mruży coś pod nosem. Zamyka drzwi, a gdy się odwraca, dostrzega błyskawice w moich oczach. Sam ma czerwone ślepia i to mnie wkurza. Bo nie ma prawa płakać z powodu mojego brata. To przecież on go oddał.

– Savannah...

– Nienawidzę cię – mówię głucho. – Powinniśmy byli uciec od ciebie, kiedy jeszcze była szansa.

Ojciec gapi się w podłogę, usta mu drżą.

– Może powinniście – przyznaje. – Albo mogłaś zrobić tak jak twoja matka i odejść sama.

– To nie była jego wina – mówię. – Evan wcale nie jest winny temu, że mama odeszła.

– To nie jego wina – przyznaje mi rację. – Ale przez niego tak się stało.

– Nie mów tak! To nieprawda.

– Tak było, Savannah – odpowiada. – Gdyby Evan był normalny, ona nadal by z nami mieszkała. Twoja matka nigdy by mnie nie opuściła.

– Ty palancie! – krzyczę. – To nie mama obwiniła Evana. To zawsze byłeś ty, pieprzony ochlapusie. Jesteś chory, wiesz? – mówię, potrząsając głową. – A ona i tak by od ciebie odeszła. Bo nienawidzi cię tak bardzo, jak ja!

Ojciec nagłym ruchem uderza mnie mocno w twarz. Zataczam się w tył oszołomiona, policzek mnie pali. Podnoszę głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, zbyt zaszokowana, żeby mu oddać.

W tej samej chwili widzę, jak jego furia przechodzi w żal i jak zakrywa usta tą samą dłonią, którą mnie uderzył. W szeroko otwartych oczach wyczytać można błaganie.

– Nie... – zaczynam i głos mi się łamie. – Nie waż się więcej podnosić na mnie tej pierdolonej ręki.

– Przepraszam, Savannah. Proszę...

Odwracam się, cała się trzęsąc. Idę do swojego pokoju i trzaskam drzwiami. Zamykam je na klucz, a potem opieram się o nie, próbując złapać oddech.

Nigdy mnie nie bił. Ubliżał, upokarzał, ale nigdy jeszcze mi nie przylał.

Osuwam się plecami po drzwiach, aż siadam na dywanie. Czuję się bezwartościowa. Kompletnie nic nie warta. I chociaż mam ochotę spakować cały swój szajs i się stąd wynieść, nie mam dokąd pójść. Tkwię w najniższym kręgu mojego własnego piekła.

* * *

Wieczorem dzwoni telefon. Nie wstaję jednak, a ojciec też nie odbiera. To prawdopodobnie Retha; pewnie zamartwia się na śmierć. Albo Cameron. Ale nie Evan – jemu Kathy w życiu nie pozwoliłaby zadzwonić. Dlatego nie odbieram.

O dziewiątej ojciec puka do drzwi, pytając, czy przyjdę na kolację. Każę mu spadać. Stoję przy oknie i patrzę w ciemne niebo. Cameron pewnie o mnie myśli, może Kendra też. Ramię mi dokucza, ale nie łykam żadnych pigułek, bo chcę czuć ból. Potrzebuję tego, bo lepiej, gdy dokucza ręka, a nie serce. I z tym bólem kładę się do łóżka, żeby zasnąć.

* * *

Rankiem jest cicho. Kiedy przewracam się na drugi bok, widzę, że lekcje już się zaczęły. Dzwoni telefon – pewnie z biura inspektora szkolnego. Nie wykorzystałam wszystkich nieobecności, a dopóki nie przekroczę dziesięciu, nie mogą mnie skreślić. Oszczędzałam je ze względu na Evana. To już niepotrzebne. Zostaję więc w łóżku.

Nie jem. Dzień mija, a ja nic nie jem. Kładę dłoń na brzuchu, bo mi w nim burczy z głodu. Zastanawiam się, jak długo mogłabym pociągnąć bez jedzenia. Ojciec wyszedł wczesnym rankiem i jeszcze nie wrócił. Siedzi prawdopodobnie w barze, ale mi to wisi.

Kiedy w większości domów przychodzi pora kolacji, wychodzę wreszcie ze swojego pokoju. Idę do salonu i łapię za telefon. Wystukuję numer drżącą ręką.

– Halo? – pyta Kathy swoim najśłodszym tonem, przybieranym z myślą o telefonujących.

– Tu Savannah – mówię cicho. Milczy. – Mogę go odwiedzić? – pytam pomimo guli w gardle.

Wzdycha.

– Jeszcze nie. On się dopiero aklimatyzuje. Tu ważna jest konsekwencja, Savannah. Dopóki się nie zadomowi, obawiam się, że twoja wizyta może mu zaszkodzić.

– Muszę go zobaczyć, Kathy – jęczę.

Pociąga nosem, a ja zastanawiam się, czy czuje się z tym wszystkim źle. Czy czuje się źle z tym, że rujnuje mi życie.

– Tu nie chodzi o ciebie – mówi – ale o to, co jest najlepsze dla Evana. Ja wiem, że na swój sposób go kochasz. Wiem też, że on kocha ciebie. Ale jest za

wcześniej. To byłoby dla niego zbyt traumatyczne, Savannah. Musimy zrobić to, co dla niego najlepsze.

– Ja jestem tym, co dla niego najlepsze – ucinam. Chociaż nie jestem pewna, czy nadal wierzę, że to prawda.

– Może za kilka tygodni – odpowiada Kathy. – Zadzwoń za kilka tygodni, kiedy Evan się do nas przyzwyczai.

– Nie rób tego – błagam cicho.

– Przykro mi. Zadzwoń za kilka tygodni. – I się rozłącza.

Trzymam słuchawkę przy uchu, wsłuchując się w sygnał. Narzucam sobie stan odrętwienia i odkładam telefon. Wchodzę do kuchni i rozglądam się, niczego właściwie tam nie poznając. Jestem duchem błakającym się po moim własnym życiu. Biorę z szafki pudełko krakersów i napełniam szklankę wodą z kranu. Potem wracam do swojego pokoju i zamykam za sobą drzwi na klucz.

W ciągu dwóch następnych dni ojciec puka tylko raz, pytając, czy nic mi nie jest. Zamiast odpowiedzieć, ciskam butem w drzwi. Drań.

Trzeciego dnia kończą mi się łzy. Biorę prysznic, szczotkuję włosy i zęby. Dzwonię do Rethy, żeby wiedziała, że jeszcze żyję. Oddycha z ulgą i mówi, że dała ludziom cynk w sprawie Patricka. Jeśli napatoczy się na kogoś z naszych ziomków, oberwie. Dla takich jak my to chyba jedyna sprawiedliwość, na jaką możemy liczyć. Mniejsza o to, czy zgodna z prawem.

Travis robi postępy na odwyku i wygląda na to, że może z początkiem lata wyjdzie. Każę mu przekazać, że jak już wróci, zabiorę go na skrzydełka.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Camerona, ale nie wiedziałabym od czego zacząć. Wychodzę z domu, mrużę oczy przed słonecznym światłem i siadam na schodkach ganku. Wystawiam policzki na słońce; czarno-fioletowe siniaki prawie już znikły.

Przy krawężniku zatrzymuje się lśniąca czarna beemka. Cameron powinien być w szkole. Nie tutaj. Gasi silnik, wysiada. Opuszczam wzrok na stopnie schodków.

– Hej, Sutton – mówi.

– Cześć, Cameron. – Przesuwam się na schodku, robiąc mu miejsce. Siada obok mnie i wychyla się w przód, opierając łokcie na kolanach.

– Jak ręka? – pyta, ruchem głowy wskazując mój gips.

– Swędzi.

Śmieje się i ogląda na dom.

– Jest twój porypany tato?

– Nie.

Milcząc, splata dłonie. W pierwszej chwili wydają mi się dziwnie czerwone. Potem dostrzegam zdartą na kostkach skórę.

– Cameron – mówię, ciągnąc go za przedramię. Opuszcza luźno ręce, kładę

je więc sobie na kolanach i uważnie oglądam. Palce rzeczywiście ma obtarte, posiniaczone i opuchnięte. Wydaje się, że musi to niewiarygodnie boleć. – Coś ty zrobił? – pytam szeptem, delikatnie przesuając palcem po opuchliznie. Kiedy podnoszę głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, widzę, że wpatruje się we mnie.

– Ktoś nadział mi się na pięść – odpowiada bez uśmiechu.

– Na obie?

– Tak. Może też trochę na nogę.

– Biłeś się? – Serce mi wali. Mam ochotę wyciągnąć rękę, odgarnąć mu włosy z twarzy i błagać, żeby mnie stąd zabrał. Zamiast tego puszczam jego rękę.

– Nie nazwałbym tego bójką – mówi, ponownie kładąc dłonie na kolanach przed sobą.

– Zatrzymali cię? – I nagle się boję. A jeśli Camerona też mi odbiorą?

– Sutton, ty się chyba przejęłaś.

– Możliwe.

– Jak słodko – mówi.

– Weź się zamknij.

Śmieje się.

– Nie, obyło się bez policji.

Obracam się na stopniu twarzą do niego.

– Komu nastukałeś? – pytam.

– Nie pamiętam, jak się nazywał.

– Cameron.

– Nie. To brzmiało inaczej.

Mam ochotę wyzwać go od idiotów i powiedzieć, żeby przestał utrudniać, ale już to, że siedzę z nim tutaj, wskazuje, jak bardzo mi go brakowało. Bo brakowało mi tego, jak się przy nim czuję. Przy nim czuję się podobnie, jak przy Recie i Travisie. Jakbym może była jednak coś warta.

Zatyka mnie, gdy nagle rozjaśnia mi się w głowie.

– Ty... ty przywaliłeś Patrickowi?

Cameron patrzy na chodnik.

– Przywaliłem. Nakopałem. Oplułem? Nie. Tego bym nie zrobił.

Przyglądam się jego profilowi, a w piersi rozlewa mi się fala ciepła.

– Pobiłeś go dla mnie? – szepczę. Chce mi się płakać. To takie cholernie rycerskie.

– Pobiłem? – Podśmiewa się i patrzy na mnie. – Tak to powiedziałaś, jakbym czekał na niego na boisku po lekcjach. Nie, Sutton. To, co się wydarzyło, w mniejszym stopniu było uporaniem się z problemem, a w większym zemstą. Prawdę mówiąc – zerka na mój gips – powiedziałbym, że chodziło wyłącznie o zemstę.

– Myślałam, że postanowiliśmy skończyć z rozwiązywaniem naszych

problemów siłowo? – przypominam.

– To ostatni raz, przysięgam. – Uśmiecha się do mnie. – Ale było warto.

– Cieszę się. – I rzeczywiście tak jest, bo może to ostatnie wyrównanie rachunków, jakie mi się trafiło. Któregoś dnia może naprawdę przestanę bić się o swoje. Cameron też. Chcę wierzyć, że kiedyś nie będziemy już musieli tego robić. Ale wiem też, że życie nie zawsze bywa sprawiedliwe. Mimo to będziemy się starać.

– Oberwałeś? – pytam, przyglądając mu się. Na twarzy nie ma żadnych śladów. Nadal jest piękna.

– Nie – odpowiada. – Nie miał nawet szansy oddać i coś mi się zdaje, że już nie będzie cię niepokoił. Tak przynajmniej mówił, kiedy leżał na chodniku.

Patrick złamał mi rękę. To przez jego okrucieństwo wyrzucono mnie ze szkoły. I z jego powodu odebrano mi Evana.

Cameron postarał się, żeby było mi lepiej. I za to go kocham.

Patrzemy na siebie. Czuję się straszliwie samotna, nawet przy nim. Pragnę, żeby mnie przytulił. Pragnę się rozplakać. I pragnę, żeby mi na to pozwolił i już do tego nie wracał. Wskazuję jego ręce.

– Pokaż mi jeszcze raz te kostki – mówię.

– Nie. – Szczerzy się w uśmiechu, trzymając dłonie blisko przy ciele. Wygląda na to, że go boją.

– Pokaż mi te swoje durne ręce – nalegam.

Cameron powoli wyciąga je do mnie.

– Wcale nie są durne – szepcze, doprowadzając mnie do śmiechu. Ponownie chwytam jego dłonie i kładę je na swoich kolanach. Pokaleczył je dla mnie, tak jak ja zrobiłabym to dla Evana. Przesuwam dłonią po każdym z jego palców. Chcę być dla niego słodka. Zasluguje na to, żeby się przekonać, że potrafię taka być.

– To miłe – mówi cicho. Jeśli się do niego odwrócę, możliwe, że mnie pocałuje. Oto tutaj, na schodach mojej rudery, w tej zaszrannej dzielnicy, ten naprawdę bogaty chłopak mógłby mnie pocałować.

Zamiast tego zdrową ręką podnoszę do ust jedną z jego pokancerowanych dłoni i całuję ją. Jeden jedyny raz. Potem puszczam.

– Dziękuję – mówię szeptem.

Jakoś go to nie dziwi i siedzimy w ciszy. Jest nam dobrze.

– Widziałaś się z nim? – pyta Cameron.

Wiem, o kim mówi.

– Od niedzieli nie. – Na myśl o moim braciszku klatkę piersiową przeszywa mi ból. Marszczę nos, żeby powstrzymać napływ łez.

Cameron przysuwa się trochę bliżej, tak że stykamy się biodrami.

– Współczuję – szepcze.

Wiem, że nie ściemnia. Troszczy się o nas. To dobry człowiek. Siedzimy,

wsluchując się w odgłosy przejeżdżających samochodów, aż w końcu spoglądam na niego.

– Powinieneś być teraz w szkole – mówię.

– Ty też.

– Zostały mi nieobecności do wykorzystania.

– No tak – stwierdza. – Ja wykorzystuję dziś ostatnią. Do końca roku będę musiał chodzić do szkoły dzień w dzień, inaczej mnie uwalą.

Nie podoba mi się ten ton.

– Musisz skończyć tę szkołę – przypominam.

– Wiem. Ale bez ciebie to żadna frajda. – Uśmiecha się trochę krzywo.

– Wracam jutro.

– To świetnie.

– Świetnie.

– Chcesz dokądś jechać? – pyta.

– Nie mam dokąd.

Wzrusza ramionami.

– Mama chciałaby, żebyś nas dzisiaj odwiedziła.

– Twoja matka czy ty?

– My oboje.

Muszę przyznać, że to miłe.

– Dzięki, ale nie.

– Proszę.

– Okej. – Podnoszę się, wycierając dłonie w dżinsy. Nie mam nic przeciwko temu, żeby do niego jechać. Czekanie tutaj nie ma sensu. Evan nie wróci, a dla mnie nigdzie indziej nie ma miejsca.

Cameron nadal siedzi na schodach.

– Hmm...

– Co znowu? – pytam. – Chcesz, żebym jechała?

– No tak. Spodziewałem się tylko, że będziesz się wzbraniać.

– Nie zawsze utrudniam.

– Właśnie, że tak – zaprzecza, wstając. – Ale to mi się podoba. Lubię, kiedy wyklócasz się ze mną o każdą duperełkę.

– Właśnie dlatego to robię – śmieję się. – Żeby było interesująco.

– Nie sądzę, żebyś musiała się obawiać o to, czy jesteś interesująca – mówi, mijając mnie i idąc do samochodu.

* * *

– Savannah! – woła Kendra, gdy wchodzę do ich domu. Wydaje się autentycznie uszczęśliwiona tym, że mnie widzi.

– Dzień dobry – mówię.

– Jak się czujesz, kochanie? – pyta, podchodząc do mnie. – Tak się martwiliśmy.

– Wszystko gra – zapewniam.

Kendra spięła jasne włosy na karku w koński ogon. Jest ładnie wystrojona i pachnie wanilią. Cameron idzie do kuchni, zostawiając mnie samą ze swoją matką. Nie bardzo wiem, jak się zachować. Krępuje mnie to, że ona zna prawdę.

Zaciskając usta, przygląda się mojej twarzy. Widzę, że chce zapytać o Evana.

– Zjadłabyś coś? – słyszę zamiast tego.

– Padam z głodu – odpowiadam, wywołując uśmiech na jej twarzy.

– Doskonale – cieszy się. – My z Marcelem wychodzimy na kolację, ale zamówiłam dwie pizze. Są w kuchni.

Rozdziawiam usta.

– Pani... Pani wychodzi? – Cameron okłamał mnie co do swojej matki, to jedno. Po drugie, czyżby Kendra naprawdę nie miała nic przeciwko temu, że zostanę sam na sam z jej synem? Wieczorem? Po tym, co spotkało mojego braciszka, wierzyć mi się nie chce, że przyjmuje mnie tutaj tak serdecznie. Nie łapię, jak może być taka miła.

– Mamy rezerwację. – Marszczy brwi. – Ale jeśli chcesz, żebym została, możemy zmienić plany.

– Nie trzeba – mówię. – Tylko Cameron... Wie pani co? Zresztą, nieważne.

– Sutton? – woła Cameron z innego pomieszczenia. Jego matka krzywi się z niezadowoleniem. Pewnie uważa wołanie mnie po nazwisku za bezczelność, ja jednak lubię, gdy on tak się do mnie zwraca. Zawsze to lubiłam.

– Miłej zabawy – mówię do Kendry. Oboje z Marcelem wychodzą, a ja idę do kuchni, gdzie zastaję Camerona z głową w lodówce.

– Wołałeś mnie? – pytam.

– Pizza?

– Tak, nałóż mi.

Cameron stawia na blacie dwie cole, a potem przynosi dla nas talerze. Ta chwila jest tak zwyczajna, że aż trochę boli. I choć nie jestem pewna, czy zasługuję na takie szczęście, zmęczona jestem bronieniem się przed nim.

* * *

– Okropny jest ten film – mówi Cameron. Zerkam na niego z ukosa. Siedzimy razem na skórzanej sofie. Jest bardzo blisko mnie. Bliżej, niż można się spodziewać po przyjacielu. Odrobinę się odsuwam.

– Nie jest taki zły – zaprzeczam. Jego rodzice, oczywiście, mają wielki płaski telewizor, jeden z tych, na które marnują kasę tylko bogacze.

– Okropny – powtarza szeptem.

Ma rację. Ten film jest głupi i to wszystko jest głupie. Nawet nie śledzimy akcji. Sytuacja zaczyna robić się niezręczna, oboje czekamy, czy coś się między nami wydarzy. Zdecydowanie nie powinno, bo Cameronowi nie potrzeba kogoś takiego jak ja, a dla mnie byłoby lepiej, gdybym się nie zadawała z kimś takim jak on. Ale w powietrzu i tak da się wyczuć seksualne napięcie.

Cameron chrząka.

Cholera. Powinnam spadać. Robi się niebezpiecznie.

– Savannah?

Nie reaguję.

– Hej. – Szturcha mnie w ramię.

Odwracam się do niego, udając, że nie słyszałam.

– Co takiego?

Lekko się uśmiecha, spoglądając to na sofę, to znów na mnie. Spojrzenie jego brązowych oczu wędruje po mojej twarzy, zatrzymuje się na ustach.

– Okropnie chciałbym cię teraz pocałować – wyznaje.

Moje ciało reaguje, lgnie do niego. Nie wiem, co odpowiedzieć. Jestem cokolwiek zaszokowana.

– Mogę? – pyta.

– Pocałować mnie?

Śmieje się.

– Tak.

– Nie.

– Proszę.

– Mowy nie ma.

Kiwa głową, nadal uśmiechnięty, i odwraca się w stronę telewizora.

– Okej.

Odczekuję chwilę, a potem przechylam się, łapię go za T-shirt i całuję.

Tym razem Cameron się nie śmieje, ani nie żartuje. Zamiast tego odpowiada mocnym pocałunkiem, atakując mój język swoim, a jednocześnie popycha mnie na sofę tak, że nogi mam po obu stronach jego bioder. Oboje spazmatycznie łapiemy oddech, jakbyśmy strasznie długo na to czekali. Jakbyśmy nie chcieli się hamować. Ani teraz, ani nigdy.

ROZDZIAŁ 22

Słucham serca Camerona z głową opartą na jego piersi. Leżymy na jego łóżku. Przy wtórze tych rytmicznych uderzeń zamykam oczy. Cameron przesuwa palcami po moim ramieniu, zatrzymując się tuż nad gipsem i wracając nimi w górę. Nie chcę się stąd nigdzie ruszać.

– Hej – szepcze mi we włosy.

– Nic nie mów – upominam go, uśmiechając się. – Nie niszcz tej chwili.

– Racja.

Poprawiam pościel tak, by przykryła nas oboje i moszczę się policzkiem w zagłębieniu jego szyi. Jest taki ciepły, jego ciało doskonale pasuje do mojego.

– Savannah – mówi.

– Co?

– Dziękuję ci.

Śmieję się.

– Hmm... Proszę bardzo.

– Nie za to. Chociaż było fajnie. – Cameron obejmuje mnie i przytula. – Chodziło mi... – Milknie i to jest uroczo niezdarne. – Dziękuję ci za zaufanie mi i w ogóle. Nie byłem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek wpuścisz mnie do swojego świata.

Czuję łaskotanie w brzuchu i chciałabym móc po prostu powiedzieć, czego pragnę, ale nawet teraz nie potrafię. Podnoszę głowę i patrzę na niego.

– Muszę wracać do domu – mówię.

Mina mu rzednie.

– Teraz?

Głośno przełykam ślinę.

– Tak. Natychmiast. – Daję mu buziaka i siadam prosto, owijając się prześcieradłem. Zbieram ciuchy z podłogi i ubieram się. Wyrzucam do śmieci leżącą na szafce nocnej gumkę i patrzę, jak Cameron powoli podnosi się z łóżka.

Kiedy się do mnie uśmiecha tym cudnym, zachęcającym uśmiechem, zmuszona jestem się odwrócić. Jeśli pozwolę mu tak na mnie patrzeć, z pewnością przekona mnie, żebym została. Dlatego wychodzę z pokoju i czekam przy drzwiach wyjściowych.

* * *

– Nie rozumiem, czemu musiałaś się tak szybko zbierać – mówi Cameron, odwożąc mnie do domu. – To trochę okrutne, tak mnie opuszczać. – Jego pokiereszowane palce leżą ostrożnie na kierownicy.

– Dlatego, że u ciebie nie mieszkam – odpowiadam.

- A mogłabyś.
- Zaadoptujesz mnie?
- Powiniennem.

Wybucham śmiechem. Wdycham wciąż jeszcze wyczuwalny na swojej skórze cień jego zapachu. Łaknę Camerona. Pragnę go. Teraz. Oparta o zagłówek, przyglądam się chłopakowi.

- Sama widzisz – mówi.
- Niby co?
- Nie chcesz się ze mną żegnać.
- Skąd ci to przyszło do głowy?

Uśmiecha się szeroko.

- Możliwe, że nieświadomie coś tam wymamrotałaś.

Rumienię się. Nie mam pewności, o czym konkretnie mówi, ale uważam za całkiem możliwe, że w chwili zamętu w głowie mogłam powiedzieć coś zbliżonego do „kocham cię”.

– Cóż – mówię, prostując się. – Słowa wypowiedziane w chwilowym uniesieniu się nie liczą.

- Kto tak twierdzi?
- Ja.
- Czyli nie to miałaś na myśli? – docieka.
- Nie.

Uśmiecha się.

- Wiesz, że ja czuję dokładnie to samo co ty, prawda?
- Też co innego miałeś na myśli?

Spogląda na mnie z ukosa, wpatruje się tymi swoimi brązowymi oczyma w moje.

– Masz szczęście, że wiem, jaka jesteś pokręcona, bo inaczej mogłoby to zranić moje uczucia.

Ale i tak wiem, że go uraziłam. Znów wpatruje się w drogę, zaciskając szczęki i marszcząc brwi. Jedziemy przez pogrążone w ciemności ulice do mojej dzielnicy ruder.

Nie chcę ranić Camerona. Nigdy więcej.

– Czemu ty jeszcze ze mną rozmawiasz? – pytam. – Po tym, co widziałeś, raczej nie powinienes mieć ochoty włączać się w moje życie. Nawet ja sama nie mogę w nim wytrzymać.

Cameron przejeżdża językiem po wargach i zerka na mnie.

– Bo cię kocham. – Mówi to tak zwyczajnie, jakby to była oczywistość. Oczy mam znów wilgotne. I nie odpowiadam, bo nie wiem jak. Nie potrafię wyjaśnić, co do niego czuję. Nie znam takich słów. Dlatego, kiedy znów skupia się na drodze, przechylam się i całuję go w policzek. I zostaję w tej pozycji, blisko

niego, wiedząc, że coś się zmieniło; że nie ma już odwrotu. Jest dla mnie zbyt ważny. To jego czas.

Cameron przygląda mi się, a potem, nie odrywając oczu od drogi, odwraca głowę, umożliwiając mi pocałowanie go w usta, gdy próbuje prowadzić.

Przyciąga mnie tak blisko, że prawie siadam mu na kolanach.

– Przepraszam – mówię cicho, prosto w jego wargi, zdrową ręką przytrzymując mu policzek. – Kocham cię – szepczę, bo rzeczywiście tak czuję. I to mocno. Nie mogę go stracić.

– Ja to wiem – mówi, podkreślając każde słowo pocałunkiem. – Nie musisz tego mówić, bo ja to wiem.

Wsuwam język w jego usta i znów pragnę go całego, on jednak, śmiejąc się, łagodnie mnie odsuwa.

– Jeszcze w coś przez ciebie wjadę, Savannah – mówi. – Może powinniśmy po prostu wrócić do mnie.

Opadam na swoje siedzenie, paniczny lęk gaśnie. Przecież mam go. Nie muszę walczyć o Camerona, bo już go mam.

– Innym razem – odpowiadam. – Muszę wrócić do domu, bo może Kathy pozwoli Evanowi zadzwonić.

Cameron milczy przez dłuższą chwilę, a potem pyta:

– Masz teraz obsesję na moim punkcie, zgadza się?

– Nie sądzę.

– Kocham cię – naśladuje mój głos.

– Weź się zamknij.

Wyciąga rękę i choć zastanawiam się, czy jej nie odtrącić, wsuwam w jego dłoń swoją.

– Nie musiałaś mi tego mówić – mówi cicho.

– Zapamiętam na przyszłość.

– Chociaż miło było to usłyszeć – dodaje już głośno, jakbym weszła mu w słowo. – Zwłaszcza, gdy czuję cię całą przy sobie.

– Ale masz potrzeby – mówię.

– Po prostu potrzebuję ciebie. I zamierzam cię porwać jak najdalej od tego wszystkiego i już nigdy nie oddać.

Żartuje, ale bawi mnie wyobrażanie sobie, że to prawda – że uciekamy razem. Siedzę w milczeniu, a Cameron trzyma mnie za rękę, bo chyba zabrakło mu słów.

* * *

Retha odbiera po pierwszym dzwonku.

– Najwyższa pora, laska – mówi serdecznie. – Słyszałam, że Patrickowi skopali dupę. Komu za to podziękować?

– Cameronowi.

– Bez jaj – dziwi się. – Ho ho. No to twój chłoptaş nieźle go uszkodził. Podobno ma złamaną nogę i parę szwów. Patrick powiedział psom, że ktoś go napadł pod 7-Eleven, ale nie widział, kto to był. Tak pisali dzisiaj w gazecie.

– Wzdycha. – Chyba więc wiszę Cameronowi za tę akcję.

– Travisowi na pewno się to spodoba – śmieję się. – A tak w ogóle to jak on się trzyma?

– Świetnie. I wiesz co? Zdaje mi się, że odkąd tu jestem, ani razu się nie pokłóciliśmy. To chyba nasz rekord.

– Też tak uważam. – Wyciągam się na łóżku i przesuwam palcami w górę i w dół ramienia, przypominając sobie, co czułam, gdy robił to Cameron. Przypominając sobie wszystko.

– Zrobiłam to – informuję Rethę, nie będąc w stanie powstrzymać uśmiechu tak szerokiego, że bolą mnie policzki.

– To? – Chyba nie kojarzy.

– To.

Retha milczy, a potem słyszę, jak gwałtownie łapie oddech.

– Czyli zrobiłaś to! Znaczy z nim?

– Tak.

– Łał – mówi. – Jestem pod wrażeniem. To znaczy, wiedziałam, że on chce, ale niech cię cholera, dziewczyno. Nie myślałam, że będzie miał okazję. Aż taka łatwa to nie jesteś. Miałaś na sobie *tę bluzkę*?

– Nie. Przypuszczam, że już jej nie potrzebuję.

– Też tak przypuszczam – przyznaje. – I przypuszczam, że było dobrze?

Śmieję się i rumienię.

– Tak, było dobrze pod każdym względem.

– Wiedziałam.

– A teraz wracaj piorunem, żebyśmy mogły się wybrać do 7-Eleven i pogadać o tym w bryce Trvisa – mówię.

– To numer jeden na mojej liście spraw do załatwienia – obiecuje. – Ale nie mam zamiaru tak długo czekać. Opowiedz mi wszystko teraz.

Wybucham śmiechem, bo to znów jest dawna Retha. Wypytuje mnie teraz o wszelkie szczegóły anatomii i fizjologii Camerona. Niczego takiego nie zdradzam – no, może sugeruję – ale jest super. Super jest mieć przyjaciółkę od serca, nawet jeżeli nie ma jej teraz tu ze mną.

O Evana nie pyta, choć wiem, że liczy na aktualizację danych. Ale to jeszcze zbyt bolesny temat. Bolesny dla nas obu. Jeszcze nie mieści mi się w głowie, że to prawda. Nie chcę wierzyć, że już go nie zobaczę.

* * *

Mija tydzień. Potem drugi. Dzwonię do Kathy codziennie, ale ona za każdym razem powtarza, że dla Evana jest jeszcze za wcześnie na spotkanie ze mną. Mówi mi też, że jest mu dobrze. Że jest szczęśliwy. Coś takiego nie powinno mi sprawiać bólu, a jednak sprawia. Chodzi o to, że on mnie nie potrzebuje.

Mimo to nadal dzwonię, a Kathy obiecuje, że wkrótce pozwoli mi go odwiedzić. Formalnie nie mam żadnych praw do Evana – ojciec mówił prawdę: Kathy miała mocne podstawy do przyznania jej opieki. Nie jest jego matką, ale nie jest też taka, jak nasza mama. Jest lepsza.

ROZDZIAŁ 23

Twoja ciotka wydaje się rozsądna – mówi Kendra w czwartek, kiedy siedzę z nią w kuchni. – Możliwe więc, że korzysta z rad życzliwego terapeuty. Jestem pewna, że wkrótce pozwoli ci na odwiedziny.

Cameron z Marcelem pojechali po coś na wynos, Kendra wykorzystuje to więc, żeby zapytać o Evana. Czekala na taką okazję.

Przyglądam jej się, próbując odgadnąć, czy jej zdaniem ciotka jest lepsza dla Evana niż ja. Nie widzę jednak w jej oczach śladów osądu.

– Savannah, jesteś dobrą dziewczyną – mówi ciepło. – Jestem pewna, że Kathy wie, jak bardzo go kochasz.

A mnie łamie się serce, bo w całym moim życiu nikt dotąd nie powiedział mi, że jestem dobra. Nazywano mnie zakałą, pięknoscią, a także suką. Nikt jednak nie powiedział mi, że jestem dobra. Spuszczam oczy na blat stołu.

– Tęsknię za nim – szepczę, a twarz zaczyna mnie mrowić, bo zbiera mi się na płacz.

– Wiem o tym – mówi Kendra, odgarniając spadające mi na ramię włosy. – Byłaś taka dzielna. Naprawdę dzielna.

Szczęściarz z Camerona, że spędził z nią całe swoje życie. Je też mam szczęście, gdyż Kendra pozwala mi bywać u nich, kiedy tylko mam ochotę. Ochotę mam co wieczór, ale wpadam tylko w weekendy. Nie chcę być ciężarem.

– Jak ci się układa z tatą? – pyta Kendra, sącząc mrożoną herbatę.

– Może być.

Układa się okropnie. Po tym jak mnie uderzył, przestałam się do niego odzywać. Nawet kiedy się upije i wyrzaskuje w dużym pokoju moje imię, czasem przy tym szlochając, nie reaguję. Nie potrafię. Wyrzekł się Evana. Ot tak go oddał i nigdy mu tego nie wybaczę.

Kendra przygląda mi się przez chwilę, prawdopodobnie świadoma tego, że kłamię, ale tylko kiwa głową. Otwierają się drzwi frontowe i z przedpokoju dochodzi śmiech Camerona. Wymieniamy z Kendrą spojrzenia, ona się uśmiecha.

– Hej – mówi do mnie Cameron, wchodząc do kuchni.

– Cześć.

Kładzie na stole torbę foliową wypełnioną tackami z jedzeniem. Podchodzi i opiera dłonie na moich ramionach.

– To co będziemy jeść? – pytam, podnosząc wzrok na niego. – I proszę, nie mów, że to kuchnia kantońska.

– Oczywiście że tak – odpowiada. – Przecież ją uwielbiasz. – Nachyla się i daje mi szybkiego buziaka. – Żartuję sobie. Będzie spaghetti z dodatkowymi klopsikami.

– Potrzebujecie czegoś jeszcze, zanim wyjdziemy? – pyta Kendra, wyjmując dla nas dwa talerze.

– Nie – odpowiada Cameron, wysuwając krzesło, żeby usiąść obok mnie. – Myślę jednak, że powinnaś zaproponować Savannah, żeby została na noc. Kiedy ja ją zapraszam, zawsze odmawia.

Odwracam się do niego ze złością w oczach, a on się uśmiecha.

– Kochanie – zwraca się do mnie Kendra – przenocuj u nas, proszę. Nie podoba mi się myśl, że będziesz sama. Cameron mówi, że twojego taty wiecznie nie ma w domu.

Przez chwilę czuję odruch obronny. Powinam się wkurzyć na Camerona za to, że obgaduje mnie pod moją nieobecność, ale wiem, że robi to z troski o mnie. Nie ze złośliwości.

– Przenocuję – godzę się, choć ze spuszczoną głową. Nadal wstydzę się tego, skąd pochodzę.

– Cieszę się – odpowiada Kendra. – Lubię, kiedy tu jesteś. Miło mieć w domu drugą dziewczynę.

Dziękuję jej i patrzę, jak wychodzi z kuchni. Kiedy znika, Cameron obraca się w krzesło, opierając łokcie o blat stołu.

– Przepraszam – mówi tuż nad moim uchem.

– Jest okej.

Chwyta moje krzesło i przyciąga do siebie tak, że zatrzymuje się ono tuż przy nim. Bierze mnie w ramiona i opiera podbródek o mój bark. Uwielbiam, gdy tak robi. Wydaje się zawsze wiedzieć, kiedy tego potrzebuję.

– Naprawdę nie powinieneś o mnie rozmawiać, gdy mnie tu nie ma – upominam go, nie do końca żartem.

– Nic nie poradzę na to, że się o ciebie niepokoję. I moja mama też.

Odchylam głowę, żeby mu się przyjrzeć, unoszę brwi. Mówi prawdę. Poznają to po czułości w jego brązowych oczach, po tym, jak mnie obserwuje.

– Nie powinieneś się niepokoić – mówię.

Wybuchu śmiechem.

– Akurat. Jeszcze jak powinienem.

– Skończ z tym. – Ręka pod gipsem wciąż jeszcze mnie swędzi, a każda myśl o tamtej galerii handlowej grozi atakiem paniki.

– Postaram się – obiecuje.

– To świetnie.

Chwilę zwleka.

– Chcesz może pooglądać kiepskie filmy i przespać się ze mną w moim pokoju? – Pieszczotliwie gryzie mnie w ramię.

Odpycham go, wywołując tym jego rozbawienie.

– A pewnie, pooglądajmy te twoje durne filmy.

– O, to teraz są durne.

– Weź się zamknij.

– Uwielbiam, kiedy śpisz ze mną w moim pokoju – oznajmia, znów się nade mną pochylając. Mimo że chciałabym wyjść na twardzielkę, całuję go.

To, że sypiam w jego pokoju, powinno dziwić, ale jego rodzice nie mają nic przeciwko. Nawet nie proszą, żebyśmy zostawiali otwarte drzwi. Nie, żebyśmy uprawiali seks, kiedy są w domu, czy coś w tym stylu, ale mimo wszystko... Takie zaufanie? Trochę to dziwne, a jednocześnie superowe.

A więc rodzice Camerona wychodzą, a my oglądamy film, a potem lądujemy w jego łóżku. Cameron leży obok mnie, skręcając w palcach kosmyk moich włosów, a ja gapię się w sufit.

– To co z sierpniem? – pyta. – Wyjedziemy?

– Nie.

– Przecież nie wybierasz się na studia.

– Hej – upominam go, waląc łokciem w żebra. Rechocze, a potem przyciąga mnie do siebie.

– Nie mówię, że to coś złego. Ja też nie idę.

– Owszem. – Uśmiecham się. – Ale ty jesteś trochę tępawy, nie pamiętasz?

– Racja. Zapomniałem.

Cameron ma na koniec semestru dostać A, choć w tym kwartale opuścił dziesięć dni. Powinien mieć za to obniżoną ocenę, ale pan Jimenez docenił jego starania. Okazał się naprawdę niesamowitym nauczycielem.

– Poza tym... Może będę chodziła na kursy – mówię z lekkim zażenowaniem. W ramach pracy zaliczeniowej badałam możliwości kształcenia się w zakresie pedagogiki specjalnej. Retha sprawdzała pielęgniarstwo i obie uznałyśmy, że gdyby przyszło nam do głowy studiować, to właśnie w takich zawodach chciałybyśmy pracować. Wtedy oczywiście były to tylko hipotetyczne rozważania. Miałam Evana.

– Oho, wyrwałem studentkę – mówi Cameron. – Dobra. Będziemy wyskakiwać gdzieś między semestrami. Po prostu będziemy jechać przed siebie i zatrzymywać się, gdzie popadnie.

– Zapowiada się strasznie.

– Hej – protestuje. – Bądź miła.

Podnoszę głowę, żeby popatrzeć na jego twarz. Na jego mocną szczękę. Na jego doskonałe usta, teraz gdy patrzy w sufit, ironicznie skrzywione.

– Spójrz na mnie – szepczę.

Spogląda mi w oczy, studiuje moją twarz.

– Stale na ciebie patrzę – mówi. – Tylko ty nie zawsze to zauważasz.

Oto cały on. I takiego go kocham. Podnoszę się, żeby delikatnie pocałować go w usta, a on tuli mnie do siebie. Trochę to nam zajmuje. Nie ma pośpiechu.

– A jak w ten weekend? – pyta potem. – Będziesz próbowała zobaczyć się z Evanem?

– Tak, zadzwonię. – I znowu czuję tę pustkę. To poczucie straty, które mnie nie opuszcza. Milknę, a Cameron zanurza twarz w moich włosach.

– Nie ma nic złego w tym, że za nim tęsknisz – mówi.

Bo tęsknię. Brakuje mi mojego braciszka i postanawiam, że nie będę już prosiła Camerona, żeby odwoził mnie do domu. Bo bez Evana... to nie jest prawdziwy dom.

ROZDZIAŁ 24

Moja absolwencka toga niewiarygodnie drapie. Stoimy z Cameronem w szeregu, czekając na wejście do auli. Uczniowie Brooksa współuczestniczą w ceremonii zakończenia szkoły z tymi z liceum, a cała impreza jest rozdęta do przesady.

Pan Jimenez stoi na przedzie, udziela nam instrukcji, jak mamy wejść, ale nikt z nas nie zwraca na niego uwagi. Kiedy ruszamy, widzę przy wejściu dwie osoby. Serce mi wali, słyszę też, że idącemu przede mną Cameronowi zaparło dech.

Wrywam się z szeregu, a Cameron pyta, czy ma na mnie zaczekać. Mówię, że spotkamy się w środku. Ściska mi dłoń i dołącza do grupy. Idę do wejścia z oczyma pełnymi łez. Jest tutaj. Kathy wprawdzie wciąż odwlekała moje odwiedziny, ale przywiozła Evana tutaj. Więcej nic mi nie trzeba.

Klękam na brudnej podłodze korytarza i rozpościeram ramiona. Evan zbliża się biegiem, wskakuje na mnie z takim impetem, że kłapię na tyłek, i obsypuje moje policzki pocałunkami. Udaje mi się go uspokoić na tyle, żeby pozwolił się uściskać, a potem go odsuwam, chcąc mu się lepiej przyjrzeć.

– Ale wyrosłeś – mówię mu, ocierając oczy, bo ze łzami spływa makijaż, który pomogła mi nałożyć Kendra. Evan ma ścięte na krótko włosy, nowe i czyste ubranie. Wygląda jak zwyczajny chłopczyk, chociaż wiem, że jest znacznie bardziej wyjątkowy.

– Zrobiłem to dla ciebie – mówi, wyciągając w moją stronę naszyjnik. To już nie makaron, a prawdziwe koraliki. Jest piękny, pozwalam Evanowi, żeby włożył mi go przez głowę. Naszyjnik sięga akurat na wysokość mojego serca.

– Savannah – mówi Kathy, podchodząc. Pomaga Evanowi wstać z podłogi, a ja biorę się w garść, usiłując wyglądać na odpowiedzialną absolwentkę, żeby nie żałowała, że umożliwiła nam spotkanie.

Evan staje przy niej, a nie przy mnie. To boli, naprawdę boli... ale on jest szczęśliwy i tylko to się liczy.

– Kocham cię – mówię do niego bezgłośnie. Promienieje.

Kathy podaje mi jakąś kopertę.

– Coś ci przyniosłam – mówi. Oczy ma spuszczone, jakby czegoś żałowała. W pierwszej chwili myślę, że to moja wina, potem pojmuję, że chodzi o wyrzuty sumienia. Że wie, jak mnie zraniła. I może nawet tego żałuje.

Biorę kopertę, a ona prosi, żebym ją otworzyła. W środku jest czek na kilkaset dolarów, szybko więc spoglądam na Kathy. Otwieram usta, żeby powiedzieć, że to za dużo, ona jednak powstrzymuje mnie gestem.

– To za wszystkie urodziny i święta, które przegapiłam – oznajmia, a potem

łagodnie się uśmiecha. – Za wszystko, co robiłaś dla Evana. – Podchodzi jeszcze bliżej i kładzie mi dłoń na ramieniu. – Jestem z ciebie dumna, Savannah – dodaje. – Jestem z ciebie naprawdę dumna.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Ogarnia mnie milion różnych uczuć na raz, ale przede wszystkim to jedno... Jest ze mnie dumna. Wreszcie jest ze mnie dumna.

Kiwam głową i mocno pociągam nosem, odwracając wzrok. Nie mogę nawet podziękować, bo się boję, że się rozplączę. Ciotka wydaje się to rozumieć i cofa się, żeby wziąć Evana za rękę.

– Lepiej już idź do środka – mówi, ocierając oczy. I śmieje się. – Po tym wszystkim na pewno nie chciałabyś przegapić uroczystości.

Ruszam do drzwi. Kathy znów woła mnie po imieniu.

– Czy zechciałabyś... Zechciałabyś wpaść do nas na kolację w ten weekend? – pyta. – Jestem pewna, że Evan chciałby pokazać ci swój pokój.

– Tak! – woła mój braciszek, szeroko otwierając oczy. – Savvy, mam nowe łóżko! Jest wielkie!

– Z przyjemnością je zobaczę – zapewniam go. Spoglądam na Kathy bez tchu. – Dziękuję – mówię, wkładając w to więcej serca, niż kiedykolwiek przedtem. Otwieram drzwi do auli, jakiś głos płynący z mikrofonu wita zebranych. Przed wejściem jeszcze raz spoglądam na ciotkę.

– Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym przyjechała na tę kolację z moim chłopakiem, Cameronem? – pytam. Sama nie wierzę, że tak go nazwałam.

– Cameron to dobry przyjaciel – oświadcza Evan, szarpiąc Kathy za rękę.

– Będę zachwycona – odpowiada ciotka.

Uśmiecham się i posyłam Evanowi całusa. A potem wchodzę do auli, żeby pożegnać się ze szkołą średnią.

* * *

– Moje gratulacje, Savannah – mówi pan Jimenez, kiedy stoję naprzeciw niego na środku sceny. Minione miesiące go wymęczyły; przybyło mu trochę siwych włosów. Ale to dobry człowiek i mam nadzieję, że w przyszłym roku znajdzie lepszą robotę.

– Dziękuję panu – odpowiadam, odbierając z jego rąk dyplom. Naprawdę będzie mi brakowało tej klasy pełnej wyrzutków.

– Uśmiech! – krzyczy z tłumu Kendra. Oboje z Marcelem robią wokół tego wszystkiego mnóstwo szumu. Traktują to bardziej jak imprezę sportową niż akademię. Niemal się spodziewam, że zaczną machać wielką piankową łapą kibica.

Odwracam się z niepewnym uśmiechem, czekając na błysk jej aparatu. Nie mogę się doczekać, kiedy zejdem ze sceny, nie znoszę być w centrum zainteresowania. Kiedy wracam na miejsce, czuję nawet przez togę chłód

składanego krzesła.

Przechylam się na bok.

– Naprawdę słodko wyglądasz w tym kapelusiku – mówię do Camerona. Gdy spogląda na mnie drwiąco, spod biretu wymyka mu się jasna grzywka.

– Dzięki, Sutton – odpowiada. – Ty za to błysnęłaś do zdjęcia naprawdę milusim uśmiechem. Nie mogę się doczekać, kiedy oprawię go sobie w ramki.

– Weź się zamknij – śmieję się.

Cameron klepie mnie po kolanie i gestem przypomina, że nie jesteśmy sami na widowni.

– Wiesz co – mówi cicho – mały naprawdę dobrze wygląda.

– Tak – potwierdzam. – Rzeczywiście. Aha, tak przy okazji, Kathy zapytała, czy nie wpadłabym w ten weekend na kolację. Powiedziałam jej, że ty też chętnie przyjdiesz.

Odwraca się do mnie, świadomy wagi tego zaproszenia.

– Naprawdę? – pyta. Kiwam głową, a on uśmiecha się pod nosem. – Super. Jasne, wybiorę się. Będę tak czarujący, że ho ho. Już się nie mogę doczekać przybicia piąteczki z Evanem. Mam nowe powitanie, którego chcę go nauczyć.

Uśmiecham się, wpatrzona w podłogę auli.

– Będzie zachwycony – mówię.

Mój ojciec nie pofatygował się na ceremonię.

Myślałam, że mnie to nie ruszy, ale jednak tak. Przez chwilę marzyłam nawet o tym, że mógłby pokazać się tu trzeźwy. Ale to jest rzeczywistość. A w tej rzeczywistości on pewnie siedzi w domu, pije i nienawidzi mnie. A przede wszystkim nienawidzi siebie. Staram się ze wszystkich sił pogodzić z faktem, że on już nigdy nie będzie dla mnie tatą. I z tym, że moja mama nigdy nie wróci. Przeważnie udaję, że mnie to nie boli, choć to nieprawda. Ale przynajmniej w końcu przestałam obwiniać o to siebie. Ostatnie miesiące pokazały mi, że muszę przestać się tym przejmować i zacząć żyć. To nie moja wina, że nie udało mi się stworzyć Evanowi normalnej rodziny. Od początku nie było to moje zadanie.

Cameron przysuwa się i szepcze mi do ucha:

– Gratulacje, Savannah.

Zamykam oczy. Jego oddech jest taki ciepły i kojący.

– Wiesz, co czuję, prawda? – pytam, odwracając się do niego. – Chyba nie muszę tego mówić?

– Nie – odpowiada, obejmując mnie ramieniem. – Nie musisz tego mówić.

– Świetnie.

– Świetnie.

Cameron przyciąga mnie bliżej do siebie, usta ma tuż przy mojej skroni.

– Ale jeśli i tak chcesz mi to powiedzieć, to możesz.

– Skoro masz taką potrzebę.

– Powiedz mi.

Odchylam się i patrzę na niego, zachwycona tym, że obserwuje scenę, a nie mnie. Stuka palcem w swój policzek.

Nie mogę się oprzeć. Przechylam się i całuję go, kompletnie bezbronna, choć w inny niż dotąd sposób.

– Kocham cię – mówię tak cicho, że nie ma siły, żeby mnie usłyszał.

– To obsesja na moim punkcie – komentuje.

Śmieję się, a on patrzy mi w oczy, szczęśliwy, zadowolony.

– Ja też cię kocham, Savannah – mówi. – I tak sobie myślę, że powinniśmy jednak ruszyć w trasę. Polatać po świecie jak dwa cudnie zakochane gołąbeczki.

– Nie.

– Proszę.

– Wykluczone.

Czeka. A potem...

– Wyjeżdżamy w następny weekend.

– Pasuje.

Przytula mnie, śmiejąc mi się we włosy.

– Zajrzymy do Disneya i kupimy Evanowi uszy Myszki Miki.

– Będzie zachwycony.

– Recie też.

– Nie – protestuję. – Ona wolałaby coś bardziej wystrzałowego.

– Fakt.

– A Travisowi sprawimy czapkę Goofy’ego – dodaję. – Do tego czasu wróci.

Nie ma żadnej gwarancji, że Travisa wypuszczą z odwyku tak wcześnie, ale Retha w to wierzy. Travis także. Poprzedniego wieczoru rozmawiałam z nim przez telefon i życzyłam mu wszystkiego dobrego. Wyglądało na to, że jest z nim nieźle. I niczego nie przyrzekał.

Czasem bywa ciężko. Można ogromnie troszczyć się o kogoś, wiele mu ofiarowywać... Nauczyłam się jednak, że miłość niekiedy nie wystarcza. Mimo to wierzymy, że Travis wyzdrowieje, liczymy na to, żyjemy w przeświadczeniu, że tak będzie – że to pewnik. Innej opcji nie bierzemy pod uwagę.

Spoglądam na Camerona, studiuję jego twarz, a potem delikatnie całuję go w usta. Płoszy mnie nagle dzika wrzawa, cała aula wokół nas wstaje, wariacko klaszcząc.

Też się podnoszę i rozglądam po zatłoczonej sali, próbując wypatrzeć Evana. Kiedy go wreszcie widzę, momentalnie czuję mrowienie twarzy. On też mnie dostrzega i zaczyna machać, wołając coś do mnie.

– Kocham cię, młody – mówię, chociaż nie może mnie usłyszeć.

Ciocia Kathy spotyka się ze mną wzrokiem i uśmiecha się. Nie nienawidzi mnie. Może nawet kocha. Lub przynajmniej próbuje. A ja staram się być lepszym

człowiekiem. Kimś, kogo Evan mógłby podziwiać. Macham do Kathy i odwracam się.

Kiedy siadam, Cameron bierze mnie za zdrową rękę i już nie puszcza. Nie patrzy na mnie, ale i tak mnie widzi. Zawsze mnie widział.

Po raz pierwszy czuję, że jest nadzieja. Dla Evana. Dla mnie. I na przyszłość, o której nawet nie marzyłam.

